



CHARLES.

Frazier

SZEPTY LASU

S E R I A K A S Z M I R O W A

Szepty lasu
Charles Frazier

Najnowsza powieść autora światowego bestsellera *Zimna Góra*, zekranizowanego pod tytułem *Wzgórze nadziei*. *Szepty lasu* to pełna napięcia i niepokoju historia o miłości, rozgrywająca się w niewielkim miasteczku w Appalachach w latach sześćdziesiątych XX wieku. Na odludziu, w skromnej chacie na skraju lasu Luce opiekuje się cierpiącymi na mutyzm bliźniętami swojej zamordowanej siostry. W życiu tej silnej, niepokornej, ale od lat samotnej i spragnionej bliskości kobiety pojawia się niejaki Stubblefield, który zaczyna zabiegać o jej względy. Tymczasem rodzącemu się uczuciu oraz bliźniętom zagraża nieobliczalny mężczyzna z przeszłości.

Szepty lasu to wciągająca, nastrojowa, pięknie napisana opowieść. Charles Frazier po raz kolejny udowadnia, że jest pisarzem najwyższej próby.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Charles Frazier

Szepty lasu

Przełożyła Magdalena Słysz

Wołowiec 2014

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego NIGHTWOODS

Projekt okładki KRZYSZTOF RYCHTER

Fotografia na okładce © by MARK OWEN / ARCANGEL IMAGES

Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Copyright © 2011 by 3 Crows Corporation

The right of Charles Frazier to be identified as the Author of the Work has been asserted by him in accordance with the

Copyright, Design and Patents Act 1988.

Copyright © for the Polish translation by MAGDALENA SŁYSZ, 2014

Redakcja MAŁGORZATA POŹDZIK / D2D.PL

Korekta MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA / D2D.PL,

ANNA WOŚ / D2D.PL

Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-741-6

Black Publishing jest marką wydawniczą Wydawnictwa Czarne sp. z o.o.

Wołowiec 11, 38 307 Sękowa

Spis treści

Dedykacja

Motto

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

II

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

III

1

2

3

4

5

Przypisy

Annie

***Nie można nawet rzeki przepłynąć, nie płacąc myta.
Archiloch (VII w. p.n.e.)***

Przygarnięte przez Luce dzieci były małe, śliczne i okrutne. Szybko się przekonała, że lepiej nie zostawiać ich samych z kurczętami na podwórku. Później znajdowała pióra, a raz trafiła na żółtą łuskowatą łapę z zaciśniętymi pazurami. Żadne z dzieci nie mówiło, ale gdy ośmieliła się spytać, co się stało z całą resztą koguta, dziewczynka tylko spojrzała na nią morderczym wzrokiem.

Ze wszystkich żywiołów na tym świecie najbardziej lubiły ogień. Stos suchych szczap wywoływał u nich wręcz ekscytację. Luce zaczęła ukrywać zapalki, kilka z nich nosiła w kieszeni dżinsów, żeby mieć czym zapalić gaz na kuchence. W ciągu dwóch dni dzieci nauczyły się bez nich obchodzić, do skrzesania ognia użyły podpałki i łuku zrobionego z zielonej gałązki i sznurowadła. Mali jaskiniowcy na amfetaminie nie zrobiliby tego szybciej. Potem podpaliły kąt na tyłach domu i Luce musiała biegać z blaszanym wiadrem do studni po wodę, żeby ugasić pożar.

Biła ich cienką wierzbową witką, aż na ich nogach pojawiły się różowe pręgi, ale szybko zrozumiała, że oboje bez słowa skargi zniosą największy nawet ból. Wtedy przysięgła sobie, że nigdy więcej ich nie uderzy. Poszła do kuchni i zabrała się do pieczenia placka z brzoskwiniami, który miał wynagrodzić im cierpienie.

Luce nie przejawiała szczególnego instynktu macierzyńskiego. To państwo oddało jej te dzieci na wychowanie. Gdyby nie zgodziła się ich przyjąć, zostałyby rozdzielone jak szczenięta i adoptowane osobno. Jako dorosłe nawet nie pamiętałyby siebie nawzajem.

Choć na to było już chyba było za późno, może należało tak postąpić. Rozdzielić je i wykorzeńić te dziwne skłonności, które oboje przejawiali i które nawzajem w sobie podsycali. Kolejny dowód – jakby ich brakowało – że świat byłby lepszym miejscem, gdyby niektórzy nie czuli takiej silnej potrzeby rozmnażania się. Ale Bóg w swojej nieskończonej mądrości widocznie uznał pomysł, żebyśmy stale chcieli łączyć się w pary, za zabawny.

Zresztą dzieci były już na miejscu, więc co miała zrobić? Człowiek powinien się starać kochać ten świat mimo oczywistych wad w jego koncepcji i wykonaniu. I otaczać opieką potrzebujących, których napotyka na swojej drodze. Inaczej jest bezużyteczny.

Tak samo było z Chatą. Nie należała do Luce. Ona tylko się nią zajmowała, w pewnym sensie. Po śmierci starszego pana nazywała samą siebie dziką lokatorką. Bo nikt oprócz niej nie miał ochoty dbać, żeby dom nie zarósł dzikim winem i nie zamienił się w zielony pagórek.

Pod koniec minionego wieku Chata była eleganckim letnim ustroniem dla zamożnych ludzi, którzy chcieli uciec od sierpniowych upałów na nizinach. Jakiś potentat kolejowy, który przejeżdżał przez tę górską dolinę pociągami, we własnym wagonie, miał wizję, a może kaprys, żeby zbudować tamę na rzece i zalać wodą jeden kraniec wąwozu, aż do granicy wsi. Potem, na drugim krańcu, wznieść dom z bali według własnego projektu, coś w stylu Old Faithful Inn, tyle że mniejszego i wygodniejszego. Musiał jednak lepiej znać się na kolei niż na budownictwie, bo w efekcie powstała prymitywna niezgrabna wielka chata z krytym gankiem, wychodzącym na

rozległy trawnik z widokiem na jezioro, a za nim na miasteczko. Widocznie w dawnych czasach bogacze zadowalali się prostszymi rzeczami niż obecnie.

Ale milionerzy i tory kolejowe należeli już jednak do przeszłości. Pozostało natomiast jezioro, dziwna pozioma płaszczyna o zmiennej barwie, osadzona w krajobrazie o pionowych liniach, tworzonych przez niebieskozielone góry. Chata jednak przetrwała, dziwne, rozpadające się miejsce do życia w samotności. Na parterze znajdowały się pomieszczenia dzienne: salon z potężnym kamiennym kominkiem i pięknymi niewygodnymi fotelami zrobionymi na zamówienie, skrzyniami służącymi za ławy, dębowymi stolikami i szafkami. Podłużna jadalnia z trójdzielnymi oknami wychodzącymi na jezioro i zamknięta wahadłowymi drzwiami ogromna kuchnia z małym stołem, przy którym siadała kiedyś służba, dojadając resztki. Na pierwszym piętrze były wąskie korytarze oraz sypialnie z okienkami pod sufitem i numerowanymi drzwiami, zbitymi z sześciu desek. Drugie piętro, pod dachem z okapami, stanowiło ciemną norę z pozbawionymi okien klitkami dla służby.

Kiedy Luce mieszkała sama, nieczęsto zachodziła na górę, ale nie ze strachu. Wcale nie. Prawie niczego tam nie było, tylko ramy łóżek i pajęczyny, a wiarę w upiory i tym podobne zostawiała innym. Nie wierzyła nawet w proroczy charakter złych snów. Jednak nienasycony świat duchów silnie działał jej na wyobraźnię, gdy nie spała o trzeciej nad ranem, sama w tym wielkim domu. Pogrążone w ciszy piętra, z zatechłymi pokojami i łóżkami dla gości oraz ich służących budziły w niej lęk. Czuło się tam upływ czasu. Jesteś tu i wkrótce już cię nie ma, a jedyne, co po tobie zostaje, to kilka przedmiotów.

Zupełnie jak w przypadku starego Stubblefielda, który przez kilka dziesięcioleci był właścicielem domu. Luce odwiedziła go kilka razy, kiedy umierał, i była przy nim do końca, widziała, jak w jego oczach gaśnie światło. W ostatnich godzinach przed śmiercią Stubblefield zajmował się głównie spisaniem majątku i ustalaniem, co kto ma dostać. Martwił się o nieruchomości, bo wszystko, co posiadał, miało przypaść jego jedynemu, nic niewartemu wnukowi. No i o kilka cennych rzeczy, takich jak srebrny serwis zmarłej żony i koronkowy obrus, w idealnym stanie, z wyjątkiem plamki od rdzy w jednym rogu. Ledwie widocznej. Szczególnie leżał mu na sercu los srebrnych lichtarzy, bo żona bardzo je lubiła. O dziwo, zapisał je Luce, której zupełnie się nie podobały, ani wtedy, ani później.

Łatwo nam lekceważyć to, co innym wydaje się cenne, i wypowiadać się o tym z ironią. Luce miała jednak nadzieję, że kiedy sama znajdzie się już na takim samym, cienkim marginesie życia, będzie raczej spoglądać za okno, aby zobaczyć, jaka jest pogoda, w jakiej fazie znajduje się księżyc, czy nie przelatuje jakiś samotny ptak. Na pewno nie będzie się przejmowała wysłużonymi łyżeczkami do herbaty. Ale Luce była o pół wieku młodsza od starego Stubblefielda i nie mogła wiedzieć, co będzie myślała i ceniła sobie, gdy przebędzie tak daleką drogę jak on. Życie jak dotąd nauczyło ją przede wszystkim tego, że na nikogo nie można liczyć. Człowiek powinien pracować, żeby się stać tym, kim chce, ale mijające lata i tak zmienią go nie do poznania. Mimo wszelkich wysiłków na koniec będzie sobą rozczarowany. I o tym Luce myślała za każdym razem, gdy wstępowała po schodach w ponurą przeszłość.

Przed przybyciem dzieci Luce się przekonała, że po zmroku najlepiej przebywać w salonie na dole, z kominkiem, butwiejącymi meblami, wysokimi regałami pełnymi książek, dużym stojącym na podłodze radiem, którego antena przypominała kierownicę packarda. Z osłoniętego siatką ganku przyciągnęła tam kozetkę i utworzyła przytulny kąt z paleniskiem i radiem, służący jej za

sypialnię. Na półkach stało mnóstwo zaczytanych starych powieści i prawie kompletna Encyklopedia Britannica, bez kilku tomów w środku alfabetu. Obok zaś biblioteczka Stickleya z kompletem słowników Webstera wydanych w 1913 roku. Miejsca, gdzie w sposób naturalny dotyka się rękami miękkich opraw, były wyraźnie pociemniałe, więc mogła sobie wyobrazić, jak przez całe dziesięciolecia goście po zjedzeniu śniadania złożonego z tłustych pasztecików podchodzili do biblioteczki, żeby poszukać w słowniku jakiegoś słowa.

Wieczorem, kiedy lampy były już zgaszone, reszta wielkiego pomieszczenia znikła w ciemnościach i tylko ogień na kominku oraz radio rzucały przyjazny blask na drewniane ściany. Luce zasypiała co noc, słuchając stacji z Nashville. Little Williego Johna, Howling Wolfa, Maurice'a Williama, Jamesa Browna. Cudownych piosenkarzy, ślących w mrok słowa nadziei i rozpacz. Modlitw nadawanych z Nashville i wychwytywanych przez odbiornik radiowy tu, nad górskim jeziorem. Dzięki nim nie czuła się samotna.

Dobrym towarzystwem w pogodnej nocy były także światła miasteczka. Żółte punkty i refleksy, które odbijały się w czarnej połyskliwej tafli jeziora. Jedyłą korzyścią z tego, że leżało na drugim brzegu, była obecność ludzi, w prostej linii bliska. Ale objechanie jeziora samochodem, przebycie tamy i dotarcie do zabudowań zabierało prawie godzinę.

Ta odległość wydawała się mniejsza, kiedy Luce, przyjechawszy pierwszy raz do Chaty, znalazła w zabudowaniach gospodarczych łódź z wiosłami. Do miasteczka można było dostać się nią zaledwie w dwadzieścia minut. Łódź jednak rdzewiała i powoli się rozpadała, więc podczas kilku pierwszych przepraw Luce, zamiast wiosłować, wybierała z niej wodę rondlem. A nie była zbyt dobrą pływaczką, przynajmniej nie na tyle, żeby dopłynąć ze środka jeziora do brzegu. Wyciągnęła więc łódź na ląd i pozostawiła tam na kilka dni do wyschnięcia, a potem któregoś wieczoru oblała ją naftą i podpaliła. Płomienie sięgały jej do piersi, ich odbicia tworzyły żółtawą poświatę na spokojnej powierzchni jeziora od strony miasteczka.

Później, gdy przebywała już w samotności od zbyt długiego czasu, wędrowała bez mała kilometr do domu Stubblefielda, dalej drugie tyle do Maddie i ponad półtora kilometra do małego wiejskiego sklepu, gdzie można było kupić wszystko, jeśli ograniczało się to do wędzonej kiełbasy, pszennego chleba, mleka, sera żółtego i konserw mięsnych, a także wszelkiego rodzaju napojów, batonów i paczkowanych ciast, jakie tylko są znane człowiekowi. Licząca blisko sześć i pół kilometra wyprawa tam i z powrotem, żeby tylko posiedzieć pół godziny na krześle przed sklepem, wysączyć napój wiśniowy, zjeść ciastko i popatrzeć na inne istoty ludzkie. Zawsze jednak zabierała z sobą książkę, na wypadek, gdyby była zmuszona przeczytać kilka stron, aby uniknąć niechcianej rozmowy.

Poprzedniego 4 lipca Luce siedziała przed Chatą na ganku, popijając cenny brązowy trunek z piwnicy i obserwując maleńkie fajerwerki po drugiej stronie jeziora. Wykwitające na niebie w miasteczku ognie stawały się kulami iskier wielkości dmuchawca, jakby na wyciągnięcie ręki. Dopiero kiedy zaczynały gasnąć, do domu docierały towarzyszące im wybuch i syk. Jesienią w piątkowe wieczory na wschodzie pojawiała się srebrna luna, bijąca od boiska do futbolu. Gdy któraś drużyna zdobywała punkt, rozlegał się cichy szmer, niczym wydech. W niedzielne ranki dobiegało zaś odległe bicie dzwonów u baptystów i metodystów, przypominające brzęk kostek lodu w szklance, i wtedy Luce zawsze przypominała sobie, jak matka mówiła: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”¹. Co Lola przekształcała w toast, unosząc w jednej ręce wysoką szklanę z krwawą mary i zapalonego papierosa w kilka

minut po tym, jak obudziły ją dzwony.

Dzieci przybyły w samym środku lata, tego dnia wilgoć aż wisiała w powietrzu, a powierzchnia jeziora była płaska i miała kolor żelaza. Wznoszące się po drugiej stronie góry nikły w oddali za miasteczkiem, przybierając coraz bledsze odcienie oliwki, aż rozpląwały się na jasnoszarym niebie. Luce patrzyła, jak dziewczynka i chłopiec wysiadają z tylnego siedzenia kredowobiałego forda sedan i stają obok siebie, gotowe do walki ze światem. Patrząc nie tyle gniewnie, ile tak, jakby cię widziały i jednocześnie nie widziały. Drapieźnie spoglądając blisko osadzonymi oczami i rozglądając się za jakąś okazją, która mogłaby się nadarzyć, ale nie chcąc nikogo przestraszyć. Jeszcze nie. Lisy zakradające się do kurnika – tak wtedy pomyślała Luce.

Miały na sobie nowe ubrania, które dostały od państwa. Dziewczynka – niebieską bawełnianą sukienkę w drukowane wzory, białe skarpetki i białe tenisówki, chłopiec – białą bawełnianą koszulę, sztywne nowe niebieskie dżinsy, czarne skarpetki i czarne tenisówki. Włosy koloru łupiny orzecha arachidowego sterczały im na wszystkie strony, jakby oboje ostrzygła w pośpiechu ta sama osoba, nie zważając specjalnie na ich pleć.

– Hej, witajcie, bliźniaki – odezwała się Luce.

Dzieci nie odpowiedziały, nie spojrzały na nią ani nawet na siebie.

– Hej – powtórzyła nieco głośniejszym głosem. – Mówię do was.

Nadal nic.

Popatrzyła im w twarze i dostrzegła całkowitą obojętność, wobec siebie samych i wszystkich innych. Miały takie miny, jakby nie chciały, żeby ktokolwiek się nimi interesował, choć one mogłyby się tym kimś zainteresować. Luce podeszła do samochodu, z którego bagażnika przedstawiciel państwa wyjął dwa tekturowe pudła. Postawił je na ziemi i dotknął mniejszego z nich czubkiem mokasy.

– Tu są ich ubrania – oświadczył. – A w tym drugim rzeczy pani siostry. Przedmioty osobiste. Luce prawie na niego nie spojrzała, wciąż patrzyła na dzieci.

– Co im jest? – zapytała.

– Nic takiego – odparł mężczyzna. Wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa. Wydawał się zmęczony długą jazdą. Dziesięć godzin za kółkiem.

– Coś jest z nimi nie tak – zauważyła Luce.

– Przeszły trudny okres.

– Co?

Luce stała i patrzyła na mężczyznę, podczas gdy on zaciągnął się dymem raz i drugi. W końcu nie wytrzymała.

– Dostaje pan pensję od państwa, a nie potrafi pan nawet mówić do rzeczy. „Trudny okres”.

Mężczyzna wyjaśnił:

– Jeden lekarz uważa, że mogą być opóźnione w rozwoju. Drugi powiedział, że są takie przez to, co widziały. Potem zostały zabrane z domu i umieszczone w ośrodku metodystów do czasu, aż się wyjaśni, co dalej. Do zakończenia procesu ich ojca.

– On nie jest ich ojcem. Są sierotami.

– To wyszło na jaw dopiero później. Więc już go tak nazywamy.

– A Johnson? – spytała Luce.

– Proces już niebawem. Facet zostanie skazany. Posadzą go na wielkim drewnianym krześle, przypną do niego pasami i wrzucą tabletkę do wiaderka. Tabletkę się rozpuści, a on niedługo

potem wyzionie ducha. Najbliższa rodzina dostanie zaproszenie.

– Żeby to oglądać?

– W ścianie jest okienko z grubego szkła, mętnego jak akwarium z brudną wodą. Jeśli przychodzi dużo ludzi, podchodzą po kolei. Okienko ma wielkość talerza obiadowego. Wszyscy się przy nim nie mieszczą.

– Chętnie przyjadę – oznajmiła Luce.

Spojrzała na dzieci, które tymczasem rozglądały się po podwórku przed domem. Chodziły wolno, ale nie bezładnie, przemierzały przestrzeń jak para różdżkarzy, którzy szukają żyły wodnej.

– A ten trudny okres – odezwała się znowu Luce. – To jedyna przyczyna, że są takie?

– Z tego, co wiemy.

Mężczyzna ogarnął spojrzeniem stary dom, jezioro i miasteczko na przeciwległym brzegu, zamglone w sierpniowej duchocie, widoczne w oddali jedynie jako niska geometryczna wyrwa w jednolitej zieleni lasu. Nad małymi budynkami z czerwonej cegły i białymi domami znajdującymi się na stokach przy uliczkach odchodzących od Main Street, wznosiło się kilka wież, grotów wymierzonych w niebo. W którąkolwiek stronę by spojrzeć, wszędzie tylko góry i lasy.

Mężczyzna zatoczył papierosem dwa kółka, wskazując całe to samotne piękno i schyłek.

– Patrząc stąd, trudno uwierzyć, że tak długo jedzie się tu z miasteczka – zauważył.

– To duże jezioro.

– No. I te wszystkie kręte drogi.

– Cóż – odparła Luce.

– A dalej, co? Nic?

– Droga ciągnie się jeszcze przez kilka kilometrów, ale nikt tam już nie mieszka.

Mężczyzna popatrzył na wyblakłą drewnianą tablicę, która wisiała na dwóch zardzewiałych łańcuchach nad schodkami wiodącymi na ganek. „Chata Wayah”.

– To indiańska nazwa? – spytał.

– Czirokezka. Wayah znaczy wilk.

– Nie wiem, z czego pani tu żyje – skwitował.

Luce spojrzała mu w oczy, starając się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Już nie przyjmuje się tu turystów? – podjął.

– Przestali tu przyjeżdżać w czasie wielkiego kryzysu czy drugiej wojny światowej. Ja tylko opiekuję się tym miejscem.

– Dobrze pani płacą?

– Mieszkam tu, uprawiam ogród i zajmuję się sadem. Dostaję stałe wynagrodzenie.

– Wynagrodzenie? – dopytał zdziwiony.

– Tak się na to mówi, gdy pensja jest zbyt mała, żeby można było nazwać ją inaczej. Tyle że starszy pan zmarł. To znaczy właściciel. Teraz więc wynagrodzenie jest jakby zawieszono.

– Utrzymanie dzieci może być kosztowne – zauważył mężczyzna. – Żeby je wyżywić, ubrać i tak dalej...

– A nie dano na nie żadnych pieniędzy? – upewniła się Luce.

– Dziadkowie nie mogliby pomóc?

– Nie, nie mogliby.

– No to nie wiem. Gdyby znalazła pani kogoś do dzieci, mogłaby się pani przenieść do miasteczka i znaleźć sobie lepszą robotę.

– Gdybym znalazła...

– Hm.

– Jakoś sobie poradzę. Pan i rząd przecież nie będziecie się nami zbytnio przejmować, gdy już wsiądzie pan do auta i wróci do stolicy.

– Ma pani tu elektryczność i bieżącą wodę?

– Czy to warunek? – odpowiedziała pytaniem Luce.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Luce wskazała kciukiem przechylony słup wysokiego napięcia przy drodze i czarne wiszące kable, które prowadziły do białego ceramicznego elementu pod okapem ganku.

– Wyszliśmy z dziewiętnastego wieku już kilka lat temu – wyjaśniła.

Mężczyzna po raz ostatni zaciągnął się papierosem i odrzucił niedopałek, jakby to nie był wcale śmieć, bo przez chwilę miał bliską styczność z jego układem oddechowym. Tłący się jeszcze pet odbił się od pnia sosny i wylądował wśród brązowych igieł.

Luce podeszła do niego, ujęła go za filtr w kolorze ciała i rzuciła na podjazd z rudej gliny, a następnie przydeptała. Trzy razy wytarła kciuk i palec wskazujący o dzinsy na udzie, czyli pewnie raz czy dwa za dużo.

– Pewnie by pani nie uwierzyła, jak mało mi płacą za tę przeklętą robotę.

– Może i bym uwierzyła – odparła Luce.

Tego wieczoru, Luce wymyśliła, gdzie ulokować dzieci w Chacie. Przyciągnęła z ganku jeszcze jeden leżak i ustawiła go po drugiej stronie kominka, naprzeciwko swojego łóżka. Dzieci szybko zasnęły przy ściszonej radiu, zmęczone po ciężkim dniu, Luce natomiast unosiła się na krawędzi snu przez trzy zmiany spikerów.

Przyzwyczajona do spokojnego rytmu długich dni przed przybyciem dzieci, zdawała sobie sprawę, że byłaby naiwna, gdyby sądziła, iż nic się w jej życiu nie zmieni. Okres, kiedy była panią swojego czasu i mogła ruszyć drogą, gdy tylko chciała, wolna jak ptak, dobiegł końca. Choć, prawdę mówiąc, życie bez ograniczeń, mimo wszystkich swoich przyjemności, miało pewne wady. Podróżując autostopem, bardziej ufa się ludziom, niż są w stanie to znieść. Idziesz przed siebie i niewiele się zmienia. Musisz uważać, żeby unikać nudy. Choć twoje wysiłki są nagradzane. Spotykasz po drodze starszych ludzi z ich ciężko wypracowanymi dziwactwami.

Na przykład Maddie, żyjąca we własnym świecie od 1898 roku. Albo, niech będzie, od 1917. Trudno określić jej wiek, bo była stara od zawsze. Jej dom stał nieco z dala od drogi i u schyłku lata całe podwórko tonęło w kwiatkach. Jeżówki, mieczyki, rudbekie i tojeści, splątane i tworzące gąszcz. Jesienią papryczki chili i fasola schnące na bawełnianych sznurach, przeciągniętych między filarami ganku. Maddie zazwyczaj przebywała w swojej wiejskiej kuchni, z piecem opalonym drewnem, stołem i kamiennym kominkiem pokrytym sadzą od ognia rozpalanego tysiące razy przez kobiety, które teraz już nie żyją. Z obecnego stulecia pochodziło tylko kilka żarówek wiszących na splątanych kablach pod sufitem.

Maddie nosiła bawełniane sukienki w kwiatowe wzory, w chłodniejszych miesiącach narzucała na nie zmechacone kardigany. Być może w młodości była wysoka i smukła jak topola, ale czas sprawił, że nabrała ciała, stała się grubsza i niższa, z każdym rokiem coraz bardziej zgarbiona, aż z dawnej dziewczyny pozostały tylko bystre niebieskie oczy, które wyblakły niemal

do koloru stali. W niektóre dni miewała dobry humor. Używała jedynie tych słów, których nauczyła się w okresie dorastania, innych nie chciała znać. Natenczas i naówczas. Murawa. Odziewać się. Gdy miała zły dzień, trzeba się było domyślać z kontekstu, o czym mówiła. Początkowo miejsce, w którym mieszkała Maddie, wydawało się Luce nierealne, życie w nim wciąż kręciło się wokół zarzynania wieprzy, chodzenia po wodę, lamp naftowych, przybudówek i tak dalej. Aż któregoś dnia zdała sobie sprawę, że ostatnio jej życie wygląda podobnie.

Kiedy Luce zachodziła z wizytą, Maddie podawała jej zimną wodę źródlaną, którą powgniatanym czerpakiem nalewała do szklanki, i śpiewała piosenkę. Znała wiele starych ballad o dziewczętach wpadających w kłopoty i mordowanych przez mężczyzn, którzy jeszcze niedawno chcieli je uwieść. Zawodziła wysokim przepętnionym emocjami głosem, w tonacji, której nie osiągnęłaby młoda dziewczyna, wyśpiewując słowa, zmierzające do cichnącego zakończenia. Były to piosenki, które powinno się śpiewać w ciemne noce. Uwiedzione dziewczęta padały zadżgane, zastrzelone albo uderzone w głowę, a potem były grzebane w zimnej ziemi albo wrzucane do ciemnej toni rzek. Ładna Polly. Mała Omie Wise. Giń, giń, panienko z Knoxville. Czasami nie dochodziło nawet do uwiedzenia. Mężczyzna zabijał dziewczynę, bo nie mógł jej zdobyć; jeśli go nie chciała, była to dla niego śmiertelna zniewaga. W balladach miłość, śmierć i żądza posiadania były nierozłączne jak przyciasna obrączka i spuchnięty palec.

Wtedy Luce uważała, że śpiewane przez Maddie piosenki są tylko ciekawym reliktem przeszłości, ale jej siostra, występując przeciwko Johnny'emu Johnsonowi, dowiodła, że głoszą nieprzemijającą prawdę. Emocje od początku osiągały taką temperaturę, że na pewno przykro było patrzeć, choć Luce czytała o nich z fascynacją w sporadycznych listach od Lily, w których miłosne dzwony przypominały raczej sygnał straży pożarnej. Duchowe potrzeby Lily były jak płomień lampy naftowej w świecie materialnym. Miłość, miłość, miłość. Tak opisywała tych kilka miesięcy wypełnionych pożądaniem. Każdy list kończył się podpisem złożonym z okrągłych liter: „Uściski, Lily”.

Teraz Luce leżała bezsennie w ciemności, wiedząc, że krwawe ballady Maddie opisują rzeczywistość. Uczyły też, że ogień namiętności bardziej trawi kobietę, niezależnie od tego, jak romantyczne, wielkie i dotkliwie jest cierpienie mężczyzny, zwłaszcza z perspektywy czasu. Luce wyobrażała sobie, że ogląda zabójcę Omie Wise przez okienko z mętną szybą. Że widzi pętlę na jego szyi i klapy zapadni, odsłaniające czarną otchłań pod jego stopami. Och, jakżeż wtedy musiał tęsknić i żałować. Ale było za późno. Lily też za późno się przekonała, że namiętność i pasja nie wróżą niczego dobrego – tylko lawinę złych wieści.

Luce próbowała zasnąć, ale koniki polne, szarańcza i inne grające owady emitowały w letnią noc brzęczenie wysokiego napięcia. Wstała więc i włączyła ciemną lampę z miki. Podeszła na palcach do dębowej szafki i wyjęła z niej pudełko po cygarach. Dzieci spały, więc usiadła w kręgu złotego światła i trzymając pudełko na kolanach, zaczęła przeglądać listy Lily sprzed kilku lat. Pisane zamasyście, szczęśliwą ręką, lawendowym, zielonym albo jaskraworóżowym atramentem na pastelowym papierze w pasującym odcieniu.

Otwierała koperty na chybił trafił i czytała ich zawartość, aż dochodziła do zdania, które uświadamiało jej straszliwą naiwność Lily i zbytnią wiarę w ludzi. Wszyscy, których poznawała, byli wspaniali, w ogóle rozciągała się przed nią świetlana przyszłość. Każda strona była dowodem przeciwko niej. Luce nigdy nie przebrnęła przez żaden z tych listów. Wkładała je do ślicznych kopert nieprzeczytane do końca.

Postanowiła, że przeczyta wszystkie dopiero wtedy, gdy będzie umiała je docenić. Kiedyś w przyszłości, kiedy stanie się lepszym człowiekiem i będzie mogła poczuć coś więcej niż tylko palący gniew, że jej piękna, delikatna siostra nie potrafiła się lepiej chronić przed tym groźnym światem.

Bud był przystojnym mężczyzną, przynajmniej według dawnych kanonów, w stylu minionych lat pięćdziesiątych, które wciąż uwielbiał. Wydatne kości policzkowe, bokobrody, podniesiony kołnierzyk i lok na czole w kształcie idealnego przecinka, ułożony za pomocą nabranej dwoma palcami brylantyny Royal Crown. Tak naprawdę nie miał na imię Bud. Kiedyś, w czasach jego młodości, jakaś naiwna dusza uznała go za przyjaciela i nazwała Buddym Buserem.

Był notowany już jako nastolatek, bo w kieszeni płaszcz wyniósł ze sklepu wielobranżowego plik winyli, żółtych czterdziestek piątek wytwórni Sun. Od pierwszego dnia w szkole średniej trzymał w szafce pistolet małego kalibru, głównie po to, żeby robić wrażenie na dziewczynach i dostać się w krąg łobuzów i zabijaków. Zresztą odnosił sukcesy na obu frontach. W wieku czternastu lat, w epoce, kiedy przyjsie na prywatkę z jednym piwem czy dwoma było aktem odwagi, on zjawił się z trzema skrzynkami schlitza, które przywiózł skradzionym samochodem. Zajechał na podwórko z fasonem, wyskoczył z wozu, otworzył bagażnik i pokazał siedemdziesiąt dwie puszki tkwiące w kostkach lodu, które zalśniły w świetle ganku jak klejnoty koronne jakiegoś pomniejszego państwa. Stał się wtedy dla wszystkich bohaterem – z wyjątkiem chłopaka, któremu rodzice, wyjeżdżając na weekend, zostawili wolną chatę.

I tak wyglądała cała jego młodość. Bud zaliczył kilka nadzorów kuratorskich, a potem odsiedział dwa lata za recydywę, co gorsza, gdy go zatrzymano, miał przy sobie broń. Więzienie dla młodocianych, o złagodzonej rygorze, było strzeżone tylko trochę lepiej niż wybieg dla kurcząt, ale Bud postanowił odsiedzieć wyrok. Niewiele jednak z tego miał. Równie dobrze mógł dać nogę. Zalecenia zaniepokojonych wychowawców sprowadzały się do jednego: że Bud powinien uczyć się odraczać gratyfikację i znaleźć sobie hobby, na przykład słuchanie europejskich stacji radiowych, nadających na falach krótkich. Bud spytał: a strzelanie ze śrutówki do szcurów na wysypisku śmieci? To nie przeszło, nie tylko dlatego że śrutówki były z niewiadomego powodu nielegalne. Stanowiło to jakiś problem, który wychowawca sobie notował i potem wykorzystywał przeciwko wychowankowi, jeśli podał złą odpowiedź. Na przykład kiedy pytał o nawyki w publicznej toalecie: czy naciskasz spłuczkę nogą i otwierasz drzwi łokciem. Bo jeśli tak, to biada ci. Jesteś stuknięty. Od tej pory wszystkie drzwi będą przed tobą zamknięte.

Po zwolnieniu z więzienia Bud przez kilka lat się tułał. Pracował dorywczo i kradł. Sprzedawał różne używki, dorabiając sobie do pensji pracownika stacji benzynowej. A potem dostał pracę w stolicy, na kolei. Przez jakiś czas co piątek inkasował pobory. Mówił ludziom, że pracuje w straży kolejowej, ale to jego kumpel Billy w niej pracował. On sam został zwolniony po tygodniu. Nie można było liczyć, że skopie tyłki włóczęgom, i to nie dlatego że brakowało mu woli. To była kwestia zdrowego rozsądku. Pierwszego dnia w robocie natknął się na wielkiego bysia, na którym nie zrobiła wrażenia jego pałka ani służbowa plakietka. Bud od razu wpadł w panikę i uciekł, bo wiedział, że nie ma szans i zdrowo oberwie. Posadę w straży stracił niedługo potem, gdy posunął się za daleko wobec pewnego dziada, który jeździł koleją na gapę

od krachu na giełdzie w dwudziestym dziewiątym. Walnął go pałką, a potem skopał służbowymi buciorami do nieprzytomności. Po tym zdarzeniu pełnił funkcję dozorca. Zamiatał, splukiwał betonowe osłony, przerzucał śmieci z mniejszych pojemników do większych. Do ważniejszych jego obowiązków należało olejenie ocierających się o siebie metalowych części, które łączyły sprzęgi.

W tym dziwnym okresie w miarę normalnego funkcjonowania poznał ładną młodą wdowę z dwojgiem dzieci i kiepską znajomością ludzi. Nikt, kto go znał, nie przypuszczał, że jego głównym powołaniem jako kryminalisty okaże się przemoc. Specjalizował się przecież w różnych formach kradzieży. Wszyscy byli więc zdziwieni, gdy ożenił się z Lily i wkrótce potem ją zabił.

Jako dziecko Bud musiał chodzić do kościoła, gdzie pastor na ambonie przez większość czasu rozprawiał o ranach i krwi Chrystusa. Przesłanie nie budziło wątpliwości. Najważniejsza jest krew, święta ceremonia dzielenia się nią. Reszta życia Chrystusa – jego działalność, przypowieści, miłość – stały się czymś pobocznym wobec krwawej ofiary, która popłynęła z arterii i zalała świat. W niektóre niedziele kazania były tak żarliwe i sugestywne, że mały Bud aż do następnego ranka nie mógł usunąć obrazów rzezi sprzed oczu. Co oznaczało ciemne godziny koszmarów, przerywanych długimi okresami przepelnionej lękiem bezsenności w mokrej od potu pościeli, dopóki w poniedziałek nie nastał świt.

W nowym pogodnym kościele, do którego chodził z Lily jako dorosły, też cały czas mówiono o Jezusie, ale nigdy nie skupiano się na jego krwi. To byłoby zbyt krepujące dla potulnej gromadki wiernych. W kościele znajdowało się łukowate okno z witrażem, który przedstawiał Jezusa na zielonej trawie w aureoli żółtego światła na tle błękitnego nieba. Był ładnym blondynem, długie jasne włosy spływały mu na ramiona, a biała szata opadała do stóp. Rozkładał ręce dłońmi do góry, a wokół niego stały dzieci, owieczki i inne młode zwierzęta gospodarskie.

Dla Buda ta wizja była niesatysfakcjonująca. A właściwie odrażająca w swojej schematyczności. Ze względu na Lily dał wyraz resztkom wiary, które w nim pozostały, tatuując sobie na lewym bicepsie krwawiące serce. Było to dość bolesne i nie do usunięcia. I okazało się artystyczną porażką, bo wyobrażał sobie to serce bardziej dosłownie, w kształcie anatomicznym, a wyszła raczej walentynka.

Mimo to tatuaż w zadowalający sposób harmonizował z naszyjnikiem Buda, dużym czarnym skamieniałym zębem rekina, który Lily znalazła podczas odpływu na plaży w Surfside, dokąd pojechali w podróż poślubną, i kazała oprawić w srebro, żeby Bud mógł go nosić na rzemieniu. Ząb liczył miliony lat, ale wciąż można było się skaleczyć w palec o jego postrzępioną krawędź, co Bud zrobił, kiedy z tatuażu jeszcze sączyła się krew, i tym przypieczętował swoje poczucie harmonii między jednym a drugim. Krew Jezusa i jakiś wielki czarnooki rekin, który przed milionami lat barwił na czerwono dziwne wody. Oba symbole reprezentowały tę samą rzeczywistość. Naszyjnikowi można było nadać szczególne znaczenie – wynikające z faktu, że rekiny giną, jeśli przestają płynąć – przesłanie przydatne przy każdej życiowej pomyłce. Należy iść dalej. Tatuaż głosił równie zwięzłą i niepodważalną prawdę. Wszyscy kiedyś umrzemy.

Bud też przelał sporo krwi. Nie zawsze był z tego dumny, ale choć nie przyznał się do winy, była oczywista. W więzieniu przed procesem wszyscy widzieli w nim beznadziejny przypadek. Przed pierwszym dniem rozprawy zabijał więc czas, próbując poukładać sobie wszystko w głowie, zanim z krzywym uśmiechem na twarzy usiądzie na wielkim krześle i wciągnie

głęboko w płuca gaz.

To, że Bud i Lily nie pasują do siebie, wyszło na jaw, gdy tylko zakończył się etap ich gorących zalotów. Krótko mówiąc, Bud uświadomił sobie, że małżeństwo to nie tylko zabawa. Lily szybko przestała być jego wymarzoną kochanką. Dzieci były wtedy jeszcze całkiem normalne, ale stale go irytowały. Ile mógł trwać romans, jeśli wciąż chciały czegoś, co stanowiło jego przeciwieństwo: żeby im wycierać tyłki albo pomagać się wysmarkiwać?

Niedługo, tak brzmiała odpowiedź.

Poza tym Lily odziedziczyła dom po swoim pierwszym mężu, szorstkim niewyżyтым kierowniku sklepu spożywczego, który zrobił jej bliźnięta, a potem się zawinął i umarł, jeszcze zanim zdążyły się urodzić. Buda wkurzało, że mieszka w domu innego faceta, choćby i martwego. Przeszkadzało mu też, że Lily ma własne pieniądze. Trochę po zmarłym mężu, a trochę z pracy. Była fryzjerką. Dostała od państwa licencję na obcinanie i farbowanie włosów i umówiła się ze starszą panią mieszkającą przy tej samej ulicy, że ona będzie doglądać jej dzieciaków podczas pracy w zakładzie fryzjerskim.

Bud miał mocny argument: to on był facetem, więc Lily powinna przepisać dom na niego i rzucić pracę. Ale kłótnie prowadziły donikąd, zwłaszcza że pensja, którą pobierał co tydzień na kolei, nie wystarczała na pokrycie wszystkich wydatków. Bud zresztą mógł wyłożyć najwyżej jedną trzecią, co wydawało mu się słuszne, mniej więcej. Mimo to złościło go, kiedy Lily wychodziła rano w świat, wystrojona w swój obcisły fartuszek i białe buty na grubej podeszwie, jakby była pielęgniarzką. Zwykle malowała wtedy usta szminką, usuwała jej nadmiar chusteczką higieniczną, którą wyrzucała do kibla, i znikwała. Chusteczka pływała niespuszczona w muszli i Bud odlewał się na idealny odcisk usteczek Lily.

A jeszcze bardziej wkurzające były jej uwagi podczas rozmów z innymi, że przynosi do domu znacznie więcej forsy niż on. Chociaż te kwoty zbliżały się do siebie, jeśli się odjęło napiwki, które według niego były czymś w rodzaju jałmużny. Mówił Lily, żeby przestała brać od bogatych babć z niebieskimi włosami pieniądze wtykane jej do ręki w drodze do drzwi. To ją poniża, a jeszcze bardziej jego. Jakby się ożenił z dziwką.

Lily odpowiadała: „Nie, nie przestanę brać napiwków. Zarabiam na nie. Taka praca. Możesz nie jeść tego, co za nie kupuję”.

Takie bezceremonialne odpowiedzi i ogólnie atmosfera w domu doprowadziły do tego, że Budowi zaczęło się palić pod tyłkiem. Obudziła się w nim ambicja i wkrótce skombinował pieniądze. Pewnego popołudnia on i jego kumpel Billy, zamiast wziąć się do pracy, palili skręty, słuchali radia i psioczyli na swoją robotę. I wtedy ni stąd, ni zowąd Billy zaproponował mu wspólny numer z włamaniem. Do chałupy pewnego bogatego gościa, u którego niedawno odwalał fuchy. W jego domu na pewno znalazłoby się trochę rzeczy, które można by wstawić do lombardu – zegarki, biżuteria i srebrna zastawa; wystarczyłoby na życie i całkiem spore kieszonkowe przez kilka miesięcy, dopóki nie wymyślą, co dalej.

Bud z zasady nie brał się do cięższych przestępstw. Więzienie dla młodocianych było wystarczająco ciężkie i wolałby nie siedzieć z dużymi chłopakami. Ale to miała być jednorazowa robota, z zachowaniem środków ostrożności.

Tyle że facet, u którego pracował Billy, był zamieszany w jakieś szemrane interesy w handlu nieruchomościami czy inne duże półlegalne transakcje, wymagające gotówki. W szufladzie, obok biżuterii żony i fikuśnego zegarka, trzymał pudełko na buty w rozmiarze czterdziestym

piątym, a w nim – kupę forsy. I kilka dni po tej robocie gość wypłynął na powierzchnię dużego jeziora piętnaście kilometrów na północ od miasteczka, co było dziwne i trochę smutne, choć nikt specjalnie się tym nie przejął.

W pudełku po butach znajdowały się pliki banknotów, wszystkie ułożone równiutko i spięte gumkami. I tak wysokie, że sięgały niemal do pokrywki. Te na samej górze, piątki i dziesiątki, były sfatygowane. Więc gdy tylko je zobaczyli, uznali, że trafiła im się premia. Później jednak, kiedy dokopali się do dna pudełka, stwierdzili, że na dole znajdują się nowiutkie setki w czerwonych banderolach.

Billy prowadził wóz, więc Bud przeliczył forszę. W takim małym pliku, liczącym prawie półtora centymetra wysokości, znajdowało się dziesięć tysięcy dolców. Kto by pomyślał?

W pierwszych dniach więc szaleli i kiedy Bud wreszcie wrócił do domu, był pijany w sztok i padał z nóg. Lily, oczywiście, skorzystała z sytuacji i na niego wsiadła. Gdzie się podziewał? Pił, to jasne. A potem zaczęła wyliczać wszystkie jego wady, świadczące o tym, jakim to jest zerem.

Pod wpływem głupiego impulsu, aby dowieść Lily, że nie ma racji, Bud wsadził ręce do kieszeni, wyjął pliki setek i rzucił je wszystkie na łóżko. Ktoś głupi i uczciwy musiałaby pracować od rana do nocy, żeby zdobyć taką forszę, a i tak szefowie płaciliby mu w drobniakach od godziny.

Lily przerzuciła kilka plików, a potem zaczęła go wypytywać, skąd je ma, bo wiedziała, że tyle by nie zarobił, choćby żył tak długo jak Matuzalem.

Bud leżał wyciągnięty na łóżku wśród swoich łupów, z rękami splecionymi na karku i zadowoloną miną, nic nie mówiąc. Niestety jednak niebawem zasnął albo z przepicia stracił przytomność. Kiedy się obudził następnego dnia, pieniądze zniknęły, a gdy tylko ruszył głową, pokój wirował szaleńczo. Próbował wstać, ale cały świat przekrzywił się pod kątem ostrym do działania grawitacji. W drodze do kibla Bud objął się więc o ściany i w końcu opadł na kolana.

Po kilku ciężkich dniach, gdy przejaśniło mu się w głowie i wrócił apetyt, zaczął pytać, co się stało z pieniędzmi. Całkiem spokojnie, bo nie mógł już ich odzyskać ani na nie liczyć. Sam wyłożył je na łóżko, żeby się popisać. A potem jeszcze zrobił Lily prezent, odpływając w niebyt i rzygając przez dwa dni, żeby mogła pokombinować i ukryć forszę.

Lily nie chciała powiedzieć, gdzie są pieniądze. Mówiła jedynie, że w bezpiecznym miejscu. Postanowiła nie dociekać, skąd pochodzą. To nie ona je ukradła. Tylko znalazła. Zamierzała je przechować. Jako zabezpieczenie. Wyjmować co miesiąc po trochu, na rachunki. Ubrania i buty dla dzieci. Może kupować z nich co kilka lat używany samochód, w dobrym stanie. To było żalotne. Pokazywało, co się porobiło z ich małżeństwem. Lily straciła całą dawną fantazję. Człowiek zdobył dość pieniędzy, żeby zacząć życie od nowa, na wielką skalę, a ona zamierzała je trzymać w skarpecie i wydawać po trochu na pierdoły.

W następnych dniach Bud zaczął się złościć. Gdzie się podziała ta przeklęta forsa? Gdy Lily nie było w domu, gorączkowo przetrząsał wszystkie głupie zakamarki, które mogła uznać za sprytne kryjówki, ale bez powodzenia. Potem zaczęły się awantury. Tak to nazywali od czasu, kiedy Bud podniósł na Lily rękę.

Pierwszego razu przez trzy dni nie chodziła do pracy, dopiero potem udało jej się zamaskować siniaki makijażem. Awantury jednak trwały dalej; czasami przebiegały łagodnie i wynikały z przyzwyczajenia, a czasami kończyły się krwawo. Którejś nocy Lily niemal ustąpiła. Następnego ranka poszli do notariusza i dopisali nazwisko Buda na akcie własności domu, a prawnik udawał, że nie widzi, jak wyglądają jej wargi i lewe ucho ani jak trzyma prawe ramię.

Ale dla Buda akt własności nie był już taki ważny. Za swoje pieniądze mógłby kupić kilka kwartałów ziemi z takimi budami jak dom Lily. Chodziło mu o zasady.

Później awantury przebiegały już mniej gwałtownie, ale się nie skończyły, bo Lily wciąż nie chciała zdradzić, gdzie są pieniądze. Nastąpiło częściowe zawieszenie broni. Tylko że nastąpiły dziwne dni, kiedy Lily była na tyle nierozsądna, żeby zostawiać Buda samego z dziećmi, i potem musiał się tłumaczyć, skąd smarkacze mają siniaki i czerwone pręgi.

Mimo wszystkich jej prowokacji Bud nie zadźgałby Lily, gdyby pewnego dnia nie wróciła niespodziewanie do domu. Weszła bez pukania w szczególnie niefortunnym momencie. I zaczęła krzyczeć: „Zabiję cię, ty skurwysynu, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu”.

To były jej ostatnie słowa na ten temat czy jakikolwiek inny, ponieważ zginęła podczas awantury, która się potem wywiązała. Niemal czarna krew na białym linoleum w kuchni, Bud chwytający nóż rzeźnicki z czarną rękojęścią i ostrzem o tak cienkiej zakrzywionej krawędzi, że prawie niewidocznej. Ledwie słyszalne w oddali syreny, skutek interwencji sąsiada, który miał już dosyć wiecznych kłótni. I dwoje zmartwiałych dzieci patrzących na tę scenę z progu jadalni.

Matka. Co za beznadziejny pomysł. Luce nigdy nie chciała nią być, a własnej nie widziała mniej więcej od trzeciej klasy podstawówki. Rzadko wspominała Lolę, a jeśli już, to widywała ją oczami wyobraźni w ładnej letniej sukience. W różowe kropki albo połyskującej, limonkowozielonej. Z marszczoną spódnicą i obcisłym stanikiem, nad którym wznosiły się piegowate opalone piersi. Czasami Lola pachniała jak szminka, czasami jak wilgotny mech rosnący na brzegach potoku, a czasami zalaływało od niej szkocką. Jej włosy zmieniały kolor kilka razy do roku jak korona drzewa liściastego. Kiedy Luce w piątej klasie poznała to określenie, „drzewo liściaste”, kojarzyło jej się z listami, nie liśćmi.

W kiepski dzień Lola potrafiła przy najmniejszym objawie nieposłuszeństwa wymierzyć taki policzek, że paliła cię cała twarz. Kiedy na przykład ty i twoja siostra klóciłyście się na tylnym siedzeniu samochodu. Lola nie przejmowała się współmiernością kary i winy. Wyciągała rękę za siebie i waliła na ślepo tę z nich, którą zdołała dosięgnąć. Zostawiała czerwone ślady palców na nodze albo twarzy, cały czas prowadząc wóz, trzymając w drugiej ręce papierosa i wyrzekając głośno, jakie to żalosne bachory urodziła. Parę kilometrów dalej, gdy tylko przestałaś płakać, zatrzymywała się przy drodze i ścisnęła cię aż do utraty tchu. Lola ignorowała cię przez całe dni, a potem wyrastała przed tobą i domagała się twojej uwagi. Nie wiadomo było, co jest gorsze.

Będąc we wspaniałomyślnym nastroju, Luce dopatrywała się tragedii Loli w tym, że matka mieszkała w nieodpowiednim miejscu albo że wyszła za mąż zbyt wcześnie za nieodpowiedniego mężczyznę. Ale może tak jak uroda niezadowolone było po prostu jej cechą wrodzoną i ludzie wokół niej musieli sobie z tym radzić, gdy ona sama odpływała beztrąsko w stronę błękitnego horyzontu. Tak czy owak, wynikały z tego głośne, zakończone szlochami dziecinne kłótnie między jej córkami, będące wyłącznie winą Luce, choć obie dostawały za nie po równo. Lola, sama prawie jeszcze nastolatka, mówiła: „Już ja wam dam powód do płaczu”.

Jedynym samorodkiem mądrości, jaki przekazała córkom, było: nigdy, przenigdy nie płacz. Gdyby więc ktoś kiedyś przyszedł do Luce z pytaniem, co wyryć na grobie Loli, odpowiedziałyby, że właśnie te cztery słowa.

Jesienią mijały trzy lata, odkąd Luce zamieszkała w Chacie, i przez cały ten czas nie brakowało jej współczesnego świata. On i tak na ciebie napiera, jak ktoś stojący przed tobą, kto krzyczy i podskakuje, żeby namieszać ci w głowie. Nie zważaj na niego, a zniknie, tak samo jak duchy, jeśli je zignorujesz. Oni wszyscy stają się jak powietrze. Nie są nachalni. To tylko dym, wyciągany przewodem kominowym.

Po co ci świat? Luce zadawała sobie to pytanie przez trzy lata i odpowiedź, do której doszła, była całkiem prosta. W niepokojąco wielu sytuacjach nie jest ci potrzebny. Wręcz przeciwnie, świat szkodzi. Powoduje szum w uszach, pozbawia cię świadomości, kim naprawdę jesteś. Próbowала więc codziennie surowo przetrzebiać rzeczywistość, zachowując z niej tylko krajobraz, pogodę, zwierzęta i nocne audycje radiowe.

Luce była tego wszystkiego pewna, ale nie miała w sobie nic z kaznodziei. Nie chciało jej się wpajać tych przekonań dzieciom. Chociaż na początku próbowała z nimi rozmawiać. Usiłując wypełnić obowiązki opiekunki, pytała zwięźle o to, co lubią. Ponieważ nie dostawała odpowiedzi, w końcu doszła do wniosku, że nie umieją albo nie chcą mówić, ale w przeciwieństwie do głuchej kobiety z miasteczka, która podejmowała wszelkie wysiłki, żeby zasypać przepaść między nią a innymi gestykulacją i mimiką, dzieci nawet na Luce nie patrzyły. Kiedy próbowała skłonić je do mówienia, wskazując różne rzeczy w zasięgu ręki – wodę, drzwi, kurę, buk, księżyc – i wymieniając ich nazwy, spoglądały tylko na jej palec. Czasami miała wrażenie, że wiedzą więcej, niż mogłoby się zdawać, a innym razem wątpiła, czy kiedykolwiek będzie w stanie się z nimi porozumieć.

Na początku uważała, że powinna być wdzięczna i trzymać buzię na kłódkę. Postanowiła nadal prowadzić dom jak klasztor z klauzurą milczenia. Nawykła do ciszy. Ale trwała w tym postanowieniu zaledwie przez kilka dni, bo potem pojawił się drugi martwy kogut i pomyślała, że jeśli nawet nie ma w sobie kaznodziei, to powinna stać się nauczycielką.

Może te miastowe dzieciaki nigdy wcześniej nie widziały żywych kurcząt. Może nie były świadome związku między żywym ptactwem a pieczonym udkiem czy dwoma pysznymi kęsami jajka na ostro, z majonezem, piklami i papryką, które pochłaniały jak odkurzacz, jakby nigdy wcześniej ich nie widziały – bo może nie widziały. Luce zauważyła, że dzieci lubią jeść i zbytnio nie wybrzydząją. Wcinały z apetytem aromatyczne kabaczki, ugotowane na szaro i przypominające mokre gazety. Grube plasterki wędzonej kielbasy, odkrajane od długiego czerwonego pęta w wiejskim sklepiku. Kalarepę oblewaną octem tak ostrym, że aż łzy napływały do oczu. Duszone pomidory i rozłazącą się okrę. Albo, kiedy Luce nie chciało się gotować, chleb z plasterkami pomidorów i grubą warstwą masła. Cokolwiek się przed nimi stawiało, dzieci pochylały głowy i jadły łapczywie, jak wygłodzone psy myśliwskie.

Któregoś mglistego ranka pod koniec lipca Luce zabrała je więc na poszukiwanie jajek w kurniku; była to pierwsza lekcja z cyklu pod tytułem: skąd się bierze jedzenie. Luce zawsze była zachwycona, gdy znajdowała na grzędzie cudownie świeże, usmarowane odchodami jajka, i zamierzała podzielić się tym uczuciem. Jeszcze zanim bliźnięta przeszły przez próg, zaczęła wyrzucać z siebie słowa jak nauczycielka. Wyjaśniła, po co się hoduje kurczęta, mówiąc do dzieci, jakby coś z tego rozumiały i mogła się do nich przebić.

Po pierwsze, oboje naprawdę polubili pieczone kurczaki i potrawkę z nich. Po drugie, Luce nie mogła sobie pozwolić na kupienie kurczaka w sklepie w miasteczku, obecnie zaś po podwórku chodziło już niewiele takich, które nadawały się do jedzenia. Luce je policzyła. Było ich siedem. Dlatego zabijanie kurcząt dla zabawy jest nie tylko podłe i w przyszłości wraca do człowieka w postaci nieszczęść i kłopotów, ale całą trójkę pozbawia też pieczonych, duszonych i gotowanych przysmaków na długi czas.

Może wywodowi Luce brakowało spójności, ale lekcja była prosta. Jeśli się postępuje z kurczakami mądrze, ma się jajka i od czasu do czasu mięso. Jeśli się postępuje niemądrze, nie ma się ani jajek, ani mięsa.

Dzieci chodziły po kurniku w mętym ciemnym świetle i zaglądały na zakurzone grzędy oraz do koszyków. Pierwsze jajko znalazła dziewczynka. Podniosła je na dłoni i przyjrzała mu się uważnie. Potem rozbiła je drugą ręką, zwiniętą w pięść, i rozsmarowała żółtą masę na twarzy brata. On natychmiast uderzył ją w brzuch i oboje, wyjąc na całe gardło, zaczęli się bić bez

opamiętania, i to brutalnie. Tarzali się na klepisku, wśród czarno-białych kurzych odchodów i białych piórek. Luce patrzyła na tę scenę, która przywiodła jej na myśl walkę węży. Chłodny pojedynek, jakby obie strony w gruncie rzeczy nie miały nic przeciwko sobie, tylko działały pod wpływem impulsu, równie niezrozumiałego jak seks czy obłęd. Luce w końcu wkroczyła pomiędzy tłukące się dzieci, złapała każde z nich za koszulę jak za uchwyt i rozdzieliła je.

Wielu ludzi poradziłoby Luce zbić dzieci, aby zrozumiały, że lepiej być posłusznym. Albo zamknąć je w ciemnej szafie na cały dzień, żeby wyszły z niej, mrużąc oczy przed światłem słonecznym, i potem robiły, co się im każe. Może zresztą bliźnięta czegoś takiego się spodziewały, ale gdyby takie środki zastosowano wobec niej, stałaby się jeszcze podlejsza i bardziej krnąbrna. Już raz zbiła je pod wpływem gniewu i przysięgła sobie, że więcej tego nie robi, dla ich i swojego dobra. Żeby potem żadne z nich nie chodziło złe przez cały dzień, a może i do końca życia.

W ramach drugiej lekcji Luce zabrała je więc do ogrodu warzywnego, chronionego przed jeleniami płotem z pochyłonych zniszczonych pali. Poranna mgła jeszcze nie wyparowała i na liściach krzaków pomidorów wciąż znajdowały się kropelki rosy. Słońce przypominało blady dysk, jego światło było szare i mętne. Dzieci, drżąc z zimna, stały z założonymi na piersiach rękami. Miały blade buzie, opuchnięte oczy i sterczące na wszystkie strony włosy, jakby dopiero wstały z łóżka. Luce dała każdemu z nich pomidorka wiśniowego, zawiniętego w liść bazylii. Chyba im smakowały, bo same zaczęły takie robić, a wtedy Luce wygłosiła wykład o warzywach, dzieląc się wiedzą, którą przejęła głównie od Maddie. Wyjaśniła, że uprawia je tak jak Czirokezi. Sadzi jedno ziarno kukurydzy i dwa ziarna fasoli. Latem kukurydza staje się podpórką dla pędów fasoli. A za sprawą jakiejś tajemniczej miłości między kukurydzą a fasolą ziemia się nie wyjąławia, można więc uprawiać ten sam kawałek gruntu przez długi czas. A wśród kukurydzy i fasoli oczywiście dobrze rosną kabaczki i melony.

Powiedziała dzieciom, że historia to tysiące lat zdobywania tej wiedzy przez ludzi żmudną metodą prób i błędów, pokolenie po pokoleniu. Ale może było inaczej: jakaś stara kobieta odkryła tę mądrość któregoś lata i przekazała innym. Tak czy owak trzeba uważać podczas pielenia, usuwania odrostów i innych tego rodzaju mozolnych prac ogrodowych. Bo inaczej w sierpniu rośliny wymkną się spod kontroli i będzie się miało warzywa wysokie do ramion, a chwasty między grządkami do kolan. Wśród łądyg i pędów będą się kryć jadowite węże i żeby zdobyć coś na obiad, trzeba będzie zabierać z sobą szrutówkę.

Przyroda rodzi tyle, że sami nie możemy tego zjeść, mówiła Luce. A ogród wydaje plony, czy tego chcemy, czy nie. Kabaczki i melony zalegają na ziemi. Potem wewnątrz gnijącego pomidora prześladowuje cię w snach i przejmuje smutkiem. Jeśli nie nauczysz się konserwowania, lepiej przyzwyczaj się do życia z poczuciem marnotrawstwa. To przypomniało Luce dzień sprzed wielu lat, kiedy razem z Lily zostały same w domu i jakimś sposobem zepsuły kran w kuchni. Na dno zlewu lał się obfity strumień wody. Nie mogły do powstrzymać, choć z całych sił próbowały zakręcić kran. Jak to dzieci wpadły w panikę. Wtedy Lily podała jej szklanekę i powiedziała:

– Nie stój tak, pij.

Pod wpływem tego wspomnienia Luce zapytała dzieci:

– Jak zapamiętałyście Lily? Bo ja mam mnóstwo takich historii do opowiedzenia. Dużo zostało mi w pamięci.

Bliźnięta rozeszły się po ogrodzie, jakby nie słyszały ani słowa z wykładu Luce. Ale

przynajmniej nie próbowały podpalić kukurydzy. Dziewczynka, krzywiąc się i ściągając brwi, przytknęła dwa pomidorki wiśniowe do oczu niczym czerwone gałki, a chłopiec miał taką minę, jakby nie wiedział, czy ma się bać, czy śmiać. Podniósł z ziemi pomidor z gatunku beefsteak, rzucił nim w siostrę i trafił ją w ramię, a ona przystąpiła do akcji odwetowej. Ale była to bardziej zabawa niż walka, więc Luce sama rzuciła kilkoma pomidorami.

W dniu, w którym odwiedzili sad na stoku wzgórza, Luce wyjaśniła, że drzewa zachowują się bardziej racjonalnie niż warzywa. Są powolne i ostrożne. Pozostawia się je samym sobie na dziesiątki lat, tak że ich gałęzie płaczą się coraz bardziej i pokrywają ciemnobrązowym mchem oraz porostami, ale wciąż rodzą latem tyle mechatych brzoskwiń, a jesienią kolorowych piegowatych jabłek, ile tylko można zjeść, czy to w postaci świeżych owoców, suszonych brązowych skórkowych obrączek czy dżemu. Nawet bez przycinania i nawożenia starsze drzewka potrafią przeżyć człowieka, z ponurą determinacją zdając się na niepewny los.

Dzieci ruszyły między dwa rzędy drzew w starym sadzie, dziewczynka z przodu, a chłopiec zaraz za nią. Potem wkroczyły w las i szły prosto przed siebie, dopóki Luce ich nie dogoniła, machając rękami, i nie zaprowadziła z powrotem do domu.

Któregoś deszczowego dnia pod koniec tygodnia zabrała je na spacer do lasu, tym razem tematem lekcji czyniąc wodę. To dzięki niej życie jest takie bujne, powiedziała. Dzieci stale zbaczały z krętej ścieżki, wchodziły w wilgotne krzaki i wysokie zarośla, aż całkiem przemokły, i Luce ciągle zaganiała je z powrotem na szlak, cierpliwie wyjaśniając, że drzewa rosną dwadzieścia–czterdzieści centymetrów rocznie. Pół metra to nic nadzwyczajnego w przypadku lasów strefy umiarkowanej. Od wiosny do wczesnej jesieni, niezależnie od fazy księżyca, wszystko chłonie wodę. Na przykład dżungla. Pójdźmy krok dalej w głąb ciemnozielonego świata, tak wilgotnego, że można by go wyżyć jak ścierkę do naczyń, gdyby tylko dało się uchwycić go z któregoś końca. Wielkie pietraszniki plamiste, sykomory, tulipanowce. Rododendrony. Mchy i paprocie. Poszycie tak gęste, że nie widać niczego dalej niż na odległość sześciu metrów, dopóki zabójczy mróz nie odłoni szkieletu lasu. Parna cieplarnia, królestwo roślin i zwierząt. Podnieś jakikolwiek kamień albo zmurszały bal, a miliardy stworzeń rozbiegną się na wszystkie strony w poszukiwaniu ciemności. Usiądź w kręgu żółtego światła, a w wilgotnym powietrzu zaroi się od owadów tańczących w blasku dnia, który tak kochają. Przyroda lubi wilgoć i odplaca się za nią. W lesie trwają formy życia, niepasujące do współczesnego świata. Diabły błotne na dnio potoków. Pantery, żyjące wysoko na stokach gór. Nawet powalone zarazą kasztanowce podnoszą się z ciemnego poszycia lasu, nie chcąc wyginąć. Nadzieja przyjmuje fizyczną postać. A wszystko to dzięki wilgoci, wyjaśniała Luce. W niektóre dni lata w powietrzu unosi się jej tyle, że nie da się zapalić zapalki. Przez moment Luce pomyślała, że tu fascynacja ogniem może okazać się przydatna. Nieszkodliwe dziwactwo, jak skaza w rodzinie.

Ale to nie wystarczyło. Więc na początku lekcji następnego dnia przyznała się przed dziećmi, że ją też pociąga ogień, piękno, tajemnica i potęga silnego płomienia. Ale z ogniem jest tak samo jak z kurczętami. Łatwo stracić umiar, a wtedy ponosi się tego skutki. Spalcie dom, a wszyscy będziemy spać na ziemi w lesie.

Wyniosła na ganek wielkie cynkowane wiadro z sosnowymi szczapami i wysypała je. Usiedli z dziećmi po turecku wokół tego stosu. Na oczekaniu wymyśliła zabawę podobną do bierek, tylko na odwrotnej zasadzie. Celem było ułożeniem jak najbardziej skomplikowanej konstrukcji

ze szczap – na planie trójkąta, kwadratu, niezgrabnego pięciokąta czy jakiegokolwiek innej figury – jak przy układaniu drewna na ognisko, tyle że bez zapalek, krzemienia ani łuku z gałzki. Reguła numer jeden: jeśli podpalisz swoje szczapy, wypadasz z gry. Jeśli twoja konstrukcja zawali się podczas układania elementów, przegrywasz. Jeśli się utrzyma i pierwszy skończysz jej budowę, wygrywasz. W razie remisu zwycięża konstrukcja złożona z większej liczby elementów. Proste.

Nagrodą będzie albo wędzona kiełbasa, albo miseczka waniliowych wafli. Zwycięzca ma prawo wyboru. Będzie się mógł z kimś podzielić. A, i dodatkowa zasada: jeśli zamiast ogniska ktoś postanowi zbudować coś, co będzie przypominało chatę małego Abe'a Lincolna, wóz z sianem, zagrodę dla świń albo studebakera z pięćdziesiątego siódmego roku, otrzyma dodatkowe punkty.

Dzieci popatrzyły na szczapy, ale nawet ich nie tknęły. Podeszły do foteli bujanych na ganku, usiadły na nich i bujały się przez następne dwie godziny, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

Kiedyś w ciągu dnia miała tyle czasu i swobody. Kiedy tylko chciała, ruszała drogą i zaglądała do Stubblefielda. Po śmierci żony był tak spragniony towarzystwa, że za każdym razem, gdy Luce do niego zachodziła, stawiał na kuchennym stole butelkę dobrej szkockiej i zabijał kurę. Przesiadywała u niego godzinami: słuchała opowieści o jego burzliwej młodości, jedząc chrupiące udka i piersi, które obtaczał w mące kukurydzianej i smażył na smalcu. Z przyjemnością spędzała w ten sposób całe popołudnie, bo też była samotna, choć trochę inaczej.

Ale Stubblefield już nie żył, przybyły dzieci i okazało się, że ani na chwilę nie można spuścić ich z oczu. Wstawały o wschodzie słońca, więc Luce też musiała. Miała świadomość, że jeśli choć na chwilę zajmie się sobą, smarkacze spalą dom, pobiegną do lasu i zgubią się w nim albo utoną w jeziorze. Do tej pory Luce obserwowała naturę. Ptaki, liście, pogodę. Od czasu od czasu jelenia, niedźwiedzia albo prychającą panterę. Odległe światła na nocnym niebie, poruszające się w przeciwnym kierunku, niż można by się spodziewać. Urok tego wszystkiego był prosty: natura żyje własnym życiem i dobrze sobie radzi, czy się jej przyglądasz, czy nie. Twoje istnienie jest efektem przypadku. Przyroda nie żąda w zamian za życie niczego z wyjątkiem niezbędnego minimum. Narodzin i śmierci.

Dzieci też nie dbały, czy obserwuje się ich poczynania. Ale problem polegał na tym, że mogły stracić życie w ciągu godziny, jeśli przestało się ich pilnować. Blade mokre ciała spoczywające na brzegu jeziora albo nad potokiem w głębi lasu. Włosy w kolorze orzecha arachidowego przyklejone do sinych czół.

Ależ byłby kłopot, gdyby dzieci znalazły sposób, żeby się zabić. Co musiałyby wtedy zrobić? Pewnie pójść do sklepu i zadzwonić do biura szeryfa. A później przejść przez koszmar związany z procedurami prawnymi i pogrzebem. Zamówić małe trumny, które opuści się do wykopanych w ziemi małych grobów. A potem postawić nagrobki.

I nie były to obawy nieuzasadnione. Dzieci z oślim uporem usiłowały zrobić sobie krzywdę najbardziej nieszkodliwymi przedmiotami ze swojego otoczenia. Dziewczynka urwała uchwyt cynowego wiaderka i przebiła nim sobie skrzydełko nosa, najwyraźniej, żeby sprawdzić, jak daleko da się go zagłębić w głowie. Krew tryskała z rany jak fontanna, dopóki Luce nie zatamowała jej, przykładając płonnik. Potem, jakby to były jakieś zawody w upuszczaniu krwi,

chłopiec rozciął sobie czoło na linii włosów, zawadzając nim o blaszany dach wędzarni. Potem stał i krzyczał, podczas gdy krew spływała mu po twarzy i kapłała z brody na białą koszulę. Była też na brzegu dachu, który znajdował się trzy metry nad ziemią, a chłopiec miał niewiele więcej niż metr wzrostu. Jedyne drabiny w gospodarstwie miały mniej niż dwa metry wysokości. Arytmetyka nie zdawała się na nic. Można było oszaleć, wyobrażając sobie wszystkie zagrożenia. W jakimś to cholernie skomplikowanym świecie się nagle znalazła. Łatwiej byłoby upilnować parę staruszków o skłonnościach samobójczych niż tych dwoje smarkaczy.

Luce trwała w przekonaniu, że cisza i samotność służą człowiekowi, przynoszą mu spokój, a przynajmniej nadzieję, że kiedyś da się go osiągnąć. Głównie dlatego że ludzie są, jacy są, i nie można ich zmienić. Nie potrafią zmienić nawet samych siebie, choćby desperacko pragnęli być kimś zupełnie innym. Najlepiej więc trzymać się od nich z daleka. A tu zjawily się te dzieci, które nie ułatwiały jej sprawy i w żaden sposób nie przypominały pocziwej Lily.

W większość nocy nie można było mieć nawet pewności, że będą spały do świtu. Chodziły po domu, pojawiając się i znikając, trochę jak nocne stworzenia, szopy albo koty domowe. Rano trzeba ich było szukać jak jajek w kurniku. Jedno zwinięte w kłębek spoczywało w gnieździe z koców na ganku, a drugie leżało jak trup pod bocznym stolikiem w jadalni. Z konieczności zaczęła wieczorami zamykać właściwe drzwi na klucz, a nie tylko siatkowe na haczyk.

Trudno było w takich warunkach nie myśleć o oddaniu dzieci pod opiekę państwa i Luce czasami się zastanawiała, czy w ogóle odczułyby różnicę. Dopóki tylko miały co drzeć albo podpalać – i nie napotykały sprzeciwu – sprawiały wrażenie zadowolonych. Szczególnie lubiły przebywać na dworze. To było widać. W deszczowe popołudnia, kiedy na tle czarnych chmur rysowały się błyskawice, siedziały obok siebie i patrzyły przez okno, całą swoją postawą wyrażając niezadowolenie, że Luce nie pozwala im wyjść na zewnątrz.

Z dokumentów wynikało, że mają imiona. Dolores i Frank. Luce pewnie kiedyś to wiedziała, ale zapomniała, ponieważ Lily zawsze w listach pisała o nich „maluchy”. I owszem, Luce musiała im to przyznać, nie były normalne. Ale patrząc z innej perspektywy, przypominała sobie ludzi, z którymi kiedyś miała do czynienia na co dzień. Czy w porównaniu z nimi bliźnięta naprawdę były takie inne? Przez życie szło mnóstwo istot ludzkich jeszcze dziwniejszych niż Dolores i Frank. Żadne z nich nie było przestępcą ani alkoholikiem. Niekomunikatywność i zainteresowanie ogniem to jeszcze nie zbrodnia ani grzech. Tylko pewna uciążliwość. I przecież nie musiała ich kochać. Miała się nimi tylko opiekować.

W tamtych dniach Luce już około południa zaczynała liczyć godziny do pory snu. Gdy wylączyła światło i dzieci zasypiały. Wtedy mogła pogrążyć się w myślach i posłuchać radia Nashville. Johna R. i Gene'a Noblesa i ich cudownej muzyki oraz ofert promocyjnych: sto młodych kurcząt w niewiarygodnie niskiej cenie, dostawa w ciągu kilku dni, odbiór za zaliczeniem pocztowym. Kusilo ją, żeby zamówić te kurczęta, ale wyobraziła sobie sto żółtych puchatych żywych kulek zapakowanych do pudła jak piłeczki pingpongowe i zdychających godzina po godzinie, zanim by je odebrała. Po otwarciu pokrywy niedobitki wyrzałyby na światło, wyciągając szyje i dzióbki nad zwłokami martwych pobratymców, którym niemal całe życie na ziemi upłynęło w ciemnościach, w zamkniętym kartonowym pudle. Zrezygnowała więc z tej atrakcyjnej i jednocześnie makabrycznej oferty.

Muzyka jednak była piękna, wesoła i porywająca, zapadała jej głęboko w serce. Wznosiła się ku jakiemuś nieokreślonemu, a może nieopisywalnemu światłu. Luce, nawet wyczerpana po

długim dniu walki z dziećmi, leżąc w łóżku, słuchała jej do późna, dopóki w końcu nie zasnęła.

Kiedy obie z Lily były małe – urodziły się niespełna rok jedna po drugiej – Luce lubiła wędrować. W wieku sześciu lat, w ostatnim roku całkowitej wolności, śmiało odkrywała miasteczko nad jeziorem. Jeśli spod zepsutego nasha wystawały stopy jakiegoś domorosłego mechanika, Luce od razu wtykała głowę pod samochód i oglądała ciemny, cudownie skomplikowany układ tłustych części. Kiedyś w pewnym sensie pożyczyła sobie, bo bez pozwolenia, żelazko z Dzikiego Zachodu od starszej kobiety, mieszkającej w chacie z bali. Było to żelazko z otworem w środku, do którego wkładało się gorące węgle. Fascynowało ją. Był to prosty zapomniany relikwiarz przeszłości, który można było przywrócić do życia. Luce nosiła z sobą żelazko, aż znalazła dom z działającym piecem. Był parny czerwiec i musiała długo chodzić i pukać do kolejnych drzwi z siatką. A potem wypaliła sobie na udzie czerwony trójkąt, efekt poparzenia drugiego stopnia, po którym na zawsze pozostał jej ślad, widoczny tylko wtedy, gdy była opalona.

Tego dnia Lily na pewno chętnie została w domu i myślała o niebieskich migdałach. Lubiła przebywać w domu, w bezpiecznym świecie. Potrafiła przez cały ranek przebierać lalkę niemowlę o puszystych włosach, mającą tylko dwa ubranka i jedno niebieskie oko, które cały czas się otwierało. Lily lubiła też drzemki i waniliowe wafle.

Gdyby wtedy ktoś zwrócił uwagę na te dwie dziewczynki – a nikt nie zwracał – pewnie by zawyrokował, że Lily nigdy nie opuści miasteczka nad jeziorem. Pewnego dnia w dalekiej przyszłości, jako niebieskowłosa staruszka, spocznie na cmentarzu na stoku wzgórza z widokiem na Chatę i rozciągające się za nią góry po drugiej stronie jeziora. To Luce z nich dwóch przy pierwszej okazji wyruszy w szeroki świat, prawdopodobnie z jakimś mężczyzną, pierwszym z kilku mężów. Zostanie pochowana w Anchorage, w La Paz albo jeszcze jakimś innym dalekim mieście.

Ale to Lily zniknęła. Kilka tygodni po ukończeniu szkoły średniej za pieniądze zarobione w restauracji dla zmotoryzowanych kupiła bilet na autobus. Przez wiele miesięcy nie wiadomo było, gdzie jest. W domu nie czekała na nią ani matka, która by się o nią martwiła, ani ojciec, który ma inne sprawy na głowie albo myśli sobie: po skończeniu nauki człowiek musi się usamodzielniać.

Luce została w domu. Nie było pieniędzy, żeby mogła pójść na studia, zresztą nie namawiano jej do tego. Nikt z rodziny nawet nie postawił nogi w college'u. Poza tym żywiła w głębi duszy podejrzenie, że ludzie wszędzie są tacy sami, a nie wszędzie będzie tak pięknie jak tu, gdzie mieszka.

Pracowała więc w różnych miejscach. Za ladą w drogerii, w okienku na pocztę. Przez krótki czas była sekretarką agenta ubezpieczeniowego z miasteczka. Odchodziła, gdy tylko coś jej się nie spodobało. Ta wspaniała gotowość powiedzenia „pocałujcie mnie w dupę” i odejścia. Umawiała się z miejscowymi chłopcami w jej wieku, którzy mieli pewnego dnia odziedziczyć rodzinny interes. Z synem właściciela pralni chemicznej. Synem właściciela sklepu wielobranżowego. Dwoma z czterech prymitywnych braci, mających przejąć rodzinne przedsiębiorstwo brukarskie, które dostawało wszystkie zlecenia na budowę dróg w tym zakątku Stanów. Przez jakiś czas chodziła na serio z synem lekarza; studiował na uniwersytecie w Wirginii i chciał zostać nauczycielem filozofii, przedsiębiorcą, który pchnie świat w lepszym kierunku, albo kimś takim, choć sam do końca nie wiedział kim. Wiedziony pragnieniem sławy,

nie tylko nie nosił skarpetek do mokasynów, lecz także przez cały semestr w akademiku mieszkał w pokoju, który kiedyś zajmował Poe. Miłość kwitła przez całe lato, a potem chłopak wrócił na studia doktoranckie. W okolicach Święta Dziękczynienia wymiana listów ustała zupełnie.

Wszystkie inne jej związki trwały najwyżej dwa miesiące i albo kończyły się burzliwym zerwaniem, albo po prostu wygasły. Luce stwierdziła, że brakuje jej pasji, choć nienawidziła tego słowa. Gdyby ją zapytać, co lubi, odpowiedziałaby, że uwielbia książki, las, muzykę. Przyrodę i pory roku. No i wolność. To, że nie stanowi własności żadnego głupiego pracodawcy, a jej dzień powszedni nie jest wyceniany na ułamki dolara przez kogokolwiek innego niż ona sama.

Pewnego dnia Luce z Dolores i Frankiem, którzy stale wybiegali naprzód – zainteresowani raz latawcami na wietrze, raz rośliną z gatunku gruboszowatych – poszli w odwiedzinę do Maddie. Zastali ją przy kuchni; smażyła cienkie paski czegoś obtoczonego mąką kukurydzianą. Na czarnej żeliwnej patelni skwierczał żółty wołowy tłuszcz, który pryskał na boki, a w całym pomieszczeniu pachniało smakowicie. Drewno hikory płonęło tak gorącym ogniem, że spod żelaznych płyt kuchennych wydobywały się cienkie smużkowate niebieskie płomienie. Dolores i Frank podeszli tak blisko do ognia, że Maddie, aby ich zatrzymać, musiała wyciągnąć przedramię, dotykając ich kościstych klatek piersiowych. Kiedy jedna partia pasków się przypiekła, kobieta zdjęła je z patelni łyżką durszlakową i rzuciła na gazety pokrywające stół kuchenny.

Luce, która zawsze czytała wszystko, co tylko miała przed sobą, zwróciła uwagę na reklamę w gazecie – prostych okrągłych okularów od optyka nazwiskiem Finklestein. Nad reklamą znajdowały się małe okienka z drobnym drukiem, zawierające prognozę pogody na najbliższe dni, sumę opadów w poprzednim miesiącu i wszystkie te fascynujące informacje o fazach księżyca, położeniu Wenus, Marsa i Saturna na nocnym niebie tego dnia, który upamiętniała pożółkła kartka. Luce zerknęła na górną część strony, żeby zobaczyć datę – tamtego roku miała dwanaście lat.

Po usmażeniu czterech partii pasków Maddie posoliła je i skropiła pikantnym sosem z zielonej papryki, a potem do czterech wysokich szklanek nalała maślanki. Po walcowatych ściankach zaczęła spływać skroplona para, nadrukowując krążki na gazetach. Maddie, Luce i dzieci usiedli przy stole i zaczęli jeść palcami.

Luce próbowała odgadnąć, co to za mięso. Było smaczne. Soczyste i tłuste. Pod brązową panierką śnieżnobiałe jak okrawki mydła Ivory. Ale miało mało wyrazisty smak. I było trochę gumowate.

– Co to jest? – zapytała.

– Szpik – odparła Maddie.

– Jaki?

– Wieprzowy.

– Hm.

– Dziś mało kto go jada.

– Smakuje lepiej, niżbym przypuszczała – zauważyła Luce. – Pewnie gdybyś obtoczyła karton w mące kukurydzianej i usmażyła na smalcu, też by nieźle smakował.

Dolores i Frank jednym haustem wypili maślankę i pochłonęli swoje porcje szpiku, a potem powąchali opuszki palców, wspominając niedawną ucztę.

– Lubię, kiedy ludziom smakuje to, co ugotowałam – stwierdziła Maddie.

Wstała i zaczęła grzebać wśród różnych pudełek i toreb w kredensie i szafkach, szukając swoich krzyży z kryształ. Zbierała je. Znała pewne sekretne miejsce, urwisko nad potokiem głęboko w lesie. Gdy wiosenne deszcze wypłukiwały znajdujące się w ziemi kryształy, wśród wielu takich w kształcie litery X znajdowała nawet po trzy z ramionami pod kątem prostym. Tamte wyrzucała, bo przynosiły pecha. Te dobre zatrzymywała i wkładała do pudełka po butach. Ale pewnego dnia zamierzała je zwrócić – rozrzucić po lesie, żeby znowu mogły się stać cudownymi znaleziskami dla przyszłych pielgrzymów.

Znalazszy wreszcie pudełko, Maddie wybrała kilka krzyży i dała Dolores i Frankowi dwa z mniejszych – oba takie same, o niemal idealnie prostych kątach. A potem dorzuciła jeszcze dwa lśniące brązowe kasztany z drzewa powalonego uderzeniem pioruna, a więc świętego.

– Noście je w kieszeniach dla ochrony – zaleciła. Później wyjęła główny prezent powitalny, który kupiła podczas ostatniej ze swoich rzadkich wypraw do miasteczka. Słomiany kapelusz kowbojski, czerwony, w rozmiarze dziecięcym. Nasadziła go Frankowi na głowę i powiedziała: – Witaj nad jeziorem.

Luce widziała dumę Maddie z tego prezentu, ale dostrzegła też wyraz twarzy Dolores, który nie wróżył niczego dobrego. Pożegnała się więc pośpiesznie, wyprowadziła dzieci za drzwi i pognęła drogą do domu, myśląc, że jeszcze kilka tygodni temu popełniłaby ten sam błąd. Maddie nie miała własnych dzieci i nie przyszło jej na myśl, żeby kupić dwa kapelusze.

Już za pierwszym zakrętem Dolores strąciła Frankowi kapelusz z głowy i chwilę później oboje turlali się po ziemi. Luce, wściekła, chwyciła ich za kołnierze, rozdzieliła i postawiła na nogi. Potem odetchnęła głęboko i zarządziła, że przez resztę popołudnia każde z nich będzie nosiło kapelusz po piętnaście minut. Włożyła go na głowę Dolores i pięć razy postukała paznokciem w kryształ.

– Ty, Dolores – powiedziała – będziesz nosić kapelusz do trzeciej trzydzieści dwie, a potem włoży go Frank. I nie denerwujcie mnie więcej.

Dziewczynka zdjęła kapelusz i próbowała wcisnąć bratu, który nie chciał go wziąć. Luce kazała jej go włożyć z powrotem i mała szła dalej z opuszczoną głową, skrzywiona pod osłoną ronda, wlokąc się noga za nogą. Gdy pozostało już tylko pięć minut do wymiany, Luce zaczęła je odliczać. Dolores nagle się ożywiła, a wtedy z kolei Frank popadł w strach. Po przekazaniu bratu kapelusza dziewczynka zrobiła trzy taneczne kroki.

Po powrocie do domu bliźniaki usadowiły się na bujanych fotelach i huśtały się niespiesznie. W połowie drogi przestało mieć dla nich znaczenie, kto nosi kapelusz. Zabawa się skończyła.

Luce siedziała na krawędzi ganku, machając nogami. Patrzyła na niebieskie jezioro i zielone góry, odmierzając czas i zarządzała wymianę. Starła się przy tym nie zdradzać, jak ją cieszy, że dzieci rozumieją jej całkowicie arbitralne zasady i podporządkowują się im, bo to odgrywa ważną rolę, gdy żyje się w świecie z innymi ludźmi. Chyba że ktoś się wycofuje do swojej prywatnej pustelni. Tyle że taka pustelnia nie istnieje.

Luce, znowu arbitralnie, postanowiła, że nastąpi jeszcze tylko jedna zmiana. Potem pozwoliła dzieciom zrobić z kapeluszem, co chcą. Zaniosły go więc do kuchni, wepchnęły polanem do pieca i podpaliły. Słoma buchnęła żółtym płomieniem zza otwartych drzwiczek, tak że po kilku sekundach było po kapeluszu.

Adwokat Buda był bystrym, bezwzględnym siwowłosym spryciarzem. Jeździł nowym coupe de ville i od końca lat dwudziestych pił z każdym kolejnym gubernatorem, wszystko jedno, jakiej opcji politycznej. Wziął sprawę Buda, ponieważ stwierdził, że niezależnie od jej wyniku dostanie dom Lily i będzie mógł go sprzedać. Bez ogródek oświadczył Budowi już na samym początku:

– Nie zarobi się wiele na domku z dwiema sypialniami, ale cóż, współczesny świat potrzebuje coraz więcej przestrzeni.

Prokurator tak niedawno skończył studia prawnicze, że wciąż jeździł na imprezy organizowane przez kolegów z uczelni, którzy jeszcze nie uzyskali dyplomu. Wydawał się oszołomiony, kiedy znalazł się na sali sądowej. Do południa obrońca Buda zdołał przekonać członków ławy przysięgłych, że Lily była dziwką. Doszli więc do wniosku, że dostała za swoje, zwłaszcza w świetle kłopotliwej, lecz wiążącej umowy między Bogiem a człowiekiem w kwestii wymierzania sprawiedliwości tu, na ziemi, jak zwrócił uwagę stary prawnik. W dodatku Lily miała nie jedno, ale dwoje dzieci z innym mężczyzną. Padła też wzmianka o kochankach, bardzo sugestywna, przy nader słabym sprzeciwie młodego prokuratora, zresztą ku jego rozpaczy oddalonym przez sędziego. Gdy przyszło do broni, którą dokonano zabójstwa, stary адвокат zadał jedno celne pytanie: czy w domu, w którym mieszkacie, nie ma wszędzie waszych odcisków palców, łącznie z nożami? Nie można wykluczyć, że była to robota jakichś szalonych uzależnionych od narkotyków zabójców w rękawiczkach. A co więcej, jedyni ewentualni świadkowie, przesłuchani przez policję, nie potwierdzili w żadnym stopniu winy oskarżonego.

Stary prawnik nie wspomniał, że tymi świadkami były dzieci, które nie mogły albo nie chciały odezwać się ani słowem. Nie wiadomo było nawet, czy słyszały pytanie. Kiedy prokurator przedstawił te niewygodne fakty, адвокат wyjął raport lekarza, który stwierdzał, że dzieci są upośledzone umysłowo. Potem więc młody człowiek siedział cicho, jakby wiedział, że przegra z kretesem i tylko chciał mieć to już za sobą.

Trzy dni później Bud wyszedł z budynku sądu. Dochodziła druga po południu, panowała duchota, a niebo było białe. Wciąż miał na sobie szary garnitur, ten, który na rozprawę kupił mu obrońca, a w ręce trzymał papierowy worek z rzeczami, odebranymi mu po aresztowaniu. Na ławce przed budynkiem sądu siedziała staruszka, która karmiła orzeszkami ziemnymi gołębie. Kiedy stado ptaków zerwało się do lotu, łopot ich skrzydeł był jak stłumione oklaski.

Budem miały sprzeczne emocje. Wciąż dominowało wśród nich przyprawiające o zawrót głowy niedowierzanie, że wymiar sprawiedliwości okazał się dla niego taki łaskawy. Co za wspaniała rzecz – ta demokracja; liczy się w niej głos każdego głupca, który nie potrafi się wywinąć od zasiadania w ławie przysięgłych. Szczególnie tych dwóch idiotów, którzy głosowali za niewinnieniem. A sędzia nawet nie zażądał kaucji do czasu złożenia albo niezłożenia przez prokuraturę wniosku o apelację. Powiedział jedynie: „Tylko nie opuszczaj stanu, synu”.

No i wspaniała historia z tymi dwoma małymi przygłupami, które nie puściły pary z ust. Choć, oczywiście, obrońca musiał mu zepsuć humor, mówiąc, że nawet jeśli prokuratura nie

odwoła się teraz od wyroku, oskarżenie o morderstwo będzie można wnieść w każdej chwili, bo te sprawy nie ulegają przedawnieniu. Mogą człowieka zwlec z łóżka i postawić przed sądem nawet jako dziewięćdziesięciolatka.

Potem pojawiła się pierwsza myśl o przyszłości. Gdzie są te cholerne pieniądze? A gdzie mogą być, jeśli nie przy tych niemych bachorach, które wszystko widziały?

Bud ruszył ulicą do banku i sprawdził saldo rachunku Lily. Okazało się, że jest dokładnie takie, jak przywidywał. Wybrał więc z konta wszystkie pieniądze, które jednak wystarczyły tylko na kupno starego rewolweru marki Remington i paczki nabojów w lombardzie. Reszta poszła na kanapkę i coca-colę przy kontuarze u Woolwortha.

Bez dachu nad głową i forsą, ale uzbrojony i pogrążony w myślach wędrował ulicami stolicy. Jego adwokat dostał już papiery na dom, więc Bud mógł jedynie upomnieć się o meble. Starzyznę do opchnięcia na pchlim targu. Ale nie zamierzał tracić czasu na sprzedaż podrapanych szaf i poplamionych materaców. Wiedział, że Lily miała rodzinę w jakimś górskim miasteczku na zadupiu. Z wyjątkiem matki, która przezornie związała dokądś przed laty. Tu nie zostało już nic, czym warto by zawracać sobie głowę. Ale gdzieś znajdował się skarb, więc o zmierzchu Bud, zwierając kable na krótko, rąbnął nowego chevy coupe i wyruszył nim na zachód.

Tamtej pierwszej nocy, podczas burzy, obrabował dwie stacje benzynowe, jedną zaraz po drugiej, żeby mieć na bieżące wydatki. Nic trudnego, jeśli w sklepie jest was tylko dwóch, ty i facet przy kasie, a ty machasz rewolwerem. Później przez kilka godzin jechał na zachód mokrymi czarnymi drogami i zatrzymał się w motelu z linoleum na podłodze, akurat w porę, żeby walnąć się na łóżko z kraciastą narzutą i obejrzeć Strefę mroku. Następnego ranka napadł na dwie następne stacje benzynowe i wiejski sklep. Osiem kilometrów dalej skręcił w czerwoną bitą drogę i ze stromego gliniastego brzegu zepchnął wóz do brązowej rzeki. Z młodzieńczych przejażdżek wiedział wystarczająco dużo o zatapianiu samochodów, żeby odpuścić szyby i otworzyć maskę oraz bagażnik. Auto przez krótką chwilę unosiło się na wodzie, a potem poszło na dno i zostały po nim tylko bąble powietrza, wydobywające się na powierzchnię. I tłusta tęczowa plama, która popłynęła z nurtem. Niechętnie wrzucił też do rzeki remingtona i niewykorzystaną amunicję. Potem, pomyślawszy, że ostrożności nigdy dosyć, wyjął czerwoną bandanę, którą zasłaniał twarz podczas napadów, taką w westernowym stylu. Zawinął w nią kamień, rzucił go do rzeki i udał się pieszo do najbliższego miasteczka.

U pierwszego napotkanego sprzedawcy używanych samochodów kupił za sto sześćdziesiąt dolców wesołego zielonego forda pick-upa, jeszcze z poprzedniej dekady. Papiery włożył do schowka na rękawiczki, w razie gdyby ktoś był nimi zainteresowany, na przykład patrol drogowy. Niech do nich zajrzą, proszę bardzo. Były w porządku, tak jak numery rejestracyjne, a on sam został zwolniony z aresztu i nie miał przy sobie broni. Prawo było po jego stronie i właśnie ruszał w drogę swoim pick-upem z szarymi jak stary płot drewnianymi listwami, żeby zacząć nowe życie. Tak się będzie zachowywał, gdyby go zatrzymano. Ale nie przewidywał, że do tego dojdzie. Jechał ostrożnie i nie przekraczał osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Noc i znowu deszcz. Bud przejechał już przez dwie górskie przełęcze i ciemną krętą dolinę. Droga cały czas prowadziła albo na skraju stromego stoku, albo wzdłuż spienionego potoku. Niewiele było oznak życia w tych czarnych górach. Jeśli się pojawiały jakieś domy, to z ciemnymi oknami, mieszkańcy najwyraźniej wcześniej wyłączali światło i szli spać. Pewnie w takiej trudno

dostępnej okolicy nie było telewizji. Radio w tym rzęchu ledwie działało, być może z powodu kiepskiej elektryki; wydobywały się z niego głównie trzaski albo, ni stąd, ni zowąd głośna czarna muzyka, a między okresami ciszy gładzenie w dziwnym języku, jakby mówił jakiś Kubańczyk, Meksykanin czy Teksaszczyk.

Wskaźnik poziomu paliwa wahał się między połową baku a rezerwą. Stukanie w niego palcem niewiele pomogło. Od dwóch godzin nie napotkał czynnej stacji benzynowej, zresztą nieczynnej też nie. Od długiego czasu jedynym przybytkiem, jaki widział, była ciemna chata przy drodze, z ręcznie malowanym napisem na tablicy ze sklejki, oferującym gotowane orzeszki ziemne.

Z mapy wynikało, że do miasteczka musi być już niedaleko, ale równie dobrze droga mogła prowadzić donikąd. Można by nią jechać wzdłuż stromych urwisk i w pewnym momencie asfalt by się skończył. A dalej, w zbiegających się snopach światła reflektorów, pojawiłaby się ściana lasu. Wszędzie dookoła przekłeta natura. I żadnego znaku, choćby „droga bez przejazdu”. Pewnie dlatego że do tego czasu człowiek już by wiedział, że jest udupiony.

Pokrzepiający był więc moment, gdy Bud pokonał niskie wzniesienie i w dole ujrzał miasteczko nad jeziorem, światła uliczne i neony. Na skraju zabudowań wznosił się wielki neon, który odbijał się na mokrej nawierzchni. Powykręcane różowe, lawendowe i żółte rurki tworzyły postać Indianina w opasce z piórem, a zamaszyste niebieskie litery pod spodem składały się na nazwę tego miejsca: „Hotel u Wodza”.

Bud zatrzymał się tam i wynajął pokój, wyposażony, o dziwo, w telewizor, ale kiedy go włączył, znalazł tylko jeden śnieżący program, na którym mężczyzna w stroju pracownika stacji benzynowej przepowiadał pogodę. A potem zaczął się stary melancholijny Wilkołak, przy którym Bud zasnął. Przyśnił mu się jeden z jego niewinnych snów o krwi Jezusa zalewającej świat i oczyszczającej go. To było jak obrazek na jak puszcze farby, tyle tylko że krew zalewała biegun północny i ściekała z równika.

Bud obudził się późnym rankiem z jasną wizją przyszłości. Opuścił nogi na podłogę, usiadł i powiedział głośno: „Nie wiem kiedy, ale za to wiem jak”.

Potem zaczął się zastanawiać. Po minucie rzucił już z mniejszym przekonaniem: „Może nie wiem jak, ale za to wiem gdzie”.

Luce nie twierdziła, że rozumie małe dzieci czy nawet coś o nich wie, a choć Maddie wygłaszała o nich mnóstwo opinii, w dużej mierze teoretyzowała. Cofając się pamięcią do dzieciństwa, Luce nie przypominała sobie niczego, co mogłoby się jej przydać do opieki nad dziećmi. Zastanawiała się, czy bliźnięta Lily straciły już zęby mleczne. Kiedy to się dzieje? Jeśli chodzi o stopień ignorancji, była jak jej ojciec, który mawiał, że kiedy Luce się urodziła, po raz pierwszy zobaczył ją już śpiącą. Zapytał wtedy pielęgniarkę, w jakim wieku dzieciom otwierają się oczy.

Luce wiedziała jedynie, że kiedy Dolores i Frank pójdą do szkoły, zaczną się зараżać chorobami wieku dziecięcego. Odrą, świnką, ospą wietrzną. To dopiero będzie kłopot. Były ładne, ale tylko tym mogły się poszczycić. Pokryte plamami, krostami i strupami staną się już całkiem nieznośne.

Na próbę Luce usiłowała nauczyć je liczyć, mówić, ile mają lat, pokazywać na palcach. Bez skutku. Przed snem grała z nimi w małe świnki, w celach edukacyjnych wplatając liczby do starego wierszyka. Największa świnka poszła na targ. W domu zostały dwie mniejsze.

Ale dzieci słabo uważały i nie spodobało im się, że ktoś dotyka ich palców u stóp. Wyrwały się więc, schowały nogi pod kołdrę i przytuliły się do siebie, gotowe znowu całkowicie zamknąć się w sobie, gdyby Luce nalegała, aby kontynuować grę.

Kiedy pierwszy raz próbowała je rozebrać, żeby się wykąpały, dzień skończył się źle. Oboje płakali ponuro, w milczeniu. Gdy dzieci były sfrustrowane albo wściekłe, potrafiły wrzeszczeć i zawodzić jak obdzierane ze skóry, ale to było coś innego. Natychmiast przestała ściągać z nich ubrania, ale one, otepiałe, i tak popadły w apatię na wiele godzin.

Odkryła jednak, że jeśli pozwoli się rozebrać im samym, zupełnie się nie wstydzą i biegają nago na dworze. Gdy mydliły się na podwórku, wystarczyło wylać na nie wiadro zimnej wody, i kłopot z głowy. Ale był parny sierpień. A co będzie w listopadowe poranki, kiedy mróz skuje ziemię? W ciągu zimowych miesięcy dzieciaki mogą zacząć cuchnąć. Głównie jednak myślała o tym, co takiego musiały przeżyć, że strach i ból nie miały do nich dostępu.

Po zdarzeniu z kąpielą Luce już więcej nie widziała, żeby dzieci płakały. Nie używały tego środka komunikacji. Miały inne sposoby wyrażania uczuć niż zawodzenie, drżenie brody i łzy w oczach. Mogły rzucić się na ciebie z pięściami albo próbować się bronić. Mogły pobiec do lasu. Potrafiły warczeć i wydawały inne odgłosy, darły się, piszczały, wyły. Albo patrzyły na ciebie przeciągle, jakby mówiły, że gdyby ważyły czterdzieści kilo więcej, zabiłyby cię na miejscu. Większość powodów, z których normalne dzieci płaczą – ból, strach, wstyd, frustracja, gniew, żal, smutek, poczucie winy – była im obca. Prawie nie okazywały lęku, a wstydu w ogóle. A już na pewno nie smutku, żalu czy poczucia winy, nigdy, w żadnych okolicznościach.

Na szczęście niemal od razu pozbywały się złych emocji. To nie znaczy, że biegły do Luce, żeby po jakimś wybuchu złości objąć ją za kolana. Prośby o wybaczenie, choćby tylko wyrażane mimiką, nie wchodziły w grę. Bliźnięta zachowywały obojętność wobec wszystkiego, co się stało,

i tego samego oczekiwały od opiekunki. Było, minęło. Żadnych przeprosin. Pojęcie skruchy było im nieznane. Robiły, co robiły, i szły dalej, choćby zostawiały za sobą popioły. Luce zastanawiała się, czy nie powinna się od nich tego nauczyć. Żeby się nie oglądać za siebie. Życie płynie naprzód i cokolwiek sądzisz o minionym czasie, wynika to tylko z twojej cholernej słabości. Nie można zmienić niczego, co się już stało. To i tak by nastąpiło. Albo więc się załamiesz, albo nie.

Była to prosta lekcja, ale Luce nie potrafiła jej sobie przyswoić. Mimowolnie wracała myślami do przeszłości, tęskniła za czymś, co dawno przeminęło, a co dawało jej kiedyś szczęście, czuła smutek albo wstyd z powodu swoich postępów. I nie mogła nic na to poradzić. Gdyby pod jej opieką dzieciom stała się jakaś krzywda, nie wybaczyłaby tego sobie i nie ruszyła dalej. Nigdy. Do śmierci prześladowałoby ją poczucie winy. Zamiast o łyżeczkach, fazach księżycy i ptakach, myślałaby tylko o tym. Wspaniale byłoby żyć bez ograniczeń, jakie narzuca przeszłość, ale Luce by tego nie potrafiła. Tak naprawdę nie lubiła bliźniąt, a już na pewno ich nie kochała. Kochała jednak Lily i zamierzała wychować jej dzieci, nie być śmieciem. I w tym punkcie rozmyślań przypominała sobie własnych rodziców.

Z wyjątkiem nieprzyjemnych klapsów od Loli, Luce w dzieciństwie najboleśniej odczuwała dobroduszny brak zainteresowania, które miało jednak pewne zalety. Należała do nich przede wszystkim niczym nieograniczona swoboda, nawet gdy Luce miała zaledwie pięć lat. Kto by czegoś takiego nie pragnął, niezależnie od wieku? Możliwości wędrowania w księżycowe noce, tak żeby nikt nie wszczynał poszukiwań. Może uścisk albo lekki niepokój w głosie rodzica byłby od czasu do czasu pożądany, ale w zamian za to pięcio- czy sześćioletnia Luce nigdy nie dostała lania od rozgniewanego dorosłego.

Rodzice byli zbyt zajęci sobą nawzajem, żeby zwracać na nią uwagę. To było kilka lat przed zniknięciem Loli, kiedy ojciec wrócił z wojny, w salonie walały się puszki po piwie Blue Ribbon i butelki po burbonie Wild Turkey, radio grało zbyt głośno, a rodzice krzyczeli na siebie i czasami, pod wpływem silnych emocji, dopuszczali się nawet rękoczynów.

Krótko mówiąc, Luce miała niewiele obowiązków, dopóki państwo nie zdecydowało, że musi pójść do szkoły. Do tej pory przez siedem lat wychowywała się w warunkach naturalnych i chodziła samopas. Pierwszy dzień w szkole nie był taki straszny. Błąkanie się wśród innych zdezorientowanych dzieci po opuszczeniu autobusu było dość przyjemne. Pod okiem surowej wysokiej nauczycielki w połyskujących metalowych okularach, całej ubranej na brązowo, z bukietem fiołków w klapie. Siedzieli w ławkach i rysowali nowymi pachnącymi kredkami, śpiewali piosenki, z których kilka Luce już знаła, słyszała je od ojca, gdy wieczorami wracał do domu w dobrym humorze. Camptown Races i Buffalo Gals. Na obiad dostawali jakieś miękkie szare panierowane mięso, tłuczone ziemniaki z białym tłuszczem i fasolkę szparagową, skrzypiącą w zębach, kiedy się ją gryzło. I tyle drożdżówek z masłem, ile człowiek dał radę zjeść. Dobre jedzenie.

Choć Luce przez cały dzień siedziała grzecznie, w skupieniu, żeby zrozumieć, na czym ta szkoła polega, to gdy o trzeciej zabrzmiał dzwonek, uznała, że wie już tyle, ile powinna wiedzieć. Zamknięcie w czterech ścianach przez cały dzień było dla niej nie do zniesienia. Wszyscy oddychali tym samym nieświeżym powietrzem. Gdy nauczycielka zaczęła ustawiać dzieci w szeregu, żeby odprowadzić je do autobusów, Luce poczuła się w obowiązku ogłosić wszem wobec, co sądzi o szkole:

– Jeśli chcecie wiedzieć, już tu nie wrócę.

Na jakiś czas – jakby tamten dzień należał do kategorii tak rzadkich zjawisk jak całkowite zaćmienie słońca, przypadające raz na jedno życie ludzkie – Luce wróciła do tego, czym się zajmowała, zanim pojawiła się niemiła konieczność chodzenia na lekcje. Przedpołudniami bawiła się z domatorką Lily. Popołudniami wyruszała samotnie do lasu, żeby obserwować, co w miarę zbliżania się jesieni dzieje się z roślinami, z ich barwami. Przyglądać się dziwnym robakom i kwiatom. Rzucić kamienie do strumienia. Patrzyć na ptaki, płazy i inne zwierzęta, które się jej pokazały, i śledzić, jak z godziny na godzinę, z dnia na dzień, zmienia się pogoda, te powtarzające się koliste wzory pór roku. Sprawdzać, czy w deszczowe dni potrafi wyczuć zapach wiewiórek na drzewach.

A w dodatku rodzice nie przejmowali się tym, czy Luce chodzi do szkoły, czy nie. Mówili, że tak. Ale życie upływało im na kłótniach, leczeniu kaca i słodkich pojednaniach. W tej szczególnej mizerii dnia powszedniego nie mogli wstać o szóstej rano i mieli gdzieś, czy Luce wybrała się na lekcje. A jeden dzień prowadzi do następnego i tak dalej. Nie może być inaczej. To bezlitosna robota czasu. I nagle drzewa tracą liście i jest październik, na ziemi pojawia się szron. A do drzwi puka wysoki ubrany w tweedowy płaszcz mężczyzna, który przyszedł z interwencją.

Przybysz nie rozmawiał długo z rodzicami, zadał im trzy pytania i usłyszawszy odpowiedzi, zorientował się, jak się sprawy mają, jacy są młodzi, zwłaszcza Lola. Już wcześniej widywał takie rzeczy. Odciągnął na bok Luce, małą pierwszoklasistkę, pochylił się i spojrzał jej w oczy. Zapytał cicho, czy gdy dorośnie, chciałaby być taka jak jej rodzice. Już wtedy prychnęła i odparła:

– Nie za bardzo.

– Wobec tego musisz codziennie chodzić do szkoły – odpowiedział mężczyzna. Uścisnął jej ramiona, ponownie spojrzał w twarz i dodał: – Chodź tam. Za wszelką cenę. Porozmawiam z nimi, prawo jest po mojej stronie. Ale potem wszystko będzie zależało od ciebie. A w przyszłym roku będziesz musiała pomóc siostrze.

Później więc Luce już chodziła do szkoły, niezależnie od tego, czy rodzice wstali rano z łóżka, czy nie. W niektóre wieczory, żeby oszczędzić czas i podkreślić swoją determinację, przed pójściem spać ubierała się na następny dzień. Obudzić się to nie problem. Każdy potrafi wyłączyć światło, ustalić w głowie, o której godzinie powinien wstać, i to zrobić. Trzeba tylko spróbować. Luce dosięgała już płyty kuchennej, a ugotowanie dobrej owsianki nie stanowiło szczególnej trudności, jeśli nikt nie stał nad głową i nie narzekał, że zużywa za dużo brązowego cukru czy masła.

Okazało się, że szkolna nauczycielka z połyskującymi okularami wie to i owo, potrafi nauczyć czytać. Choć miała swoje wady i popełniała błędy, jak każdy. Na przykład wtedy, gdy źle postąpiła z cichą bladą dziewczynką ze wsi, w wyblakłej bawełnianej sukience w kwiatki. Ponieważ nigdy wcześniej nie widziała lodów, chciała je zanieść młodszemu bratu; w tym celu zabrała ze stołówki lodowy przekładaniec, podany na deser, i schowała pod ławką w klasie, gdzie się roztopił, brudząc książki i zeszyty, a także tworząc lepłą kałużę na drewnianej podłodze. Za tę swoją pomyłkę została wzięta pod ramię i wyprowadzona na korytarz. Wszyscy zamilkli. I usłyszeli bum, bum, bum. Długie wiosło miało cal grubości i dwanaście wyborowanych otworów.

Oprócz regularnego bicia wiosłem organizowała okropne pojedynki arytmetyczne, podczas

których jedna połowa klasy stawa przeciwko drugiej. Nauczycielka chodziła między ławkami i żądała odpowiedzi, podburzając walczące strony i podnosząc duże białe karty z wypisanym na czarno zadaniem, takim czy innym, w zależności od tego, jaki obszar wiedzy postanowiła sprawdzić. Jeśli ktoś udzielił błędnej odpowiedzi, siadał w ławce skompromitowany. Ostatni stojący wygrywał, choć nie tylko Luce zastanawiała się, co takiego zdobywał poza poczuciem wyższości. Było się też zapędzaniem do kółek czytelniczych o nazwach Czerwone Ptaki, Niebieskie Ptaki, Żółte Ptaki i Czarne Ptaki. Pozornie na zasadzie przypadku. Tylko że nawet gromada pierwszoklasistów wiedziała, że jest w tym przypadku pewna metoda. I odkrycie tego małego podstępu stało się samo w sobie cenną lekcją o władzy, bardzo przydatną na przyszłość. Mimo że Luce zawsze należała do Czerwonych Ptaków.

W ramach rekompensaty za te przerażające chwile można było do woli podziwiać różne oprawione w ramki obrazki, wiszące w całej klasie. Blady, jakby oszołomiony Waszyngton ze swoimi dziwnymi białymi bokobrodami, smutny mądry Abe ze zmęczonymi podkrążonymi oczami i postrzępioną brodą, jak u jakiegoś trampa. I Błękitny chłopiec, który zostałby zбитy na przerwie, gdyby pokazał się w szkole z taką miną jak na obrazie, nie mówiąc już o stroju. Państwo dostarczało też wiele darmowych książek, na przykład o Jacku wspinającym się na lodygę fasoli czy szczurołapie z Hameln, prowadzącym dzieci do krainy szczęścia we wnętrzu góry. Mieli także adapter i stos płyt, w tym komplet siedemdziesiątek ósemek z książeczką opowiadającą urzekającą historię Piotrusia i wilka. Odtwarzało się je w deszczowe dni, gdy podczas przerwy nie można było wyjść na dwór i cała klasa w południe wariowała od siedzenia w zamknięciu.

Zdarzały się i inne atrakcje: czasami nauczycielka miała dość, kazała uczniom czytać po cichu i wychodziła do pokoju nauczycielskiego zapalić papierosa. Pod jej nieobecność wszyscy zaczynali szaleć. Chłopcy z głębokiej wsi, ci mieszkający w chatkach, w których używano się jeszcze lamp naftowych, tańczyli na biurku nauczycielki, aby pokazać, że coś takiego jest możliwe. Mali buntownicy, mający nie więcej niż metr wzrostu, w dżinsach z nogawkami podwiniętymi prawie do kolan, bo mieli w tych spodniach chodzić jeszcze przez kilka lat. No i, jeśli liczyć szczęśliwe chwile, raz w miesiącu maszerowali grzecznie, w szeregu, po stoku wzgórza, przez kępę sosen, a potem po stromych betonowych schodach do biblioteki miejskiej, gdzie każde z nich mogło wypożyczyć dwie dowolnie wybrane książki na całe dwa tygodnie.

Jednak choć Luce polubiła szkołę, uznała, że dobrze musi zapamiętać najważniejszą lekcję, którą sobie przyswoiła i która była bardzo prosta. W zamian za rozrywkę oddajesz wolność. I tu cię mają.

– Spójrzcie na to – powiedziała Luce, podnosząc w dłoni fajkę z morskiej pianki, z pomarszczonymi brodatymi twarzami elfów wyciętymi w pożółkłym cybuchu. Fajka wyglądała jak mały saksofon. Dzieci udawały, że nie patrzą. Podobała im się zakurzona rupieciarnia na pierwszym i drugim piętrze domu, myszkowanie w niej.

Luce nauczycielka zabrała je tam na poszukiwania, przetrząsanie skórzanych kufrów, pozostawionych na strychu pod okapem i w schowkach. Przedpotopowe zagubione i odnalezione przedmioty, jak zaśniedziałe broszki ze srebra i kości słoniowej, które kobiety cenily tak nisko, że wrzucały je do szuflad biurka. Beżowe luźne w udach bryczesy i czarne wysokie buty do jazdy konnej, ze spękanej skóry, o niezliczonych pordzewiałych dziurkach i zbutwiałych sznurowadłach. Wszystko to świadczyło o tym, że kiedyś w góry przejeżdżali zamożni, dobrze

ubrani ludzie.

Znaleźli gramofon z mosiężną tubą w kształcie kwiatu wilca i stos płyt w brązowych papierowych okładkach. Na talerzu wciąż spoczywała jedna z nich, więc Luce zdmuchnęła z niej kurz, obróciła ramię i opuściła igłę. Z tuby popłynął męski głos, śpiewający *Pucker Up Your Lips, Miss Lindy*. Dźwięk był słaby i trzeszczący. Dzieci ze skupieniem patrzyły na obracającą się płytę i sunącą po niej igłę. Położyły się na bokach na podłodze z desek, podpierając głowy rękami i wydawało się, że upiorna trzeszcząca muzyka sprzed lat działa na nie odprężająco i uspokajająco. Gdy powtarzały się trzy czy cztery nuty refrenu, oboje z obojętnym wyrazem twarzy nucili je do wtóru.

Luce jako prezenterka przejrzała wszystkie płyty. Nastawiała kolejno Pega Lega Howella, Kinga Olivera, Biksa Beiderbecke'a. Mały zespół rzępolący *Cwał Walkirii*. Potem jakiś prowincjonalny duet śpiewający o łuskaniu kukurydzy, które, jak Luce wiedziała z doświadczenia, wcale nie było przyjemnym zajęciem i kaleczyło dłonie, ale wieśniacy wyraźnie dobrze się bawili, sławiąc je radośnie. Wykonawcy specjalizujący się w jodłowaniu i bluesmani z okresu tuż po pierwszej wojnie światowej, piosenkarze jeszcze sprzed czasów, gdy nosiło się futra z szopów, czyli epoki rozświetlanej jedynie blaskiem księżyca. I wreszcie T. B. Blues Jimmiego Rodgersa. Był to jedyny utwór, o którym Luce coś wiedziała, wyjaśniła więc dzieciom, że Rodgers mieszkał kiedyś tu, niedaleko, i umarł na gruźlicę, ale śpiewał o niej raźnie i bojowo.

Kiedy przesłuchali już wszystko, z obu stron, Luce zabrała na dół gramofon, płyty i rdzawoczerwony skórzany album ze zdjęciami.

Zdjęcia pochodziły z pewnego lata w dawnych czasach i wieczorem, gdy podopieczni Luce poszli spać, zaczęła oglądać je uważnie, jedno po drugim. Były przytwierdzone do czarnych kart albumu czarnymi ząbkowanymi trójkącikami, zwilżanymi językami osób dawno zmarłych. Na tych fotografiach Chata wyglądała na całkiem nową. Do pierwszej wojny światowej było jeszcze daleko. Zupełnie inny świat, choć istniejący w tej samej przestrzeni. Pięć dziewcząt w białych sukienkach ze stójkami siedzi na stopniach ganku i suszy długie dopiero co umyte włosy. Dwie dziewczynki śpią razem w hamaku, z rozłożonymi na wąskich taliach książkami i osuwającymi się z ich opraw smukłymi dłońmi. Dziewczęta grają w lotki po obu stronach siatki rozciągniętej na trawniku, ze spódnicami do kostek, w kapeluszach przewiązanych wstążkami. Kolejne płyną kajakiem po jeziorze. Mężczyźni z bokobrodami w pasiastych kostiumach kąpielowych palą po obiedzie cygara na ganku. Śliczna kobieta z ciemnymi włosami spiętymi w kok idzie przez trawnik w jasnej letniej sukni, z rąbkiem sunącym po trawie; twarz ma zamazaną, bo skrzyła głowę, żeby spojrzeć w stronę aparatu, gdy pstryknęła migawka.

Pogodna, bezksiężycowa noc, godzina przed świtem. Dzieci się obudziły i zaczęły hałasować. Przesuwać lampę z mikowym abazurem pięć centymetrów w lewo, miskę rdzawego koloru dziesięć centymetrów w prawo. Przesuwać tomy Encyklopedii Britannica według jakiegoś nowego porządku, mniej oczywistego niż alfabetyczny. Wyczyniać to wszystko, co robiły, gdy były głodne albo znudzone. Luce w końcu przestała udawać, że śpi, ale nie zamierzała stwarzać precedensu, jakim byłoby gotowanie po nocy.

Wyprowadziła więc dzieci na podwórko i zaczęła wskazywać różne gwiazdozbiory. A szczególnie Oriona, widocznego krótko przed świtem przez kilka tygodni u schyłku lata jako zapowiedź jego końca. Gdy Dolores i Frank spojrzeli na jej palec zamiast w niebo, stanęła za nimi, ujęła je kolejno za głowy i skierowała ich wzrok w odpowiednim kierunku.

Myśląc, że od czasu do czasu mogą zarejestrować słowo czy dwa, powiedziała:

– Ta sylwetka tuż nad górami. Szerokie ramiona, wąska talia. To Orion. Goni Plejady, tamtą małą grupę gwiazd, którą ma przed sobą. Ludzie z dobrym wzrokiem są w stanie je policzyć. Co do jednej. Wszyscy inni widzą tylko kilka gwiazd przebijających się przez mgłę. Wiąże się z nimi pewna historia.

Rozpoczynając opowieść, Luce uświadomiła sobie, że będzie musiała wspomnieć o samobójstwie siostr. Może lepiej to pominąć, pomyślała. W jej wersji więc siostry nie umarły, tylko od razu zostały zamienione w gwiazdy. Jednakże od jesieni i do wiosny Orion z mieczem przy boku ściga je po nieboskłonie. Najważniejsze, że Plejady biegną przed siebie noc w noc od niepamiętnych czasów, gdy jeszcze tu, na ziemi, nie opowiadano sobie ich historii, i Orion ich nie łapie. Nigdy mu się to nie uda.

Następnego popołudnia dzieci zniknęły. Siedziały na ganku i słuchały płyt, podczas gdy Luce na podwórku karmiła kurczętą i podziwiała bujność lasu u schyłku lata. Liście topoli miały już za sobą najgłębszy odcień zieleni. A potem poszła do ogrodu i zerwała kilka żółtych kabaczków na kolację. Dojrzewały tak szybko, że nie nadążali z ich jedzeniem, ale wszyscy troje bardzo je lubili, zwłaszcza obtaczane w mące kukurydzianej i smażone na chrupko. Potrafili je jeść w takiej postaci pięć razy w tygodniu. A szósty i siódmy raz duszone z zieloną papryką i cebulą. Luce niosła sześć grubych kabaczków na rękach i właśnie kładła je na ganku z tyłu domu, kiedy nagle sobie uświadomiła, że nie słyszy starych piosenek.

Dzieci nie było ani na ganku, ani w domu, przynajmniej na ile się mogła zorientować, przechodząc szybko przez parter i wołając je po imieniu. Zbiegła po trawniku nad jezioro. Popędziła wzdłuż brzegu. Wzdłuż potoku, aż na szczyt wzgórza, i z powrotem, do domu. Wołając je bez przerwy. Czerwona na twarzy i zdyszana. Oszalała z przerażenia i rozpacz.

Wbiegła znowu do domu, ale nie wróciły. Napiała się wody ze źródła i ruszyła brzegiem jeziora w drugą stronę, wzdłuż następnego potoku, na szczyt następnego pagórka i z powrotem. Daremnie. Była już mniej przerażona, a bardziej wyczerpana i wściekła na siebie, że ich nie upilnowała.

Na moment spuściła je z oczu i przepadły. A w górach są niedźwiedzie i pantery. O węzach nie wspominając. Dzieci mogły się schować za grubym pniem drzewa, stać nieruchomo i wstrzymać oddech, gdy przechodziła trzy metry dalej, wołając je i wypluwając sobie płuca, żeby je znaleźć.

Wróciła nad jezioro, w którym mogły się tylko potopić, i zastała je na brzegu, rzucające w siebie kamieniami. Podbiegła do nich i próbowała je objąć, pocałować, ale one nie patrzyły jej ani sobie w oczy. Dawały się ścisnąć, wykręcając szyje, jakby zaciekało je coś na drodze.

Luce podążyła za ich wzrokiem i nad wierzchołkami drzew, na tle popielatego nieba, zobaczyła smużkę czarnego dymu, która wyglądała bardziej jak komin czy grzyb. Wznosiła się nad pustym domem starego Stubblefielda, który stał po drugiej stronie wzgórza.

Zachodnią część wyspy zasnuwała mżawka. Było dość zimno jak na tę porę roku. Atlantyk miał kolor oliwkowobury i w którąkolwiek stronę by spojrzeć, widać było tylko cienki wał czarnych wodorostów, znaczący linię przyływu, jak jedno długie ręcznie napisane zdanie w zapomnianym języku. Stubblefield włożył płaszcz przeciwdeszczowy, zerknął do lustra i pomyślał z żalem, że nikt nie odpowie na to spojrzenie. Wyszedłszy na zewnątrz, minął pordzewiały prysznic, pod którym spóźnieni plażowicze powinni splukiwać z siebie piasek i sól, ale deszcz padał już od tak dawna, że wszyscy wymeldowali się z pensjonatów, wsiedli do swoich kombi i wrócili do domów.

Przeszedł po wydmie na pustą plażę i zaczął brnąć na północ w mokrym piachu, tuż obok fal. Minionej zimy miejscowi mówili na Stubblefielda „ten facet, który chodzi po nocy”. Teraz, w lecie, był facetem, który pływa po nocy. Ale w taką pogodę nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Kilka jardów dalej, przy budce na plaży, skręcił w głąb lądu. Dmuchane materace, latające talerze i obręcze do hula-hoop. W oknie plakat przedstawiający opaloną dziewczynkę, którą pies ciągnie za majtki od bikini, odsłaniając jej bladą pupę. Na kartce przyklejonej do wewnętrznej strony drzwi informacja: „Wróć, gdy pogoda się poprawi”.

Cóż, należało mieć nadzieję. Stubblefield naprawdę podziwiał takie beztrioskie podejście do interesów. Ale w pewnym momencie człowiek przestaje wybiegać myślą w przyszłość.

Skierował się w stronę miasteczka. Minął latarnię morską i wejście do starego fortu. Kiedyś, w przeszłości, na tym terenie stale toczyły się jakieś walki. Nastawali tu Indianie, Hiszpanie, Anglicy, a ostatnio my. Na lepsze albo na gorsze. Idąc dalej chodnikiem, minął słone mokradła, szkołę średnią, budkę z hamburgerami, kościół.

Na początku Centre Street Stubblefield dotarł do następnego kamienia milowego, czyli kina. Z zewnątrz zwyczajna małomiasteczkowa fasada, a za nią jedna wielka prowizorka. Budynek przypominał ogromną budę z blachy falistej. Dach, pofałdowane metalowe sklepienie beczkowe, przeciekał podczas deszczu i Stubblefield miał wrażenie, że w snopie światła z projektora dostrzega nietoperze, a przynajmniej wielkie ćmy, rzucające cienie na ekran. Plakat zapowiadający nadchodzącą atrakcję, Ucieczkę w kajdanach, z Tonym Curtisem i Sidneyem Poitier.

Dalej przy ulicy – drogeria. Niski nowoczesny budynek z cegły i szkła, zupełnie niepasujący do wiktoriańskich rezydencji i dziewiętnastowiecznych sklepów. Za oknem wystawowym dwa obrotowe stojaki z książkami w wydaniach kieszonkowych, na wąskich półkach komiksy i czasopisma rozłożone w kształt wachlarzy, tak żeby było widać ich kuszące okładki. Szybko przerzucił „Hot Rod”, a potem „Staga”. Jeden świat bardziej fikcyjny od drugiego. Kupił przy ladzie opakowanie aspiryny i „Times-Union” z Jacksonville. Aspirynę schował do kieszeni płaszcza, a złożoną gazetę wetknął pod ramię, jakby to był londyński albo nowojorski „Times”.

Powędrował w deszczu do monumentalnego budynku poczty z murałem propagującym program Works Progress Administration w holu; przedstawiał on konkwistadorów w hełmach

z kitami, Indian z plemienia Seminoli i palmy. Przystanąwszy pod ścianą z małymi skrytkami o mosiężno-szklanych drzwiczkach, przekreślił gałki w odpowiednich kombinacjach i wyjął swoją pocztę. Potem zszedł do portu, z łodziami do wynajęcia. Połączył wody dzielącą wyspę od lądu znaczyły rzadkie krople deszczu. Stubblefield poprosił o pół kilo krewetek i zapłacił, wyciągając rękę nad burtą łodzi. Podał trzy strony gazety z ogłoszeniami drobnymi członkowi załogi, który rzucił na papier dwie duże garście skorupiaków i zapytał:

- Czy według pana będzie tego pół kilo?
- Co najmniej – potwierdził Stubblefield.

Niektóre krewetki jeszcze poruszały ogonkami, wystawiały anteny, choć ich czarne oczy już blakły. Morskie karaluchy, chociaż smaczne. Zamierzał ugotować je z przyprawami Old Bay, obrać i zjeść, maczając w keczupie z taką ilością cytryny i rzodkiewek, że łzy napływają do oczu, a w nosie wierci aż do zatok. Zawinął gazetę z konającymi stworzeniami, utykając porządnie jej rogi. Papier już zaczynał przesiąkać wodą i szarzeć, kiedy wkładał pakunek do kieszeni płaszcza, czując na biodrze ruch krewetek.

Spojrzał na nagłówek gazety, aby sprawdzić, jaki jest dzień, i zobaczywszy, że wtorek, wstał na wódkę z tonikiem do jednego z marnie oświetlonych barów przy dokach. System był prosty. W niedziele i poniedziałki żadnego picia. W piątki i soboty trzy–cztery szklaneczki, coś w tym stylu. A we wtorki, środy i czwartki – tylko jedna, podczas czytania gazety i otwierania poczty. A potem koniec zbijania bąków. Płacił i wychodził.

Stubblefield sączył drinka i rozdierał koperty. Głównie rachunki. Łącznie z opłatą za słup telefoniczny, który przed rokiem przewrócił gdzieś na brzegu Missisipi, rozbijając przy okazji ślicznego zielonego austina healy. Miał płacić firmie telekomunikacyjnej cztery dolary miesięcznie, do końca życia. Dalej list od prawnika tam, z gór, który składał mu kondolencje z powodu śmierci dziadka i powiadał o spadku: kilka działek ziemi, plus dom z budynkami gospodarskimi, Chata Wayah i historyczna gospoda, pozostałość z czasów, gdy podróżowało się dylizansami.

Wszystko niestety zniszczone i zaniedbane. Tak dosłownie napisał prawnik.

Stubblefield wyobraził sobie silos do składowania kukurydzy, w którym bawił się jako chłopiec, szopę nad źródłem, kudzu zarastające ogród.

Nieco dalej w liście, i już bardziej optymistycznie, informacja o comiesięcznym dochodzie z wynajmu gospody i procencie z zysków netto. Obecnie zwana Przydrożnym Zajazdem, z tego, co pisał prawnik, funkcjonowała głównie późnym wieczorem i była znana z muzyki na żywo. Ze względu na podatki stanowiła jednak potencjalne obciążenie, mimo że jako jedyna część spadku przynosiła jakiś zysk.

Stubblefield doczytał się w tych eufemizmach, że gospoda, kupiona przez dziadka dla kaprysu, jak osiemnastowieczna porcelana czy stara poczerniała broń na proch, które starszy pan kolekcjonował, stała się w czasach prohibicji nielegalnym barem. Co stanowiło odpowiednie dziedzictwo, ponieważ dziadek nigdy nie należał do zatwardziałców, którzy odmawiają sobie albo innym tej drobnej przyjemności, jaką jest drink na koniec dnia.

Stubblefield spędzał na farmie każde lato od wczesnego dzieciństwa aż do osiemnastego roku życia. Przestał tam jeździć po śmierci babki, gdy zaczął odnosić wrażenie, że dziadek chce resztę życia spędzić w samotności, odcinając się, na ile to możliwe, od świata zewnętrznego. Jeśli liczyć, że lato trwa trzy miesiące, w sumie był to kawał czasu. Łącznie musiał przeżyć w tych

wilgotnych zielonych górach z siedem lat. Co za miła niespodzianka – odziedziczyć całą tę malowniczą rodzinną ruinę. Ogarnęły go jednak wyrzuty sumienia, że nie był na pogrzebie, choć nikt go w porę o nim nie zawiadomił.

List od prawnika kończył się niemiłą uwagą. O różnych niezapłaconych podatkach i zaległych rachunkach. Mimo to zostało trochę gotówki na kontach bankowych. Co z tym zrobić? Proszę o wiadomość.

Stubblefield zaczął się zastanawiać nad tym niespodziewanym i kłopotliwym dziedzictwem. Potem przypomniał sobie o aspirynie, którą miał w kieszeni. Zamówił jeszcze jednego drinka i wypił go na raz, splukując zbawienny gorzki proszek z kopertki.

Ponieważ zaświeciło słońce, a Stubblefield uważał się za faceta lubiącego boczne drogi z ładną scenerią, nie wybrał najprostszej trasy. Przez kilka dni jechał więc wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się, żeby zjeść coś albo wypić w budkach na plaży i przejść się po miasteczkach. Jekyll Island, Savannah, Beaufort, Charleston. Wszystkie te piękne stare miejsca, jak to, które właśnie opuścił. Wiktoriańskie domy, hiszpański mech porastający dęby, łodzie rybackie w portach po południu i nadbrzeżne knajpki, w których smażono poranny połów. Atlantyk z godziny na godzinę zmieniający barwy, w kolorze miedzianej zieleni, szarofioletowym, ciemnoszarym. W niezwyklej odzieniach.

Na Sullivan's Island przeszedł przez zimny, wilgotny fort, w którym swego czasu służył Poe. A potem Isle of Palms, gdzie wszyscy jeździli kombi pełnymi dziećmi w kostiumach kąpielowych, z dmuchanymi piłkami plażowymi, materacami i innymi zabawkami w jaskrawych kolorach podstawowych, piętrzącymi się za tylną szybą. Zaparkował wóz i poszedł popływać, płynął wzdłuż plaży coraz dalej i dalej, aż stracił siły, więc odpoczął na mokrym piasku, tuż nad wodą, i popłynął z powrotem do samochodu.

W końcu skręcił w głąb lądu i po zachodzie słońca jechał przez piaszczyste porośnięte sosnami równiny i łagodne pagórki, myśląc o jeziorze wśród gór i dużym białym domu o drewnianej konstrukcji. Zielonych listwach wokół okien i wzdłuż okapu, zaśniedziałym cynkowanym dachu. Głębokim ganku wzdłuż całej szerokości budynku, gdzie latem w popołudniowym cieniu kręcił lody. Ten dom był pozostałością po jakimś dawnym przodku, który kupił wielkie połacie ziemi na aukcji, gdy na początku dziewiętnastego wieku, w latach którychś tam, państwo wyprzedawało tereny należące do Czirokezów. Później, już w czasach wojny secesyjnej – a może Rekonstrukcji, mówiąc dokładnie – w posiadaniu jego rodziny znajdowała się czwarta część wielkich gór. Kawał ziemi w kształcie piroga, rozciągający się od pierwszego szczytu górskiego na wschód. Tysiące hektarów, może dziesiątki tysięcy. Wtedy jednak góryste tereny były warte dziesięć centów za hektar, jeśli znalazł się kupiec. W ciągu następnych dziesięcioleci zyskały trochę na wartości i w końcu dało się je sprzedać, niemal wszystkie, oprócz kilku działek należących do starszego brata Stubblefielda seniora.

Rok przed Wielkim Kryzysem brat upodobał sobie melancholijną muzykę kowbojską. Miał dobrze po trzydziestce, a to niebezpieczny okres w życiu. Przez większość popołudni od wczesnej wiosny do późnej jesieni siedział na ganku swojego domu, rozparty na prostym krześle z pasiastym siedziskiem oraz oparciem i sączył kolejne szklaneczki dobrej szkockiej. Od czasu do czasu wyciągał rękę, żeby podnieść ramię victrola i nastawić kolejną siedemdziesiątkę ósemkę. Bury Me Not On The Lone Prairie, Red River Valley, Streets of Laredo. Gdyby któregoś dnia ludzie zorientowali się po jego stroju, że jest kowbojem, czułby się spełniony. Potem bez

zapowiedzi zniknął, a wcześniej po cichu sprzedał większość górskich terenów znacznie poniżej ich wartości. Kilkadziesiąt lat później stary Stubblefield dowiedział się, gdzie przebywa brat, i pojechał go odwiedzić. Znalazł wysokiego siwowłosego mężczyznę o pałkowatych nogach w małym bungalowu w centrum Rawlins, w Wyoming. Brat czuł się spełniony. Codziennie, przez okrągły rok, chyba że szedł do kościoła, nosił levisy i stetsona, latem słomianego, a w inne pory roku z brązowego filcu. Za każdym razem, gdy dziadek opowiadał tę historię, stwierdzał na koniec, że wnuk jest bardzo podobny do owego kowboja. Co, aż do tej pory, Stubblefield brał za komplement.

Następnego ranka pokonał zakręt, mijając stodołę i silos – oba budynki wyblakłe ze starości i chylące się ku ziemi.

Tak, rzeczywiście, zniszczenie i zaniedbanie.

Spodziewał się więc następnych przygnębiających widoków, kiedy ukazał się sam dom. Czy też miejsce, gdzie stał. Tam, gdzie powinien wznosić się budynek, Stubblefield ujrzał pustą przestrzeń odpowiadającą wielkością domowi dziadków. A poniżej czarny krąg popiołów i zwęglonego drewna, otoczony nieściętą trawą. Kilka nadpalonych, przechylonych belek stropowych. Stuletnie dęby na podwórku z osmalonymi ze wszystkich stron liśćmi, patrzące w pustkę. Bukszpany, przy ośmiu czarnych od sadzy kamiennych stopniach prowadzących donikąd, spalone do samej ziemi.

Zaparkował na tyłach przy bramie i podszedł na skraj pogorzeliska. Przykucnął i przyjrzał się kręgowi, w którym przez ponad sto lat toczyło się życie, również jego. Z brzegu popioły były miękkie i jasne. Każdy powiew wiatru unosił cienką ich warstwę w powietrze, co przypomniało Stubblefieldowi wysypywanie zawartości urny. Zanurzył w nich dłoń, żeby rzucić w powietrze kolejną ich garść, ale szybko cofnął rękę. Sparzył się. Popioły były jeszcze gorące. Pobiegnął do osmalonej szopy nad źródłem i zanurzył rękę w zimnej przejrzystej wodzie, wydobywającej się głęboko spod ziemi.

Schylek lata. Zjazd towarzyski na niedawno wyrąbanej polanie pod miasteczkiem, w pasie, gdzie wszystko zamienia się w dżunglę i wznosi stromo ku szczytom gór. Kilkadziesiąt pojazdów zaparkowanych między drogą a wyrównanym placem. Głównie chevy i fordys. I parę zagranicznych, jak nisko zawieszony hudson coupe, mały różowo-biały nash metropolitan, czy nawet dziwaczny jasnożółty vauxall. No i stary zielony pick-up z listwami bocznymi.

Zza gór na wschodzie wyjrzał księżyc w pełni, ale niebo było na tyle ciemne, że wyraźnie odznaczała się na nim jedna jasna planeta. Jednak na konkurs strzelecki było wystarczająco dużo światła. Wszyscy stali z bronią w rękach, w kapeluszach na głowach i z papierosami w kącikach ust. Mężczyźni w dżinsach, flanelowych koszulach i kurtkach khaki przed wałem z rudej gliny, na którym widać było ślady zębów spychacza. Mnóstwo piwa, kilka starych, pamiętających dawne czasy weków z wódką kukurydzianą. Kartki z tarczami strzelniczymi, przypięte do wału spalonymi zapalkami. Białe tło z cienkimi czarnymi ułożonymi koncentrycznie kółkami i czarnym środkiem. Ich rzędy na rudym wale wyglądały nowocześnie i artystycznie. Nie, przeciwnie, wcale nie artystycznie. Bardziej jak zadanie z geometrii, które trzeba rozwiązać, a odpowiedź stanowi idealnie pusta dziura w czarnym środku.

Zwabiony przez ten zjazd Bud, nowy w miasteczku, przyjechał na miejsce, zawrócił i zaparkował. Potem wmieszał się w tłum, licząc, że usłyszy jakieś plotki o rodzinie Lily, a zwłaszcza o miejscu pobytu dzieciaków, bo wcześniej, u fryzjera i w sali bilardowej, niczego się nie dowiedział. W krótkim czasie jednak prawie się upił rozdawanym szczerze piwem i nalewanym od serca do papierowych kubków wild turkey.

Nie miał strzelby, ale to zupełnie nie przeszkadzało tkwiącemu w nim zabijace, który domagał się wypuszczenia na wolność. Podszedł więc do niskiego szczupłego mężczyzny z oszronioną puszką pabsta w lewej ręce i wielką czterdziestką piątką, niemal jak cegła, w prawej. Facecik uginał się pod jej ciężarem. Bud powiedział do niego pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

– Hej, niektórzy z tych chłopaków mówią, że masz tak małe stopy, że kupujesz buty w dziale dziecięcym.

Lit się uśmiechnął, uniósł brwi i upił łyk piwa. Przysunął się do Buda blisko. Dzielilo ich tylko kilkanaście centymetrów. Czubkiem głowy sięgał Budowi do obojczyków.

– Który tak powiedział?

Bud odruchowo cofnął się o krok.

– Żaden – odparł.

– Żaden? Po prostu spojrzaleś na moje stopy i tak palnąłeś, co?

– Ktoś mógł coś powiedzieć. Nie pamiętam dokładnie. To miało być śmieszne.

– Śmieszne? Takie same buty, tyle że za mniejsze pieniądze. Śmiesznie byłoby przepłacać.

Bud spojrzął z góry na małego Lita i jego wielką strzelbę. Pozbierał się, przypominając sobie swoją wyższość nad tą bandą prostaczków, i rzucił:

– Mały, potrzebujesz dwudziestki dwójki. Lepiej leżałyby ci w ręce. To jeden z tych pistolecików do torebki.

Lit zbliżył się do niego o ten krok, o który Bud się cofnął. Wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę. Bud wziął ją od niego, odwrócił i przyjrzał się jej uważnie, jakby miała wypisane coś na kolbie.

Lit przełożył do prawej ręki częściowo opróżnioną puszkę piwa i rzucił w stronę wału z gliny. Puszka upadła kilkanaście centymetrów dalej, a jej zawartość się wylała.

– Trafiłbyś w nią? – zapytał.

– Nawet, cholera, we śnie.

– Jeśli to takie łatwe, wystrzelaj w nią cały magazynek.

– Cofnij się i patrz.

Bud odpowiedział na wyzwanie i zaczął strzelać, naciskając spust tak szybko, jak tylko potrafił.

Pierwszy pocisk trafił w puszkę, tak że obróciła się na wale. Ale przy każdym następnym strzale czterdziestka piątką coraz bardziej się buntowała, zwracała przeciwko niemu i najwyraźniej chciała uderzyć go w czoło. Walczył z nią, ale przegrał. Gdy opróżnił magazynek, lufa wskazywała miejsce, gdzie o północy znajdowałyby się księżyc.

– Tak myślałem – skwitował Lit.

– Niech to szlag. Pokaż, jak ty to robisz.

Lit wziął od niego pistolet i włożył do kabury, którą następnie zapiął.

– Coś ci powiem – rzucił. – Zrobię to, gdy ty zrobisz.

I odszedł, a wtedy natychmiast do Buda zbliżyło się kilku innych strzelców z piwem. Jeden z nich powiedział:

– Można się było pomylić. Nie był na służbie i nie miał na sobie munduru.

– Na jakiej służbie? – zapytał Bud. – Pracuje na stacji benzynowej?

Wśród śmiechów jeden przez drugiego opowiedzieli więc nowemu sławną historię o zastępcy szeryfa i włamywaczach. Kiedy Lit został zatrudniony na tym stanowisku, wielu w miasteczku śmiało się z niego z powodu wzrostu. Ale to się skończyło pewnej nocy, gdy trzech faceci postanowili pod osłoną ciemności obrabować miejscowy sklep wielobranżowy. Z głupoty mieli przy sobie broń. Lit czekał na nich na ulicy, gdy wyszli z łupem. Dziewiętnaście dolców, przeważnie w monetach jednodolarowych, z szuflady w kasie. I papierowa torba z towarem, który zgarnęli po drodze. Duży pojemnik z tysiącem pocisków do Daisy bb, nóż typu warncliff z podrabianą kościaną rękojeścią, czerwono-białe opakowanie pomady Royal Crown i różowy breloczek w kształcie króliczej łapy. No dobrze, razem było tego ze dwadzieścia trzy dolary i trochę drobniaków. Mała sprawa. Gdyby sędzia miał dobry humor, mogłoby się skończyć na grzywnie. Tylko że gdy Lit zaświecił im w twarze latarką i oświadczył, że są aresztowani, jeden z nich popełnił błąd i wyciągnął pistolet. Lit był już po służbie, w drodze do domu robił ostatni obchód po miasteczku. Miał przy sobie tylko latarkę i nic więcej. Była jednak dłuższa od jego przedramienia, licząc od czubków palców do łokcia, i ciężka, bo wewnątrz czarnego metalowego walca miała baterie D. Kiedy Lit skończył swoje, wszyscy trzech mężczyźni wylądowali w szpitalu, a ten, który wyjął broń, omal nie stracił życia. Od tamtego fałszywego ruchu ma niedobrze w głowie. Można go zobaczyć, jak siedzi na ławce przed salą bilardową, taki prosty powolny facet z głęboką różową dziurą w czole, uśmiecha się do każdego, przyjaciel ludzkości. Potem

pojawiła się plotka, że Lit był podczas wielkiej wojny rangerem, co znaczy, że potrafiłby cię zabić gołymi rękami na dziesięć różnych sposobów i nawet by się przy tym nie spocił.

– Jasna cholera – powiedział Bud na koniec tej opowieści. – Cholera, cholera, cholera.

Jeden z opowiadających, starając się zachować kamienną twarz, zapytał:

– Wiesz, co myślę?

– Co?

– Że przypadłeś Litowi go gustu.

Bud zorientował się, że to było niedobre zagranie na początek – zwrócić na siebie uwagę przedstawiciela prawa. Ale co się stało, to się nie odstanie. Popęłnił błąd, ale chrzanić to. Nie ma co się w tym grzebać, trzeba iść przed siebie.

I wkrótce – kiedy zapadła noc, strzelcy odłożyli broń, zaczęli pić ostrzej i rozwiązały im się języki – Bud dowiedział się wreszcie czegoś pożytecznego. Wszyscy narzekali, jak trudno tu zdobyć piwo i mocniejsze trunki, bo w tutejszym stanie obowiązuje prohibicja, poza tym nie ma nic tylko przepastne lasy państwowe, a wokół, po każdej stronie kompasu, inne „suche” stany. Albo trzeba jechać godzinami, żeby dostać się do wolnego świata, albo płacić horrendalne sumy jedyemu w okolicy bimbrownikowi i szmuglerowi alkoholu. Bud od razu się połapał, jaka nadarza się okazja. Następnego dnia znalazł Przydrożny Zajazd, dowiedział się, że podaje się tam alkohol po godzinach, a miejscowi przedstawiciele prawa od dziesięcioleci przymykają na to oko. Drugiego dnia znał już nazwisko miejscowego przemytnika i złożył mu przyjacielską wizytę.

Stary Jones był łysym starszym mężczyzną, który już pod koniec poprzedniego stulecia zjadł zęby na bimbrownictwie. Nosił kombinezon z karczkiem, wykrochmaloną białą koszulę i czarną marynarkę. Od dołu farmer, od góry przedsiębiorca. Siedział na bujanym fotelu na ganku i patrzył przed siebie, w głąb doliny. Powiedział, że mógłby pokroić melona, gdyby Bud miał ochotę zjeść kawalek.

Jedli więc melona, rozstawiwszy szeroko nogi, tak że sok kapął im pod stopy, znikając w szparach między deskami. Jones rozgadał się o swoich pierwszych latach w tym fachu, kiedy jeszcze używało się miedzianego czajnika i miedzianej rurki. Udało mu się uniknąć poborców podatkowych i nie odsiedział w pace ani jednego dnia. Nawet teraz produkował ze dwieście litrów każdej jesieni, gdy wieczory robiły się chłodne, a on i jego posiwiali kumple chcieli uciec od żon i spędzić kilka tygodni wysoko w górach, gdzie wypuszczali psy na szopy i opowiadali niestworzone historie z młodości. Późnym wieczorem przy ognisku podnosili butelki świeżego samogonu i komplementowali jakoś nowego wyrobu. Teraz zarabiała się głównie na przemyście. Towarze z akcyzą. Żadnej sztuki, tylko czysty handel.

Kiedy Buda zmęczyło już słuchanie folklorystycznych opowieści i przeszedł do interesów, nie bawił się w subtelności. Czasy się zmieniły, to był jego zasadniczy argument. Mniej chrzanienia się, większy zysk. Świat stał się niebezpieczny i Bud go właśnie reprezentował. Na koniec zmusił starego bimbrownika do przejścia na emeryturę, łącząc bardzo konkretne groźby z mglistą obietnicą procentu od rozszerzonego biznesu alkoholowego, prowadzonego przez niego samego na nowoczesnych zasadach. Gdyby chciał, były przemytnik mógłby siedzieć na ganku tak jak teraz i tylko co miesiąc inkasować czek.

– Dobry Boże – zauważył Jones. – Nie wiesz, że w tym biznesie obraca się wyłącznie gotówką?

Bud odszedł z małym skórzanym notesem, zawierającym adresy. I długą listę wybiegających

w nieskończoność zamówień od wszystkich mieszkańców miasteczka zainteresowanych zdobyciem alkoholu bez konieczności spędzenia dnia za kółkiem. Dwie butelki smirnoffa co dwa tygodnie. Jeden czerwony johnny walker i dwa bacardi miesięcznie. Dwa litry popova tygodniowo. I tak strona po stronie. Przy każdym zamówieniu nazwisko i numer telefonu, jeśli wziąć za taki 7 i 14-G. Bud nie wziął. Miał więc miłą niespodziankę, gdy telefon odebrali autentyczni klienci.

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu w miasteczku Bud zrobił cztery długie kursy pick-upem i ze zdumieniem skonstatował, że będąc przemytnikiem, niezwykle szybko nawiązuje się przyjaźnie. I że zaczął zarabiać niemal od razu po przyjeździe, choć jeszcze niedawno zachodził w głowę, na jak długo wystarczy mu zatłuszczonych banknotów z napadów na stacje benzynowe, jeśli będzie żył oszczędnie, co nigdy nie było jego mocną stroną. A tu w ciągu kilku dni znalazł źródło dochodu.

Odnalezienie się w nowym fachu umożliwił mu brązowy notesik Jonesa, więc któregoś popołudnia Bud wpadł do starego i odpalił mu kilka dwudziestek jako pierwszą dołę. Facet był zresztą bardzo gadatliwy w porównaniu z resztą ludzi. Wystarczyło usiąść z nim na ganku, popijając jego bimber zmieszany pół na pół z lemoniadą, a opowiedział wszystko, co sam wiedział. To zawsze mile widziana cecha, a szczególnie gdy miejscowe plotki o dwójce nowych w okolicy dzieciaków mogą się okazać bardzo przydatne.

Kiedy Bud w końcu zebrał się do odejścia i był już na schodach ganku, w drodze do pick-upa, stary zapytał:

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego w tym zakątku hrabstwa działał tylko jeden bimbrownik?

– Nie – odparł Bud.

Stary Jones wyjaśnił:

– Bo gdybyś dwadzieścia lat temu przyszedł do mnie i gadał takie rzeczy jak ostatnim razem, przed północą leżałbyś już na dnie jeziora.

Mając stały dochód, Bud zamarzył o mercurym, wyposażonym we wszelkie nowoczesne rozwiązania, jakie tylko może mieć samochód, jeśli chodzi o konstrukcję gaźnika, wałka rozrzędu, skrzyni biegów czy kołpaków. Z dźwignią zmiany biegów Hursta, który bez zadyszki osiągnąłby najwyższą prędkość, jaką przewiduje prędkościomierz.

Ale któregoś wieczoru zabrał poznaną w Zajeździe babkę do restauracji dla zmotoryzowanych Thunder Road, a tam leciał tak pouczający film, że Bud musiał opętać się od niej, gdy zaczęła dobierać mu się do rozporoka. Robert Mitchum miał rewelacyjny wózek i dokąd go to zaprowadziło? Prosto na cmentarz. W chwale, ale na cmentarz. To fakt, szybkie samochody zwracają uwagę. Dlatego zamiast uciekać przed prawem po krętych górskich drogach, zaciskając ręce na kierownicy, lepiej nie być zmuszonym do ucieczki – a w tym celu należy udawać szarego człowieka i zbytnio nie rzucać się w oczy.

Następnego dnia Bud pojechał więc pick-upem do warsztatu, żeby naprawić radio i prędkościomierz. Kupił brązową płócienną plandekę i tuzin bel siana do wyścielenia skrzyni ładunkowej i zasłaniania towaru. Jeśli chodzi o inwestycje w nowy biznes, to było tyle.

Chciał uczcić to osiągnięcie, ale dokonał w głowie obliczeń. Sprowadzanie alkoholu było znacznie bardziej opłacalne niż smarowanie sprzęgów na torach, ale nawet gdyby pracował jako przemytnik do późnej starości, tak jak jego poprzednik, nie zarobiłby tyle, ile świsnęła mu Lily.

A żyłby jak z przystawionym do skroni pistoletem, na którego spuście swoje grube paluchy trzymają te dwa głupie gnojki.

– Wyobraźcie sobie – powiedziała Luce – co by było, gdyby teraz jechała tędy lokomotywa ciągnąca wagony ze świeżo ściętymi balami. Poczuliście ohydny dym węglowy i sadzę. A potem, kiedy już pociąg by przejechał, zapach ściętych dębów, topoli, klonów, świeży i czysty. Pomyślcie: drżenie ziemi, stukot wielkich kół na szynach i uginające się pod ciężarem podkłady kolejowe.

Dzieci jej nie słuchały, ale stały z pochylonymi głowami i przyglądały się iglastej gałęzi choiny. Po jakimś czasie zaczęły się powoli cofać, jakby gałąź była niebezpieczna, jakby krył się za nią niedźwiedź albo wąż.

– O co chodzi? – zapytała.

Dolores i Frank odwrócili się i szli dalej zapadniętym nasypem kolejowym dawnej kolei wąskotorowej z początku wieku. Stanowiła obecnie dobry szlak ich codziennych spacerów po polach i lesie, których potrzebowali tak bardzo jak dropiate niewybiegane psy myśliwskie. Ziemia pochłaniała ich energię jak podczas wyładowania atmosferycznego i wyraźnie się po przechadzce uspokajali.

Luce wciąż miała nadzieję, że jeśli będzie wytrwale opowiadać o dawno zapomnianych miejscach, które odkrywała w okresie wolności, dzieci w końcu zaczną przyswajać sobie język. A wyglądało na to, że lubią spacerować, wędrować wzdłuż potoków i ich dopływów, brnąć w nich, jakby to były prawdziwe szlaki.

W wodzie po kolana, stąpając po omszałych kamieniach, które ruszały się pod ich stopami, dzieci chwiałały się, więc dla zachowania równowagi machały rękami jak lunatycy. A jeśli tego nie robiły, trzeba było je prowadzić wijącym się szlakiem, bo inaczej szły prosto przed siebie, nie zważając na ukształtowanie terenu i przeszkody, jakby ciągnięte na sznurku jakąś niewidzialną dla wszystkich trasą, może z wyjątkiem różdżkarzy, szukających podziemnych cieków wodnych oraz linii przesyłowych innych nieznanymi sił.

Tego dnia następny historyczny przystanek stanowiło magiczne miejsce w rzece, gdzie przy niskim poziomie wody wciąż było widać czirokeski jaz, przybierający pod wpływem nurtu kształt litery V, i gdzie według Luce zawsze można było złowić rybę. Co zademonstrowała, odcinając gałązkę buczyny i mocując do niej sznurek i haczyk, które wyjęła z kieszeni, a także kamyk na przynętę, wydobyty z sekretnej kryjówki w strumieniu; pewnego dnia to miejsce pokazał jej podczas wspólnej przechadzki stary Stubblefield; zachowywał się tak, jakby przekazywał jej szyfr do sejfu pełnego pieniędzy, i powiedział, że tylko trzy osoby poznały ten zakątek, a dwie z nich już nie żyją. Efektem jej zabiegów był tęczy pstrąg, którego wydobyła z wody i pokazała dzieciom; nie zrobił jednak na nich szczególnego wrażenia, mimo swojej migotliwej agonii, gdy jego łuski zmieniały barwy w świetle słonecznym. Luce wyjęła haczyk z pyszczka ryby i pozwoliła jej wrócić do historii, z której się wywodziła.

Później, z trudem dotarłszy do przełęczy, przez którą już mało kto przechodził, Luce pokazała dzieciom stos kamieni, które ludzie rzucali na znak, że tu dotarli. Sięgał jej do kolan i miał

ponad półtora metra średnicy. Luce powiedziała bliźniętom dzieciom, że jeśli dokopią się do pierwszego kamienia, to być może cofną się w czasie aż do epoki jaskiniowców, którzy chodzili w futrach i mieli wielkie stopy.

Dalej na szlaku, który pokonywała co najmniej kilkanaście razy, Luce dostrzegła coś nowego. Potężny wiekowy dąb przysłonięty przez młodsze drzewa. Z wydrążonym na wysokość stu dwudziestu centymetrów pniem i prawie całkiem wyschniętą koroną. I niskim konarem, grubszym od obwodu ludzkiego ciała, biegnącym równoległe do ziemi, a potem wykręconym nienaturalnie pod kątem prostym ku górze. W jego zgięciu widać było jakby guz z blizną.

Luce podeszła do drzewa, podniosła rękę i położyła ją na guzie. Zorientowała się, że dziwnie wykręcony konar to zdeformowany pień i że ma przed sobą drzewo drogowskaz. Któregoś dnia przed dwustu albo trzystu laty, jeszcze w innym świecie, ktoś przygiął młode drzewko, obrócił je pośrodku i częściowo naciął, a następnie przywiązał witkami albo włóknem do pala w ziemi, żeby tak rosło. Guz, który pojawił się w miejscu nacięcia, przypominał nos i wskazywał określony kierunek. „Idź tam” – brzmiało przesłanie, którego od dawna nikt nie odczytywał.

– Co on wskazuje? – zapytała dzieci. – Może źródło, nawis skalny osłaniający miejsce na obozowisko, gdzie można znaleźć krąg po dawnych ogniskach, napisy w zapomnianych językach czy rysunki na skałach przedstawiające zwierzęta. A może jaskinię ze skarbem, ukrytym przez Hiszpanów w czasach, gdy konkwistadorzy rabowali złoto.

Dzieci stały, nie przejawiając zainteresowania. Luce powiedziała więc, że chętnie by poszła za wskazaniem drzewa, jeśli żadne z nich nie ma lepszego pomysłu. Wyrzuciła ramię przed siebie, z palcem wymierzonym w stronę, którą wskazywało drzewo.

Dzieci objęły przywództwo i ruszyły prosto przed siebie, przez las, wśród wawrzynów i różdżkokwiatów o zapachu wilgotnego ciała. Luce szła z tyłu i rozglądała się uważnie, ale nie widziała nic, co byłoby warte zdeformowania drzewa. Idąc w prostej linii naprzód, przebyli potok i wspięli się na półkę skalną, suche miejsce, porośnięte hikorą, szarańczynem i sosnami. Jasny, rzadki las.

Potem wkroczyli do wilgotnego wąwozu. Gęste choiny. Gałęzie wielkich drzew splatające się z sobą i odcinające światło. Luce czuła jedynie zapach cierpkich igieł i wielowiekową zgniliznę. Dolores i Frank maszerowali przed siebie pod drzewami. Światło było zielone, przefiltrowane, a ich stopy stąpały cicho po martwych igłach, które kładły się tu warstwami od milionów lat. Wokół zwalonych drzew o grubych pniach, balach dających życie mchowi, paprociom i nowym choinom, same gnijąc na brązowo. Dzieci nie zbaczaly z kursu. Zeszły po stoku, aż spadek terenu się wyrównał, przechodząc w polanę. Ale tak naprawdę nie była to polana, lecz pusta przestrzeń w świecie. Zatrzymali się na krawędzi dziwnego urwiska.

Odkąd Luce pamiętała, jeszcze w czasach swojej dziecięcej swobody, wierzyła, że jeśli się wejdzie w las dostatecznie głęboko, dojdzie się do miejsc otoczonych tajemnicą, o duchowym albo rytualnym znaczeniu. Ale do tej pory nie znalazła takiego miejsca i nie spodziewała się, że kiedyś się to stanie i że poczuje nabożny lęk. Teraz ziała przed nią idealnie okrągła dziura w ziemi. Głęboki cylinder nieruchomego powietrza, otoczony zimnymi skałami. Takiej średnicy, że dałoby się cisnąć piłkę na drugą stronę. Daleko w dole widać było czarną nieruchomą powierzchnię wody, przypominającą lustro. Wokół dziury rosły choiny o potężnych ciemnych pniach. Dzieci podeszły na sam brzeg i spojrzały w dół. Luce się przestraszyła i próbowała je zatrzymać, spodziewając się, że będą się wrywać, ale nie. Pozwoliły się wziąć za lepkie ręce,

z brudem w załamaniach skóry.

Luce odciągnęła bliźnięta od dziury, wypatrując przecinki w korytarzu młodszych drzew. Jeśli był tu kiedyś kamieniołom, to czy nie musiały istnieć ślady dawnej drogi czy szlaku, którymi ciągnięto wydobyte skały? Odłamki i odłupki musiały tu być rozsiane po ziemi. Ale nie widziała oznak wzruszonej kiedyś gleby ani żadnej przesieki w kręgu drzew tak grubych i potężnych, że wiele z nich musiało zacząć życie przed napływem w te okolice białych ludzi. W skale otaczającej wyrobisko nie było półokrągłych śladów wiertel ani szarych postrzępionych krawędzi, pozostałości po wybuchu, ostrych jak brzegi krzemienia. Nic tylko idyllicznie gładka skała z porostami i kilkoma paprociami rosnącymi w naturalnych szczelinach i pęknięciach.

Luce puściła rękę Dolores, wzięła kamień wielkości grejpfruta i rzuciła go w powietrze, a potem ponownie chwyciła małą dłoń. Kamień zatoczył łuk i zaczął spadać, leciał i leciał, aż bezgłośnie zmącił powierzchnię czarnej cieczy, jakby tam w dole była kawa. Luce pomyślała, że jej kamień będzie opadał na dno gęstego płynu w całkowitych ciemnościach do końca świata. Ludzie, którzy kopali studnie, zewnętrzne wychodki albo groby, żartowali, stojąc już po kolana w dole, że dokopią się do Chin. Niezależnie, jak głęboka była ta czarna dziura, Chiny nie stanowiłyby wcale najdziwniejszego miejsca, w którym można by wyjść po drugiej jej stronie.

Luce uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie odzywa się ani słowem, więc próbowała wymyślić jakiś komentarz. Zaczęła mówić coś o młodych wojownikach, którzy przychodzili tu sami i nocowali, poddając próbie swoją odwagę. A może odbywały się tu ceremonie, przy wielkich ogniskach, z biciem w bębny i tańcami. Oto gdzie kierowało ludzi drzewo. Nie powiedziała jednak tego, że drzewo mówiło na pewno: „Tam nie idź”. Ale znak, który oznaczał „nie”, dawno przepadł.

Tamtego wieczoru w łóżku, przy ściszonej radiu, które niewiele pomagało, Luce nie mogła zasnąć, bo myślała o czarnej dziurze. Ani przez chwilę nie zastanawiała się, jakie stworzenia tam mieszkają. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, aby nabrać przekonania, że żadne. Życie tylko by tam przeszkadzało. Czarna dziura powstała przed narodzinami życia i wykraczała poza nie. Gdyby czerpakiem nabrać z niej wody i ją wypić, obraz przed oczami stałby się tak mroczny, że nie chciałoby się żyć w świecie, który go podsuwał. Człowiek byłby gotów schronić się w inną ciemność, tę, którą niesie śmierć, daleka krewna czarnej dziury i jej zawartości. Ciemność pochodząca z czasów przed stworzeniem świata. Stanowiącą pozostałość epoki przed światłem. Przed tymi lasami, górami i ziemią, a nawet przed słońcem, kiedy już istniała czarna dziura wypełniona czarną wodą. Czerni nie miała nic wspólnego z otaczającym ją zielonym światem. A co znaczył zielony świat, jeśli czerni jest wieczna, nieprzemijająca?

Na to pytanie Luce nie miała odpowiedzi. Wiedziała jednak, że czarna dziura ma moc przyciągania. Albo się jej oprzesz, albo runiesz w dół. Jeśli dzieci zdołają wrócić tam same, rzucą się do dziury jak kamienie i będą spadać w ciemność. Ale to miejsce do nich pasowało, więc obowiązkiem Luce było utrzymać je z dala od krawędzi studni i powierzchni czarnej wody w dole. Bo Bóg nie ruszy palcem, nawet się nie wzdrygnie.

Zawieszona między snem a jawą, przytomna, ale jakby majacząca, Luce straciła kontrolę nad świadomością i wszystkie straszne rzeczy, które chciała zostawić za sobą na zawsze, zaczęły wypływać z głębin i na powrót ożywać w jej głowie.

W miasteczku, żeby gdzieś zadzwonić, trzeba najpierw podnieść słuchawkę, a wtedy kobiecy głos powie:

– Numer, proszę.

Właściciel firmy telekomunikacyjnej potrafił wywołać brodawki za pomocą stojącej wody i mamrotanej pod nosem tajemnej formuły. Był także właścicielem kortu tenisowego leżącego osiemdziesiąt kilometrów za miasteczkiem, prostokąta czerwonej gliny porośniętego zielskiem i otoczonego zapadającą się zardzewiałą siatką ogrodzeniową, który założył w świetnych latach dwudziestych, kiedy sam miał dwadzieścia lat. Cała firma telekomunikacyjna zatrudniała najwyżej dwunastu pracowników. Kiedy co miesiąc przychodziło opłacić rachunek, trzeba było przewędrować przez ciemne korytarze budynku, w którym podczas pierwszej wojny światowej mieścił się hotel i który teraz w większości stał pusty. Wypastowane deski podłogowe skrzypiały, ocierając się o gwoździe. W nocy trzy czwarte żarówek z mlecznego szkła nie działało i światło paliło się tylko za jednymi drzwiami. W tym pomieszczeniu, na całej ścianie znajdowała się plątanina kolorowych kabli, srebrne gniazdko i srebrne wtyczki z cylindrycznymi uchwytami z czarnego bakelitu. Każdy abonent nad jeziorem, w dolinie i w głębi wąwozów miał swoją dziurę, co oznaczało, że razem było ich zaledwie siedemset. Jeśli numer 7 chciał rozmawiać z 30w, wystarczyło tylko je połączyć, wetknąć właściwą wtyczkę we właściwe gniazdko.

W firmie na dziennej i wieczornej zmianie pracowały dwie telefonistki. Na nocnej – jedna. Wszystkie wyglądały jak bohaterki czarno-białych kryminałów. W rogu pokoju, wbrew przepisom, stało zapadające się łóżko polowe z patchworkową narzutą, żeby dziewczyny mogły się w nocy zdrzemnąć. Robota na nocnej zmianie była łatwa, jeśli komuś nie przeszkadzała pora. Po dziesiątej prawie nikt nie korzystał z telefonu, choć nigdy nic nie wiadomo. Trzeba było spać jak zajac. Po zmroku załatwiano nieciekawe sprawy. Powiadamiano o nagłych wypadkach, umawiano się na schadzki, dzwoniono z pogrózkami. Smutna samotna dziewczyna spała o trzeciej nad ranem z jednym oknem otwartym, spodziewając się lada chwila jakiegoś smutnego telefonu.

Przez jakiś czas, kilka lat po ukończeniu szkoły średniej, taką dziewczyną z nocnej zmiany była Luce. Mieszkała w pokoju nad drogerią obok kina, kiedy więc szła do pracy, na chodnik w świetle gołych żarówek wokół markizy właśnie wychodzili z drugiego seansu śmiali widzowie. Trzy sygnalizacje uliczne na Main Street błyskały na żółto. W niedziele, wtorki, piątki i soboty, kiedy w kinie zmieniał się repertuar, facet, którego Luce pamiętała mgliście ze szkoły, zdejmował długą tyczką z końcówką w kształcie szczypców czerwone litery tworzące tytuł wyświetlanego danego dnia filmu i umieszczał nowe, zapowiadające film będący w programie nazajutrz. Był zadowolony, jeśli dwie czy trzy z rzędu pasowały do następnego tytułu, jak kobieta zmywająca naczynia, której trafiają się nieużyte łyżka czy nóż. Kiedy Luce wychodziła przez drzwi na parterze, aby pokonać dwie przecznice do miejsca pracy, na ulicy stały ostatnie nocne marki, które zerkwały na zegarek i myślały już tylko o łóżku, a chłopak zdejmujący litery odprowadzał ją wzrokiem. Prawdopodobnie była dla niego największą atrakcją wieczoru.

Luce nie przeszkadzała praca na nocnej zmianie. Dzięki niej miała dużo swobody. Zwykle udawało jej się przespać dwie–trzy godziny po północy, o ósmej rano wracała do swojego pokoju i spała jeszcze kilka godzin, a po południu i wieczorem mogła robić, co chciała. Na przykład chodzić do wspaniałej małej biblioteki Carnegie, o stromych stopniach prowadzących do podwójnych drzwi wejściowych, wysokich stropach, podłużnych oknach, regałach pełnych książek, z surową drobną bibliotekarką, która zawsze ubierała się na czarno i z uwagą spoglądała przez okulary na wybrane przez czytelnika książki, żeby sprawdzić, czy są warte

czyjegokolwiek czasu albo czy nie jest on jakimś podejrzanym typem, który chce zabrać je do domu. W tamtym okresie Luce czytała prawie wyłącznie książki podróżnicze i przez jakiś czas nie mogła się zdecydować, czy najlepszą z nich w historii piśmiennictwa jest Wyprawa Kon-Tiki czy Dookoła świata na rowerze.

Mimo dezaprobaty bibliotekarki, czytała też westerny, takie jak *Wanderer of the Wasteland*, i zamierzała któregoś dnia wsiąść do autobusu, aby ulotnić się z miasteczka. O dziwo, jedyna droga biegnąca przez miasteczko prowadziła wszędzie, dokąd tylko chciałoby się jechać. Luce przestudiowała atlasy w bibliotece i stwierdziła, że najodpowiedniejszym dla niej miejscem byłoby Hinton w Oklahomie, choć podstawą owego przekonania było wyłącznie to, jak ładnie wyglądała pusta przestrzeń wokół miasta, gdy spojrzano się na reprezentującą je kropkę w stosunku do innych kropek i sieci dróg rozchodzących się po całym kontynencie.

Pewnego dnia Luce poszła zapłacić rachunek za prąd i zobaczyła na ścianie oprawioną w ramy rządową mapę okolic, w których mieszkała. Było to dla niej jak objawienie. Musiała się jej dobrą chwilę przyglądać, żeby zlokalizować na niej samą siebie. Wreszcie jej się to udało; miasteczko było czerwoną kropką na skraju cienkiego niebieskiego klina wcinającego się w wielkie, przytłaczające obszary górskiej zieleni o różnych odcieniach. Czarne linie poziomic zbiegały się i tworzyły faliste formy, pokazujące, jak strome i pofałdowane były okoliczne góry. Poniżej tamy linie doliny rozchodziły się szeroko i płaskie ziemie uprawne tworzyły trójkąt błedziutkiej zieleni. Środkiem doliny biegła wijąca się błękitna wstęga rzeki, która znikiała za mapą, przechodząc poza skrajem świata w niebyt.

Luce pomyślała wtedy, że miasteczko stanowi malutką wysepkę na wielkim morzu. Mapa przedstawiająca cały jej wszechświat wisiała na ścianie bardziej dla ozdoby niż czyjejkolwiek orientacji. I Luce dzięki niej zrozumiała, dlaczego dotąd stąd nie wyjechała, a było to jedno z głównych pytań, które sobie zadawała, pracując jako telefonistka.

Jej gwałcicielem był młody mężczyzna, i to żonaty. Pan Stewart. Znała go dobrze. Należał do grona jej nauczycieli, był zaledwie kilka lat starszy od swoich uczniów, kiedy Luce chodziła do szkoły. Jak większość dziewcząt uważała zresztą, że jest słodki i trochę zabawny. Pan Stewart uczył chemii; nie był to ulubiony przedmiot Luce, więc zadowalała się łatwą do zdobycia czwórką.

Luce nie miała najmniejszych wątpliwości, co się stało. Przyszedł strasznie późno, żeby opłacić rachunek. I było jasne, że ma pewne oczekiwania. Zdenerwowany i opryskliwy, palił papierosa. Trochę z nią poflirtował, mówiąc, że jego zdaniem wyładniała od czasów szkolnych, choć już wtedy, jako siedemnastolatka, była bardzo ładna. Gdyby nie miał żony, Luce być może nawet by się z nim umówiła. Że był starszy? Nie więcej niż pięć–sześć lat. Wielka sprawa. Poszłyby z nim do kina. Na mecz futbolowy w piątkowy wieczór. Ale pan Stewart nie był kawalerem, i to stanowiło przeszkodę.

Pan Stewart ostatni raz głęboko zaciągnął się papierosem i upuścił go na podłogę. Nagle rzucił się na nią, objął ją i przyciągnął do siebie. A potem pchnął w drugą stronę pokoju na wąską polówkę, tam zdarł z niej bieliznę i zaczął ją obmacywać, a potem chwycił za nadgarstki i przygniół swoim ciężarem. Luce wyraźnie pamiętała, że krzyczała: „Przestań!”. Krzyczała: „Nie!”. Raz po raz. Może nawet wrzeszczała, ale kto miał ją usłyszeć? I próbowała go z siebie zrzucić, ale był zdeterminowany. Odwróciła twarz, żeby uniknąć jego pocałunków. Nie płakała, gdy skończył.

Zacząło się tak szybko i równie szybko skończyło. Ponieważ nie zdjął z siebie ubrania, wystarczyło tylko, że wstał, zasunął rozporek, przeprosił ją i wyszedł. Jego rachunek za usługi telekomunikacyjne leżał na stole pierwszą stroną do góry. Trzy dolary i szesnaście centów. A na nim złoty medalik ze świętym Krzysztofem na złotym łańcuszku.

Zabawne. Kiedy tylko pan Stewart wyszedł, zaterkotało serce dzwonka, uderzając o metalową oprawę, co sygnalizowało połączenie telefoniczne. Luce wstała z łóżka i obciągnęła spódnicę. Nie była w stanie myśleć. Miała wrażenie, jakby jej mózg funkcjonował niezależnie od ciała, a ciało niezależnie od reszty świata. Na podłodze wciąż tlił się niedopałek papierosa, więc idąc do centrali, zgmiotła go obcasem buta. Włożyła na głowę słuchawki, wetknęła wtyczkę do gniazdka i powiedziała: „Numer, proszę”.

Dotarło to do niej dopiero po północy. Że siedzi na krześle w jakiejś norze i jak gdyby nigdy nic wykonuje swoją pracę, bo zadzwonił dzwonek. Tak cię załatwiają. Wpajają ci, że wszystko jest takie pilne. Brzęczyki, dzwonki. A tak naprawdę dzwoni jakiś pijak albo ktoś, kto nie może zasnąć i po prostu ma ochotę późną nocą pogadać o niczym.

Luce wstała, zdjęła słuchawki i wyszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Nie zadzwoniła po zmienniczkę. W tej chwili niczego nie planowała. Myślała tylko: najwyżej przez jedną noc nie będzie się można nigdzie dodzwonić, i co z tego, do cholery?

I w normalnych okolicznościach miałyby rację. Tyle że tej nocy spłonęła szkoła średnia i nagle wszyscy musieli gdzieś zadzwonić. Błyskała cała tablica. I rzeczywiście, przeważnie były to niepotrzebne telefony, żeby pogawędzić o trzeciej nad ranem, bo w miasteczku wyły syreny i niebo było żółte od łuny. Ale jeden z nich był ważny: dzwoniło do najbliższego większego miasteczka w okolicy z prośbą o przysłanie kilku wozów strażackich z drabinami i ekipą. Szkoła zmieniła się w stos czarnych cegieł, a wypastowane dębowe klepki podłogowe, boazerie, belki nośne i stropowe – w popiół i węgiel. Zgliszczą tliły się jeszcze tygodniami.

Oczywiście Luce była skompromitowana, niezależnie od tego, czy wozy strażackie i sami strażacy zdążyliby przyjechać na czas i pomóc, czy nie. Małe miasteczka przeważnie radzą sobie same, ale jest wyraźna granica, której nie można przekroczyć, i Luce znalazła się daleko poza nią. Mogłaby równie dobrze porzucić te wszystkie czarne wtyczki oraz srebrne gniazdka, pójść prosto do szkoły z kanistrem benzyny i pudełkiem zapalek, zamiast powędrować pustą ulicą do swojego pokoju i wziąć prysznic w obskurnej łazience, z której korzystały także kelnerka z taniej restauracji i sprzedawczyni z drogerii. A potem usiłować zasnąć, rozmyślając, jak postąpić wobec pana Stewarta. I wreszcie zasnąć kamiennym snem, przy włączonym radiu, nawet nie słysząc syren.

Luce nie wróciła już do pracy. Przez dwa dni próbowała sobie wmówić, że gdyby pan Stewart był kimś obcym, a nie jej dawnym nauczycielem, pewnie zachowałaby się inaczej. Być może pod wpływem szoku nie broniła się dość zżarcie. Ale choć ze wszystkich sił starała się wziąć winę na siebie, żeby nie musieć domagać się od pana Stewarta rekompensaty, nie mogła zanegować prawdy.

I mimowolnie wciąż odtwarzała w głowie wszystko, co się zdarzyło i co miała zapamiętać na zawsze. Jak on lizał ją po szyi i ugryzł w ucho. A potem gdy skończył i wyszedł, jak dotknęła płatka ucha i zobaczyła na palcu kroplę krwi, czarną w przyćmionym świetle. I jak, jeszcze w szkole, kiedy machał ręką, żeby coś podkreślić, jego palce – i paznokcie też – były kredowobiałe od chemikaliów, których używał przez cały dzień podczas doświadczeń. I że nic już

nie zmieni faktu, iż te palce były w niej.

Poszła do biura szeryfa. Usiadła na krześle przed metalowym biurkiem Lita i opowiedziała mu o wszystkim, cały czas patrząc mu w oczy.

Lit początkowo próbował wejść w rolę ojca, ale Luce nie chciała go słuchać.

Powiedziała:

– Mijamy się na Main Street i prawie z sobą nie rozmawiamy. Widziałam cię w zeszłym tygodniu przed pocztą i skinęliśmy sobie głowami jak znajomi. Nigdy nie byliśmy z sobą blisko, ani przed odejściem Loli, ani później. Załatwmy tę sprawę i skończmy z tym.

– Skoro tak – odparł – powiem ci tylko, że taki zarzut trudno udowodnić. Ty powiesz jedno, a on drugie.

– Oczywiście, że tak.

– Może o tym nie wiesz, ale poprzednia dziewczyna z nocnej zmiany, ta, która była tu tylko kilka miesięcy, dorabiała sobie jako dziwka. Przeważnie wtedy, kiedy musiała opłacić czynsz.

– I co z tego?

– Że to ci nie pomoże.

Lit wyjaśnił, jak to się odbywało. Facet usłyszał coś niecoś w sali bilardowej, u fryzjera albo na stacji benzynowej. W końcu, tuż przed ostatecznym terminem płatności rachunku za telefon, pukał do drzwi centrali i wchodził do środka. Mówił kilka gładkich słówek, na przykład: „Cały czas o tobie myślę”. Dawał dziewczynie pieniądze na opłacenie rachunku i mały upominek. Jakąś ozdobę albo coś innego, co łatwo oddać do lombardu. Nie przyjmowała gotówki, tylko prezenty. Piętnaście minut później wychodził z budynku z taką miną, jaką musiał mieć Adam wyrzucony z rajdu.

– No i co z tego? – zapytała ponownie Luce.

– Mówię o oczekiwaniach. Może w twoim przypadku zaszło jakieś nieporozumienie – oświadczył Lit.

– Wziął mnie za dziwkę, jaką była poprzednia dziewczyna z nocnej zmiany, i na tym polegało to nieporozumienie? Ale to niczego nie zmienia, przynajmniej w moim rozumieniu.

– Trudno kogoś skazać za coś takiego. Każda ze stron mówi co innego. Może by coś pomogło, gdyby to był pierwszy raz.

– Pierwszy raz, kiedy zostałam zgwałcona? – zapytała.

– Nie o to mi chodziło.

– Rozumiem, o co ci chodziło.

– Myślałem o ławie przysięgłych. To może mieć dla nich duże znaczenie, zwłaszcza jeśli obrońca oskarżonego obrazowo przedstawi okoliczności.

– Dobry Boże.

– Chcę tylko powiedzieć, że to trudna sprawa.

– Domyślam się, chyba że oskarżony od razu przyzna się do winy. Wobec tego czy ktokolwiek siedzi w więzieniu okręgowym za gwałt?

– Z białych?

– Tak.

– Bardzo niewielu – odparł.

– Ale może znajdzie się jeden albo dwóch?

– Powiedziałaś, że rozmawiamy oficjalnie, więc muszę poczynić jakieś kroki. Uwierz mi

jednak, że nie będzie ci łatwo, jeśli sprawa trafi do sądu. Jakiś główniany adwokat w ciągu dwóch godzin załatwi cię na całe życie. Ludzie wierzą w to, co im się powie, i fakty niewiele dla nich znaczą. Stewart ma pozycję w tym miasteczku. Chodzi do pracy w płaszczu i krawacie, a ty jesteś nocnym markiem, mieszkasz w wynajętym pokoju ze wspólną łazienką na korytarzu.

W drodze do drzwi Luce rzuciła: „Idź do diabła”.

Tydzień później, w swój pierwszy wieczór jako dozorczyńni Chaty, Luce usiadła na ganku po kolacji złożonej z pszennego chleba i żółtego sera. Z barierek przy schodkach suchymi płatkami odchodziła farba, gołe drewniane deski zblakły i niszczały, coraz bardziej uwidoczniły się na nich słoje. Bujane fotele również były stare, wychudłe jak szkielety, miały zapadnięte siedziska z papieru pakowego, skręconego i splecionego w zawile trójkąty przez kogoś, kto zapewne od dawna już nie żył. Miała ochotę opiec ser, ale rozpalenie ognia w piecu tylko po to, żeby zgrillować kanapkę, wymagałoby za dużo zachodu, więc zmieniła priorytety.

Dzień powoli chylił się ku zachodowi i stawał coraz zimniejszy. Luce zarzuciła sobie na ramiona koc i naląła do małego kieliszka na smukłej nóżce bursztynowego trunku z zakurzonej, szlachetnie wyglądającej butelki. Stary Stubblefield powiedział jej, że może korzystać, z czego tylko chce. Znalazła tę butelkę po południu, gdy przeszukiwała wszystkie pomieszczenia, szafy i kąty, zaglądając nawet pod łóżka. Zajęło jej to kilka godzin. Nie chciała przed snem wyobrażać sobie różnych kryjówek, a potem bać się tego, co mogło się w nich znajdować. W piwnicy, w kącie zawalonym połamanymi krzesłami o wiklinowych siedziskach, znalazła drewniane skrzynki, z których każda zawierała tuzin zakurzonych butelek szkockiej albo czerwonego wina z Francji.

Bujała się na fotelu i patrzyła nad wodą w kierunku miasteczka, zadowolona z dystansu, który ją od niego dzielił. Sączyła znacznie starszą od siebie szkocką, czując na języku smak czasu, pogodzona z zewnętrznym światem, gdzie topole były już na wpół łyse, a długie trawy pochylały się ku ziemi, ścięte pierwszym mrozem. Wołanie wieczornego ptaka, słońce coraz niżej. Wstęgi lawendowoszarzych chmur sunących po metalicznym niebie, znak, że mija jesień. Liście zawiewane na ganek. Planeta tocząca się znowu ku zimie.

Tamtego pierwszego wieczoru, jak przez prawie tysiąc następnych, Luce obejrzała wszystkie barwy zachodu słońca. Wenus, sierp księżycy i jakaś inna planeta, wszystko to wznoszące się i opadające na niebie o barwie indygo, oddalone od siebie równomiernie na ścieżce biegnącej łukiem w stronę poszarpanej linii czarnych szczytów. Zapalające się światła odległych latarni ulicznych w miasteczku, maleńkie i żółte, tworzące smugi na nieruchomej powierzchni wody. Luce miała wrażenie, że gdy zapanowały całkowite ciemności, stała się świadkiem rozwiania się pory roku, jej rozpadnięcia się w popioły przed tą, która właśnie nadciąga. Na wschodzie znowu pojawił się zimowy wzór z gwiazd. Orion ścigający Plejady, pozostałości dawnego, nieistniejącego porządku rzeczy, jak głęboki nieścieralny ślad na ziemi, indiański szlak, długa ścieżka. Weszła do domu niechętnie, z poczuciem, że tak wiele jej umyka.

W mętym brązowym świetle stary mężczyzna przeszukiwał drewniany pojemnik, żeby znaleźć błyszczącą nakrętkę wielkości dwucentówki, którą dałoby się nałożyć na pordzewiały bolec. Dwaj chłopcy w trampkach i wranglerach grzebali w czerwono-białych pudłach, szukając nowych dętek rowerowych, którymi mogliby zastąpić stare, przebite, i odzyskać wolność. Oprócz gwoździ, ćwieków i skobli, na niewielkiej przestrzeni na zapleczu sklepu znajdowały się kosiarki, śrutówki i strzelby, gabloty z nożami kieszonkowymi, skórzane obroże dla psów, różnego rodzaju piły: wzdłużne, otwornice, kabłąkowe i poprzeczne, tak długie, że zawieszane na kołkach u sufitu sięgały prawie do podłogi. Drewniane poziomicę długości bez mała dwóch metrów, ze srebrnymi bąblami pływającymi w tajemniczej zielonej cieczy. Różnej wielkości szydła, heble, toporki i dłuta. Cudownie regulowane klucze francuskie w kilku rozmiarach, z radełkowatymi tulejami, pozwalającymi w nieskończoność powiększać i zmniejszać rozstaw szczęk, by przekręcić każdy rodzaj mutry, jaki tylko można sobie wyobrazić. Brutalne, mordercze klucze nastawne długości sześćdziesięciu centymetrów, o uzębionych szczękach. Młoty dwuręczne i siekiery z dwoma ostrzami. Wiszący w powietrzu zapach metalu i smaru, a pod tym gdzieś ostra woń ludzkiego ciała, która obudziła w Budzie niemiłe wspomnienia związane z więzieniem.

Nie przyszedł tu po woreczek gwoździ ani po młotek. Przyszedł po alibi. Wziął więc tanią wędkę z kołowrotkiem i największe, najbardziej jarmarcznie wyglądające przynęty na okonie, z przyczyn wyłącznie artystycznych. Po namyśle dorzucił do nich nóż do filetowania, ze względu na cienkie, eleganckie ostrze.

Przy kasie wykrzyknął: „Trzy cholerne dolce za cholerny patyk do łowienia ryb?!”.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

Próbował zapłacić setką, ale kasjerka oczywiście nie miała wydać. Ponarzekał więc znowu i na koniec wyjął zwitek jednodolarówek, a potem poszedł do samochodu, pewny, że wszyscy w sklepie zapamiętali, jak kompletował sprzęt wędkarski.

Później jeszcze tylko długa malownicza przejażdżka wokół jeziora. Bo cierpliwość i dyskrecja wreszcie mu się opłaciły: doszły go słuchy o jakichś nowych dzieciakach w okolicy, mieszkających u kobiety, najprawdopodobniej siostry Lily, w starej chacie. W miejscu o dziwnej indiańskiej nazwie z czasów Czirokezów.

To było tego dnia pod sam koniec sierpnia, kiedy słońce stało już niżej i ludzie, widząc jego światło, zaczęli mówić: „Nadchodzi jesień”.

Bud przez dwie godziny zarzucał plastikową wędkę z wielką przynętą, mącąc z pluskiem powierzchnię wody, o dwa odcienie ciemniejszą od nieba, i zerkając przez ramię na pokryty korą ruchomy dach. Jakby kupa zwalonych drzew postanowiła samodzielnie przybrać kształt budynku.

Cały czas jednak nie widział żywej duszy. Plan był więc prosty. Z wędką w ręce zapukać do drzwi. Siostra Lily nie mogła go znać. Jeśli otworzy, zapytać, czy mógłby powędkować nad jeziorem poniżej chaty. Albo, jeszcze lepiej, poprosić o radę w sprawie przynęty. Czy na okonie

lepsze będą robaki, czy kulki z chleba? Albo powiedzieć coś równie głupiego. Nieważne co. Pogadać chwilę i odejść. A jeśli się okaże, że nikogo nie ma w domu, pomyszkować w środku w poszukiwaniu skarbu.

A zatem krótkie grzeczne pukanie do siatkowych drzwi. Z wędką w ręce Bud uśmiechnął się przez zniekształcający rysy woal. Dolna część siatki została wypchnięta na zewnątrz przez dzieci, napierające, żeby otworzyć drzwi. Na dworze jasno, w środku mrok. Bud zbliżył twarz do drzwi, zaciągając się papierosem. Dym zasłonił mu twarz i zaczął przenikać przez siatkę. Zapukał ponownie. Nic.

Chwytał za gałkę i pociągnął drzwi. Zamknięte na haczyk. Żaden problem. Sprężynowe ostrze jego nowego noża do filetowania ryb weszło idealnie w szeroką szparę między drzwiami a framugą. Podniósł nim haczyk i uchylił drzwi na tyle, aby wetknąć za nie głowę, wpuszczając jednocześnie dym.

Z papierosem w ustach powiedział: „Hej?”.

Wciąż brak odpowiedzi, więc stanął w progu i chwilę nasłuchiwał. Niczego jednak nie usłyszał, z wyjątkiem cisy panującej w pustym budynku.

Wobec tego zakradł się do przedsionka i natychmiast zobaczył, że dom jest bardzo przestronny. A to zaledwie parter. Próba znalezienia dwunastocentymetrowych plików banknotów będzie jak poszukiwanie igły w stogu siana. I co za dziwaczne miejsce do życia. Jak muzeum, którego nikt nie chce zwiedzać. Najwyraźniej wszyscy spali w salonie. Pojedyncze łóżka przypominające więzienne prycze ustawiono wokół wielkiego kamiennego kominka.

Nastawiając ucha i stale zerkając przez okna, Bud zajrzał w oczywiste kryjówki. Do spluczki w łazience, pod cienką warstwę pudru Ivory w pudełku firmowym i płatki owsiane w okrągłej puszcze Quaker, za piec na węgiel i do starej lodówki. Licząc, że wyczuje nowe pieniądze, obwąchał kratki wentylacyjne, ale doleciała go tylko woń popiołu i pleśni. Obmacał kominek, szukając obluzowanych kamieni i wetknął rękę do przewodu kominowego, aby sprawdzić półkę dymową.

Potem zaczął się rozglądać za przedmiotami osobistymi i zwrócił uwagę na biurko, z szufladami pełnymi rzeczy należących do siostry Lily. Same nieciekawe codzienne ubrania. Szuflada z bielizną też przyniosła rozczarowanie. Ani jednej sztuki, która by zasługiwała na to miano. Na dole starannie złożony i poprzekładamy kulkami na mole czerwono-czarny kostium cheerleaderki, jeszcze z czasów, gdy plisowane spódniczki sięgały aż do kolan. Ale cóż to były za wspaniałe widoki, kiedy dziewczyny się obracały.

Bud zastanowił się nad przerażającą możliwością, że jego pieniądze zostały rozdzielone, ukryte w kilkunastu miejscach. Co wtedy? Gruba książka z wyciętym brzytwą schowkiem w środkowych kartkach? Przerzucił szybko słowniki. Nic. Lalka z banknotami w dupie, zwiniętymi ciasno w grubym rulon? Sprawdził kilka zabawek, ale tych dwoje dzieciaków najwyraźniej nie przepadało za lalkami. No to gdzie ta przeklęta forsa? Jakoś nie wyobrażał sobie, żeby Lily mogła być aż tak bystra i przebiegła.

Myszkował dalej, poznając teren. Cały czas starał się nie zostawiać po sobie śladów, ustawiał wszystko na dawnym miejscu, bo niewidzialność dawała mu wielką przewagę, przynajmniej na razie. Ale z czasem zaczęło go korcić. W końcu nie mógł się powstrzymać. Wyszedł na tylny ganek i znalazł czerwony pojemnik z benzyną. Wyjął z szuflady cenny strój cheerleaderki i zaniósł go do kominka. Uważając, żeby nie przesadzić, spryskał materiał benzyną, ale tylko

trochę, jakby go obsikał, a potem odstawił pojemnik na miejsce. Jedna zapalaka i kostium stanął w płomieniach. W pewnym momencie Bud wszedł do kominka i zdeptał ogień, zostawiając kilka czerwono-czarnych strzępów, idealną, przerażającą wizytówkę. Ludzie zaczynają robić różne ciekawe rzeczy, gdy się boją.

– Ile to akrów? – zapytał Stubblefield.

Po wysłuchaniu ponurej litanii swoich nowych długów, przy których obalenie słupa wysokiego napięcia w Missisipi wydawało się drobnostką, zadał jedyne pytanie, które mogło przynieść dobrą wiadomość.

– W sumie? – zapytał prawnik.

– Uhm. W sumie, razem, w całości.

Notariusz, łysy starszy mężczyzna, kolega jego dziadka, popatrzył na Stubblefielda, jakby potwierdziły się jego najgorsze obawy. Poprawił leżące na biurku dokumenty, tak że przybrały inne kształty na zielonym suknie, pokrywającym większość blatu. Miał na sobie pognieciony lniany garnitur w niebiesko-białe prążki. Granatowy krawat z dzianiny, płasko zakończony, szerokości dwóch palców, zaciągnięty ciasno wokół kołnierzyka niewymagającej prasowania koszuli, ze złotą spinką opatrzoną emblematem Rotary Club. Jego twarz była obwisła, pomarszczona i pokryta brązowymi plamami, ale skóra na czole – gładka i błyszcząca, tak że odbijał się w niej wiatrak, który obracał się wolno pod sufitem. Stubblefield nie mógł oderwać wzroku od zarysu łopatek wentylatora, przesuwających się po opalonej czaszce, jak żywa ilustracja procesu myślenia. Albo czapeczka dziecięca z poruszającym się śmigłem.

Prawnik poślinił palec i przerzucił dokumenty. Zdjął skuwkę z szylkretowego pióra i staroświeckim charakterem pisma zaczął notować kolumny liczb na kartce z notatnika. Spod złotej stalówki spływały niebieskie pętelki i zawijasy. Był irytująco skrupulatny. Przepisywał wszystkie ułamki do trzeciego miejsca po przecinku.

Stubblefield zawsze zaokrąglął liczby i teraz też to zrobił, chcąc osiągnąć najlepszy wynik. Tysiąc pięćset, pomyślał. A może nawet tysiąc sześćset. Coś koło tego. Strzelał, ale działki za rzeką były całkiem duże.

Sumowanie trwało tak długo, że Stubblefield poprosił o czasopismo do przejrzania i ściągnął tym na siebie kolejne niechętnie spojrzenie.

W końcu jednak prawnik oświadczył:

– Dokładnie tysiąc pięćset i siedem ósmych. – Podniósł dłonie wewnętrzną stroną do dołu i powoli je rozłożył. Dawny gest. Gest gracza oznaczający, że rozdanie jest czyste. W taki sposób rozkładali ręce na rzecznych parowcach karciarze z czasów Marka Twaina.

– Dużo dobrej żyznej ziemi – dodał notariusz. – A do tego działka nad jeziorem i farma. Choć to tylko trzydzieści dziewięć i jedna czwarta akra, no i dość daleko. Przykra sprawa z domem i jego wyposażeniem.

– W dodatku chyba nic nie było ubezpieczone – zauważył Stubblefield.

– Uhm. Wielka szkoda. Nie mogę patrzeć, jak znikają te wszystkie dawne budynki. To nasza wspólna historia, choć krótka. Stara instalacja i po wszystkim. A potem dzieli się parcelę na działki pod budowę domków letniskowych. I to się nazywa postęp.

– Myślałem, że postęp oznacza ulepszanie – stwierdził Stubblefield.

Prawnik wykonał lekceważący ruch prawą ręką, jakby się opędział od komarów.

– Są także Chata i Przydrożny Zajazd. Ale należy pamiętać, że teraz najpilniejsza sprawa to podatki.

– Tysiąc sześćset akrów to już coś.

– O tak. Nikt nie twierdzi, że nie. I dlatego właśnie władze hrabstwa kredytują je dłużej, niż mają w zwyczaju.

Stubblefield nieznacznie uniósł brew, a może uśmiechnął się kącikiem ust. Było to ledwie zauważalne drgnienie, które można by zinterpretować jako wyraz zadowolenia ze swojego nowego stanu posiadania.

Prawnik zamilkł i podniósł guzowaty palec wskazujący na znak, że się zastanawia. W końcu powiedział:

– To ostatnie zdanie wymaga korekty. Żeby nie doszło do nieporozumienia. Władze tolerują długi tylko dlatego, że pański dziadek był tu lubiany. Bardzo lubiany. Nawet gdyby posiadał tylko akr ziemi, traktowano by go tak samo. Ale już nie żyje i teraz na dokumentach notarialnych widnieje pańskie nazwisko. Jest tu pan praktycznie nieznany. Nikt nie ma wobec pana zobowiązań. Ludzie z administracji wychodzą ze skóry, żeby zgarnąć, ile się da. I jeśli im się powiedzie, mogą zgarnąć wszystko. A skoro o tym mowa, trzeba będzie coś sprzedać, żeby zapłacić zaległe podatki. I to szybko. W ciągu trzech–czterech miesięcy. Najwyżej. Wystarczyłoby sprzedać gospodę, więc im szybciej ją zamkniemy, tym lepiej. I tak wiąże się z nią mnóstwo kłopotów.

– Ale tylko ona przynosi dochód.

– Pieniądze ze sprzedaży Chaty nie wystarczyłyby na zapłacenie podatków. Ale dzięki nim zyskalibyśmy na czasie. Pański dziadek pozwolił tam zamieszkać samotnej starej pannie, którą bardzo lubił. Ta kobieta zajmuje się domem. Jest on jednak w kiepskim stanie. Więc jedyne, co biedaczka może zrobić, to zadzwonić do mnie, gdy coś nawala, a wtedy ja kogoś tam wysyłam. Ostatnio na własny koszt, o czym porozmawiamy kiedy indziej. Ale niech pan zajrzy do Przydrożnego Zajazdu. Potem sprzedamy jedno albo drugie i będziemy mieć podatki z głowy. A później oddamy w pięcioletnią dzierżawę grunty rolne nad rzeką.

– Dzierżawę?

– Pod uprawę kukurydzy, soi, pomidorów. Nie ma dla nas znaczenia, co kto zechce uprawiać tę ziemię, dopóki będzie uiszczal oplaty. Jeśli wszystko pójdzie, tak jak myślę, za dwa–trzy lata w keczupie, którym doprawiamy hot dogi, będzie kropla sosu z naszych pomidorów.

– Pan doprawia hot dogi keczupem? – zapytał Stubblefield.

– Sądziłem, że pan to robi. Od pięciu lat próbowałem przekonać do tego pomysłu pańskiego dziadka, ale męczyło go myślenie o ziemi. Więc leżała odłogiem. Część z niej porastają sosny Banksa. Przeklęte chińskie drzewa nieba, wysokie na sześć metrów. Za każdym razem, gdy przejeżdżam doliną, boli mnie serce. Ale tak czy owak, teraz to pańska ziemia. Będzie pan musiał coś z nią zrobić. Są tylko dwie możliwości.

– Ile będzie mnie to kosztowało?

– Chyba powinienem być wyrazić się jaśniej. Zarobi pan na tym pieniądze.

– Mówię o pańskiej doli.

– To pańskie grunty, ale nie wie pan, co z nimi zrobić. Byłbym więc głupcem, gdybym nie zażądał połowy. Ale zejść do dwudziestu pięciu procent i obrażę się, jeśli powie pan: piętnaście.

– Co będzie pan za to robił? – spytał Stubblefield.

– Prawie wszystko. Nie będę tylko właścicielem tej ziemi. Wszystkie ważniejsze decyzje będą, oczywiście, wymagały pańskiej zgody.

– Hm – odparł Stubblefield. – Zastanowię się nad tym. Mógłbym to wszystko sprzedać i miałbym spokój. Ale proszę mówić dalej.

– Uzyska pan niską cenę, jeśli zechce pan sprzedać szybko całość.

– To jasne.

Stubblefield wstał. Dotarł już do drzwi, gdy notariusz powiedział:

– Pan mnie nawet nie pamięta, prawda? – Stubblefield odwrócił się i przyjrzał starszemu mężczyźnie, ale daremnie. – Proszę się cofnąć pamięcią. Wyprawa na ryby łodzią pańskiego dziadka. Był pan jeszcze smarkaczem. Okonie dobrze brały, więc urządziliśmy sobie obiad z kielbasek wiedeńskich, krakersów i coli, a potem łowiliśmy dalej. Ale pan nie chciał jeść, tylko grymasił. Nic nie pomagało, więc pański dziadek podpłynął do pomostu i poszedł do baru po hot dogi, frytki i inne świństwa. Ale kiedy znowu zabraliśmy się do łowienia, ryby zniknęły. Więc teraz, gdy tak tu stoję i patrzę na pana, już dorosłego, chciałbym zapytać: czy, z perspektywy czasu, te przekłete hot dogi tak bardzo różniły się od kielbasek wiedeńskich?

Stubblefield usiłował przypomnieć sobie siebie samego z dawnych lat.

– Słucham? – zapytał.

Po latach nieobecności zapoznawanie się od nowa z krajobrazem. Tak Stubblefield uzasadniał długie popołudniowe przejażdżki, rozmyślanie i poczucie zagubienia za każdym razem, kiedy wybiegał myślami choćby jeden dzień w przyszłość. Inspekcja dwóch nieruchomości musiała zaczekać. Panowało jeszcze lato, wszystkie wąwozy i szczyty górskie pyszniły się, każdy swoim własnym zielonym światem, ale jeszcze kilka tygodni i pierwsze mrozy miały wszystko to spalić.

Wrzesień to martwy sezon, ale Stubblefield nie chciał tak myśleć. Martwy, nie martwy. Choć to oznaczało niski czynsz za mieszkanie nad garażem, które wynajął w miasteczku. Nigdy tu nie był o tej porze roku. Kiedy był mały, wyjeżdżał pod koniec sierpnia, bo zaczynała się szkoła, więc tydzień przed Dniem Pracy był krótkim okresem smutku, jak sto niedzielnych wieczorów razem. Teraz jednak wrzesień mógł stać się jego ulubionym miesiącem. Pod warunkiem że będzie dużo jeździł i uważnie się rozglądał.

Stwierdził, że górskie rejony są tak piękne jak kiedyś i czasami trudne do przebycia, nawet teraz, przypomniał też sobie dawne wrażenie, że życie może zyskać na znaczeniu, gdy się spali ze dwadzieścia litrów benzyny, po pięć centów za litr, jako ofiarę złożoną górą. Była to metafizyczna transakcja, taka, jaką zawierali Siuksowie, składając w ofierze tytoń, czy niektórzy jego przodkowie, którzy z niechęcią porzucali głęboko zakorzeniane przekonanie, że pewne formy terenu, rośliny, zwierzęta i pogoda żyją własnym życiem i nie muszą się wcale przyłączać do większych zewnętrznych abstrakcji.

Jedną z jego ulubionych tras wiodła wzdłuż biegu rzeki w głąb parowu, oświetlonego słońcem jedynie w południe. Jadąc zakolami drogi, miało się wrażenie, jakby się było wciągającym do odpływu gdzieś w oddali. A potem radosny wyścig z piskiem opon na zakrętach przełęczą Jorre w kierunku jasnego światła i przejrzystego powietrza na większych wysokościach, gdzie rosły już ciemne sosny balsamiczne. Któregoś popołudnia dojechał drogą gruntową do przeciwpożarowej wieży obserwacyjnej na Łysinie Juala. Jako chłopiec sądził, że

odbywały się tam legendarne indiańskie ceremonie, z udziałem wielkich latających jaszczurek czy potworów z ostrymi pazurami. Teraz tą krętą drogą o północy jeździli na potajemne schadzki kochankowie, przynajmniej tak słyszał w zakładzie fryzjerskim. Ale gdyby wierzyć próżniakom wysiadującym u fryzjera, kochankowie umawiali się wszędzie. Nad jeziorem, w parowie, nad rzeką. Bogate górskie krajobrazy, z wieloma ustroniami, oferowały nieskończone wręcz możliwości romansowania. A jednak Stubblefield jeszcze niczego takiego nie przeżył, tylko słuchał w kółko swojego podrapanego Kind of Blue i popadał w melancholię. Miłość i jej pielęgnowanie to nie były jego specjalności. Co stanowi tę specjalność, jeszcze nie wiedział – chyba że weźmie się pod uwagę niewykorzystywany potencjał.

Zatrzymawszy się pod wieżą, wspiął się po kręconych metalowych schodach do małego pomieszczenia na samej górze i zapukał do drzwi. Zaspany strażnik leśny nie wyglądał na uradowanego wizytą, ale mu otworzył. Stubblefieldowi zaparło dech w piersiach. Za wielkimi oknami rozciągały się oszałamiające widoki, zielone doliny leżące setki metrów niżej, błękitne góry biegnące łukami w dal, aż blakły w dali.

Strażnik, niewiele starszy od Stubblefielda, nie zachowywał się wcale jak człowiek samotny, który gada i gada, ale jak ktoś, komu przeszkadzono w pracy, choć na horyzoncie nie widać było ani jednego pióropusza dymu. Włosy miał w nieładzie, ulizane z lewej strony i sterczące tłustymi końcami z prawej. W całym pomieszczeniu cuchnęło jakby brudnymi nogami, a na stole stała miska zastygłej zimnej zupy pomidorowej. Wielka czarna lornetka na trójnogu, długie biurko pod oknem, zavalone jasnozielonymi mapami hipsometrycznymi i kartkami z notesu, zapisanymi drobnym ołówkowym pismem. Na szczycie w oddali znajdowała się ledwie widoczna kolejna wieża. Zaskrzeczało radio i strażnik w eterze powiedział coś o pogodzie, że nadchodzi zmiana. I słabym głosem dodał: „Będziemy mieli deszczowy tydzień, więc może na kilka dni pozbędziemy się tych przeklętych idiotów”.

Stubblefield spojrział w dół na miasteczko i jezioro. Wyciągnął rękę na długość ramienia i oba prawie zasłonił dłonią. Wszędzie dookoła rozciągały się góry, wąwozy i doliny, już o jeden odcień mniej zielone niż w pełni lata. Gdzie mogą być te grunty rolne pod dzierzawę, Chata i Przydrożny Zajazd? I czarny krąg po spalonym domu?

Sądząc, że lustracja swoich nowych dóbr z tej odległości może się okazać pomocna, zapytał:

– Mogę popatrzeć przez lornetkę?

– Przykro mi, ale nie. To delikatny instrument.

Strażnik spojrział na zegarek. Ze zniecierpliwieniem, jakby nie miał czasu.

– Ciężki dzień? – zapytał Stubblefield.

Strażnik odparł:

– Daruj pan sobie.

Podczas tych przejazdów pod koniec lata Stubblefield zaczął już sądzić, że wdał się w przygodę. Na przełęczy Jorre stała samotna chata z bali; był to sklepik z produktami regionalnymi dla turystów, jak głosił ręcznie wypisany znak przy drodze. Miejscowy miód, ceramika ręcznej roboty, wieńce z szaroty, narzuty. Sklepik był jednak zamknięty. Albo zdarzyła się jakaś awaria, albo sklepikarz zrobił sobie wolne po Dniu Pracy i zamierzał ponownie otworzyć interes na początku października, kiedy z równin zjeżdżali ludzie, żeby podziwiać kolory jesieni. Przechodząc obok sklepiku, zauważył w przyćmionym świetle za oknem niewyraźną twarz. W pierwszej chwili uznał, że to twarz kobiety, i to ładnej. Gdy krętą drogą zjechał

z powrotem w dolinę, zaczął się zastanawiać, dlaczego akurat to przyszło mu do głowy: kobieta czy mężczyzna, ładna czy brzydka, co za różnica? Pewnie dlatego że był tak cholernie samotny, a głupi ludzki mózg myśli schematycznie. Zawsze szuka okazji, aby znaleźć płomyk nadziei na przyszłość, w której nas już nie będzie.

Stubblefield wkrótce porzucił wszystkie inne piękne trasy i jeździł na przełęcz codziennie. Zauważył, że jeśli światło nie jest zbyt słabe albo zbyt silne, dziewczyna jest tam zawsze. Potem, przechodząc, zaczął do niej machać, i wydawało mu się, że ona odpowiada. Wyczuwał, że jest pobudzona. Nie wymachiwała rękami ani nic w tym rodzaju, ale sprawiała wrażenie zdenerwowanej i zrozpaczonej.

Mimowolnie zaczął tworzyć wokół niej historię. Piękna, ale emocjonalnie niezrównoważona młoda kobieta, zamknięta przez cały dzień w chacie z bali, podczas gdy jej rodzina załatwia konieczne sprawy, pracuje i robi to wszystko, czego on sam do tej pory przeważnie unikał. Ale nie jest to żadne poważne zaburzenie, ot, romantyczna depresja, z której mogłaby wyjść dzięki niemu. Jej zaniedbanie i bezwolność reprezentował w wyobraźni Stubblefielda, niczym w filmie, opadający na twarz kosmyk włosów czy smuga szerokości dwóch palców na poza tym idealnie białym policzku. Kobieta prawdopodobnie przez cały dzień siedzi na bujanym fotelu i patrzy z przygnębieniem na rzadko uczęszczaną górską drogę. Jego wizyty i machanie nie uchodzą jej uwagi i stają się czymś, na co czeka. Aż do zachodu słońca, gdy świat zakwita, za jedyne towarzystwo ma radio – nastawione na lokalną stację, jedyłą, którą da się tu złapać. Przed południem „Nekrologi na falach eteru”, z nazwiskami zmarłych i tych, którzy ich przeżyli, wyczytywane przy akompaniamencie dudniącej muzyki organowej, przy której śmierć przypomina kogoś powolnego o wielkich stopach. Po południu „Zgłoś i sprzedaj”, z niepewnymi głosami słuchaczy szukających nabywców używanych materacy, zastawy stołowej i niechcianych szczeniąt. A pomiędzy tymi audycjami nic, tylko piosenki country, opowiadające o namiętnej albo wygasającej miłości i wiecznej tęsknocie, długo po tym, jak przepadła wszelka nadzieja na jakiegokolwiek spełnienie.

Stubblefield mógł wybawić tę dziewczynę od tego wszystkiego. Wziąłby ją do swojego domku, jak zaczął nazywać mieszkanie nad garażem. Zmyłaby smugę na policzku w jego wannie, podczas gdy on siedziałby w salonie, pił kawę i słuchał Kind of Blue, dla niej kompletnej egzotyki. Potem dziewczyna podeszłaby do niego, zarumieniona od gorącej wody. On jednak pozostałby niewzruszony i przyrządziłby prostą kolację, którą o zmierzchu zjedliby przy stole pod orzechem włoskim.

Tak czy owak ktoś powinien coś dla niej zrobić. Stubblefield nie chciał jednak ingerować zbyt w lokalne sprawy. Tu to prosta droga, aby dostać kulkę w głowę.

Jednak wreszcie któregoś popołudnia zmusił się, żeby odwiedzić biuro szeryfa. Powiedział dyżurnemu, że ma powody do niepokoju o czyjeś bezpieczeństwo, i skierowano go do Lita, w drugim gabinecie na korytarzu. Zastępca szeryfa siedział za metalowym biurkiem i kiedy wstał na przywitanie, Stubblefield, który był od niego wyższy przynajmniej o głowę, schylił się mimowolnie, żeby podać mu rękę. Ciemne włosy Lita były zaczesane do tyłu i pociągnięte brylantyną, a ślady po zębach grzebienia biegły równo jak rządki soi. Nie nosił żadnych ozdób, nawet zegarka. Drelichowy mundur miał wykrochmalony i wyprasowany, ze srebrzystymi wyświeceniami wzdłuż szwów przy kieszeniach, rozporku, mankietach i kołnierzu; ktoś musiał w tych miejscach przyłożyć całą swoją siłę do żelazka na parę. Stubblefield usiłował sobie

przypomnieć, jak się nazywa takie małe, smukłe, ruchliwe zwierzę, które potrafi się wślizgnąć do kurnika i pozabijać na miejscu wszystkie ptaki. To nie była norka, ale coś podobnego.

Lit wskazał Stubblefieldowi krzesło po drugiej stronie pustego blatu i z kamienną miną wysłuchał jego szczegółowej opowieści.

– Gdzie dokładnie znajduje się ta chata? – zapytał, gdy Stubblefield skończył.

Ten podał dokładne namiary: numery dróg i liczbę zakrętów, a także orientacyjną odległość od charakterystycznych punktów terenu i skrzyżowań.

– Wiemy o tej sprawie od jakiegoś czasu – odparł Lit, kiwając głową. – Ale niewiele możemy zrobić, dopóki nie dojdzie do naruszenia prawa.

– Ale ktoś musi coś zrobić, żeby jej pomóc.

– Najlepiej by było – stwierdził Lit – gdyby pan po prostu zaglądał do tej dziewczyny. Jako osoba prywatna ma pan większe możliwości. Ja mam związane ręce, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

– Owszem, wiem.

– Niech pan mnie informuje na bieżąco – zakończył Lit.

Stubblefield ruszył prosto do chaty. Wjechał dwoma kołami na trawiastą grań. Popołudniowe słońce przebiło się przez warstwę chmur i rzucało żółty blask na trawę, ukrywając samotną dziewczynę. Wszedł na ganek i zapukał do drzwi. Panowała za nimi całkowita cisza, nie było słuchać nawet szmeru. Przeszedł więc przez wysoką trawę do okna. Przytknął dłonie do skroni, żeby zajrzeć do środka. Jego nos pozostawił ślad na szybie.

Patrzyła na niego lalka, nieubrana górna część manekina. Czarne nylonowe włosy opadały jej na połowę twarzy, jak ciemnowłosej mocno sfatygowanej Barbie. Nie miała jednego ramienia, a drugie, pozbawione dłoni, było odsunięte do tyłu, jakby właśnie rzucała coś przez okno, prosto w głowę Stubblefielda. Ale co za piękne piersi, bez sutków. A namalowane na twarzy niebieskie oczy, niezwykle duże, miały grube rzęsy, jak u muchówki.

Stubblefield wrócił do biura szeryfa. Lit czekał na niego za biurkiem. Z rękami założonymi na karku, odchyłał się na tylnych nogach krzesła, którego oparcie dotykało ściany. Miał twarz bez wyrazu, nieznacznie drgały mu tylko zaciśnięte wargi.

– Humor z Appalachów? – zapytał Stubblefield.

– Witamy z powrotem nad jeziorem – rzucił Lit w odpowiedzi.

Siedzieli z mokrymi tyłkami na dużej płaskiej skale na brzegu strumienia, przekazując sobie na zmianę omszałego raka. Dolores podsunęła zwierzęciu małżowinę ucha niczym kolczyk i pozwoliła się uszczypnąć, a potem odsunęła głowę, kiedy z bólu do oczu napłynęły jej łzy. Oddała raka Frankowi, który pozwolił mu uszczypnąć się w dolną wargę i pisnął jak beagle. Później wsadził go do strumienia, położył się płasko na brzuchu, zanurzył twarz w wodzie i otworzył oczy, widząc zielonkawy świat, upstrzony miąką piasek i żwir. Wypuścił z ust powietrze i ku powierzchni uniosły się srebrne bąbelki, łaskocząc go w twarz i zagłębiając się we włosy.

Rozciągnięci w trawie na brzegu potoku, z twarzami zwróconymi ku słońcu, porozumiewali się po swojemu, próbując przypomnieć sobie Lily. Kolor jej włosów, oczu. Chłodne poranki, gdy wbiegali do jej pokoju i drząc, wskakiwali do jej łóżka. Jaka była ciepła. Pachniała jak wilgotna trawa, opadłe liście. Wszystko się zacierało, pamiętali już tylko jej obecność i nieobecność. Duch nie chce wyrządzić ci krzywdy, ale też nie pomaga. Piękna biała mgiełka. Wspomnienia w ich głowach były jak pudełka. Niektóre z radością otwierali, kiedy mieli ochotę, inne pozostawały zamknięte, pogrążone w ciemnościach.

Podeszli łukiem do wędzarni, gdzie Luce trzymała nieotwarte pudło z rzeczami Lily. Rozerwali przezroczystą taśmę klejącą czubkiem zardzewiałego gwoźdźca, który wyciągnęli ze ściany, i usiedli na tłustym klepisku w mrocznym zalatującym wieprzowiną wnętrzu. Przejrzeli skarby. Biała mufka z króliczego futra, niebieska skórzana szkatułka na biżuterię, z małymi pustymi przegródkami wyłożonymi niebieskim aksamitem, zielony kapelusz z czarną woalką o dużych oczkach, czarna aksamitna torebka z siedmioma identycznymi cienkimi bransoletkami ze srebra. Gruzłowata etola z lisa, z paciorkowatymi oczkami i dyndającymi ogonami. Dwie sztywne kasetki, jak małe walizki. Wszystko pachnące perfumami Lily, jej pudrem.

Dolores podniosła swoją chudą rękę, przesunęła kolejno bransoletki za łokieć, a potem opuściła ramię. Wszystkie zsunęły się z brzękiem i spadły z nadgarstka na klepisko. I tak od nowa, i od nowa. Frank wywinął mufkę i włożył ją na głowę jak czapę. Potem na mufkę wcisnął kapelusz, z wpiętą złotą spinką, i zaciągnął woalkę na białe futro. Lily jednak nie udało się odnaleźć.

Nie będąc kustoszami z natury, szukały z nią kontaktu, rozbierając jej rzeczy na części. Wylamując złote zawiasy niebieskiej szkatułki na biżuterię i wyjmując niebieskie aksamitne przegródki. Pudełko na kapelusz, z ośmiokątnymi ściankami, grubą pokrywą i podwójnym dnem, stało się płaską konstrukcją z tektury, w zielono-kremowe paski. Sam kapelusz też rozerwali na kawałki: zielony filc, czarną satynę i czarną siatkę. Zamknięta na klucz biała kasetka, prawie tak duża jak pudełko na kapelusz, sprawiała pewne kłopoty, ale w końcu odłoniła wonne tubki, pudełeczka i krótkie walce oraz, na samym dnie, dwa różowe krążki plisowanej satynowej podszewki. Różowa kasetka, też zamknięta na klucz, zawierała włosy, dwie blond peruki i treskę, a także dwa krążki z białej podszewki. Etola z lisa, z paciorkowatymi oczkami i dyndającymi ogonkami, też się nie dawała, ale w końcu, gdy podlubało się na szwach zardzewiałym

gwoździem, rozpadła się na dwa płaskie zwierzaki, bez wnętrzości.

Kontynuowali pracę, aż klepisko pokryło się fragmentami życia Lily. Jej samej jednak wciąż nie było. Frank wyjął duży puszek do pudru z jednej kasetki i go strzepnął. W powietrzu pojawił się jasny kształt i zniknął. Zaczęli więc chować wszystko do dużego pudła, zostawiając na koniec treskę i pliki kartek na podpałkę, w czerwonych opaskach. Frank wziął do ręki koński ogon, podniósł go, odchylił głowę do tyłu i lekko musnął włosami swoją twarz. Dolores wzięła jeden plik kartek, zbliżyła go do buzi i sunąc kciukiem po brzegach suchych łatwopalnych papierków, omiotła nimi policzek.

Wróciwszy nad potok, położyli się na brzegu, wystawili twarze do słońca i przypomnieli sobie, jak mocno ścisnęła ich Lily, oboje jednocześnie, aż łaskotało ich w brzuchach i śmiali się wesoło. Lily powtarzała: „Kocham was, kocham was, kocham was, będę kochać aż do śmierci”.

Popołudnie pod koniec lata. Wysokie wernonie i nawłocie, rosnące po obu stronach drogi, już prawie kwitły. Stubblefield prowadził jedną ręką, bo w drugiej trzymał butelkę piwa, i próbował omijać kamienie, żeby hawk nie zawadził o nie delikatnym podwoziem. I tak smagały go po lśniącej karoserii różne bujne krzewy, zarastające przejazd. Przetrzebił już większość zielonego ośmiopaku piwa Rolling Rock, podarunku od faceta w typie Conwaya Twitty'ego, który dzierżawił Przydrożny Zajazd i chciał robić to nadal, bo ta atrakcyjna posada zapewniała mu wysoką pozycję w pewnych półlegalnych kręgach miejscowej elity.

Jednak jeszcze lepiej miał się właściciel Zajazdu. Już podczas oględzin nieruchomości Stubblefield zorientował się, że miejsce to ma duży potencjał, mimo że do otwarcia pozostało jeszcze kilka godzin, nie było muzyki z szafy grającej ani zespołu na żywo, neon się nie świecił, a sala z flipperami była zamknięta i pogrążona w ciemnościach. Przez otwarte drzwi wpadało jaskrawe światło słoneczne, rzucając zabójczy dla wampirów jasny trapez na dziewiętnastowieczną drewnianą podłogę, topornie obrąbane deski szerokości biodra i grubości nadgarstka, wycięte z bali przed blisko stu laty i nadal spełniające swoją funkcję. Wciąż nosiły ślady siekiery, należącej do jednego z przodków Stubblefielda, brodatego pioniera. Pokrzepiająca stęchła woń trunków i dymu tytoniowego wnikała tak głęboko w grube drewno, że tylko archeolog z ostrymi narzędziami mógłby zdrapać jego warstwy i zidentyfikować szkocką McCallum, rozlaną przez jakiegoś wędrownego handlarza w czasach, kiedy ziemie te należały do Czirokezów. Równie dobrze można by wystawić tu napis: „Obsługujemy klientów od dwustu lat”. Stubblefield wyobrażał sobie, że co miesiąc jako el patrón inkasuje czek, nie musząc nic robić.

Hawk pokonał zakręt, niebezpiecznie otarł się miską olejową o wybój na drodze i w końcu się zatrzymał. Przed jego przednią szybą wyrosła forteca z brązowych bali, osadzona w zielonym górskim krajobrazie. Trawnik prowadził w dół nad jezioro o szklistej powierzchni w dziwnym odcieniu, gdzieś pomiędzy kolorem nieba a barwą gór.

Przypomniawszy sobie zasady prowincjonalnej etykiety, którą wpajał mu dziadek, Stubblefield, zanim wysiadł z wozu, lekko nacisnął klakson w chromowanej kierownicy; było to najkrótsze z przyjacielskich trąbnięć. Ale nawet po tym geście nie mógł się zmusić, żeby wejść po schodkach i zastukać do drzwi. Ruszył ścieżką, ale zatrzymał się przed gankiem i zawołał: „Halo?!”.

Zwały jasnoszarych i srebrnych chmur po drugiej stronie jeziora przybrały tak przekonujący kształt gór, że Stubblefield nie mógł się zorientować, gdzie przebiega linia horyzontu. Trzeba by się znaleźć w Tybecie, żeby uprawdopodobnić najwyższe z tych szczytów.

– Hej? – zapytał znowu.

Znad ogrodzenia ganku na dalszym jego końcu, nad szeregiem bujanych foteli, wyłoniły się dwie małe głowy. Miały włosy koloru słomy i czarne oczy, które patrzyły na niego uważnie. Potem znowu się schowały. Stubblefield poszedł w tamtą stronę, ale smarkacze zniknęli.

W ogóle co to za dzieci? Wnuki tej samotnej starej panny?

Na podwórku nikogo. Tylko stado dziobiących w ziemi kurcząt i smukła dziewczyna. Czy raczej kobieta, bo była chyba w jego wieku. Miała na sobie czarne spodnie typu capri, białą bluzkę i wysłużone czarne mokasyny. Stała przy pniaku i rąbała drewno na opał siekierą o dwóch ostrzach, której kształt przywodził na myśl epokę żelaza, wikingów albo Celtów. Łup – i przerąbane na pół sosnowe polano wylądowało w postaci dwóch żółtych klocków na stosie innych, takich samych.

– Hej – rzucił Stubblefield.

Kobieta odgarnęła ciemne włosy i spojrzała na niego mniej więcej tak samo życzliwie jak dzieci. Nie odpowiadała krępująco długo.

– Dzień dobry jeszcze raz – odezwał się ponownie.

Wtedy uświadomił sobie, że w prawej ręce wciąż trzyma pustą butelkę po piwie. Potrząsnął nią, jakby chciał ją wyrzucić, ale tego nie zrobił. Nagle w jego życie znowu wkroczył Red Skelton.

Kobieta podniosła siekierę, jakby się chciała nią zamachnąć, i oparła ją sobie na ramieniu.

– Mogę pomóc? – zapytała.

– Nie – odparł Stubblefield. – To znaczy chyba tak.

– W jaki sposób?

– Nazywam się Stubblefield.

– On nie żyje.

– Jestem jego wnukiem.

– Aha.

– Dziadek chyba... Wspominał o mnie?

– Raz czy dwa.

– I co? Zatrudnił panią? Jako kogo?

Luce spokojnie patrzyła mu w oczy. Gdyby przyłożyć jej do brwi poziomice, pęcherzyk powietrza pozostałby na środku.

Stubblefield zerknął w stronę blednących szczytów górskich, chmur czy cokolwiek to było. W górze przeleciało jakieś ptaszysko. Musnął go cień skrzydeł, ale on nawet nie podniósł głowy, aby sprawdzić, czy był to jastrząb, kruk czy myszołów. Patrzył natomiast, jak cień sunie po trawie i dotarłszy do zaniedbanego ogrodu, traci kształt.

Powiedział, jakby przepraszał:

– To miejsce chyba należy teraz do mnie. I muszę... – Urwał i już zamierzał dokończyć: „Podjąć pewne decyzje”.

Ale zanim ujawnił, co to będą za trudne decyzje i jaki pasztet zostawił mu dziadek, dotarło do niego, że kobieta nie przejawia ani odrobiny współczucia. Ta siekiera na ramieniu i nie tylko... Coś w jej oczach. Więc pospiesznie zmienił zamiar i zapalając nowego camela od niedopałka poprzedniego, powiedział:

– Będę musiał obejrzeć, co dostałem w spadku.

– Niech pan ogląda, co chce – odrzekła Luce. – To pańska własność. A przy okazji, niewykluczone, że to dzieci spaliły dom.

Położyła kolejne polano na pniak i przerąbała je, a w powietrzu rozszedł się zapach drewna sosnowego, ostry i czysty. Zanim jednak Stubblefield, myśląc o domu, zdążył zapytać: „Co

takiego?”, nagle powróciło do niego dawne wspomnienie. W geście, jakim odrzucała włosy, w błysku światła na jej kościach policzkowych i szczęce było coś znajomego. Wspomnienie to wydobyło się z jakiejś niepotrzebnej przegródki w jego mózgu, która zwykle otwierała się tylko po to, żeby go poinformować, gdzie był, co robił i jaka panowała pogoda, kiedy pierwszy raz usłyszał daną piosenkę, aż po czasy wczesnego dzieciństwa. Na przykład *When the red red robbin goes bob bob bobbing along along*, którą śpiewała matka, przepuszczając mięso przez maszynkę do mielenia, taką z rączką, a słabe październikowe słońce świeciło z ukosa na wyłożoną zielonymi kafelkami podłogę w kuchni, podzieloną na kwadraty przez cień szprosów w oknie.

Ale wspomnienie Luce nie wiązało się z żadną muzyką. Przypominało raczej projekcję filmu nakręconego ośmiomilimetrową kamerą, której towarzyszy tylko cichy terkot kół zębatach, wchodzących w otwory poszczególnych klatek, i syk taśmy przewijanej z jednej szpuli na drugą.

Jest koniec lata. Nie wyznacza go jednak żaden trudny do uchwycenia moment astronomiczny. Następuje wprawdzie równonoc jesienna, ale nikt jeszcze nie wygląda ani nie zauważa pierwszych chłodów. Koniec lata wyznacza raczej Dzień Pracy, po którym basen zostaje zamknięty na rok i zaczyna się szkoła. Co przepaja uczuciem, że odeszło coś wyjątkowego, co się nigdy więcej nie powtórzy.

Miejszem akcji jest duży zielony basen miejski, obok trawiastego lądowiska długości półtora kilometra. Dwadzieścia kilka nastolatek maszeruje wokół basenu. To konkurs piękności, organizowany w Dniu Pracy, w czasach, kiedy dziewczęta pragnęły wyglądać jak Marilyn Monroe albo Ava Gardner. Wszystkie kostiumy kąpielowe takie same, różnią się tylko kolorem; to futerały z głębokimi dekoltami, niemal pasy cnoty tak napięte, że aż drżą. Głębokie czerwienie, błękity, zielenie i mniej ciekawe pastele. Najpopularniejsze krągłe ślicznotki na wysokich obcasach. Czerwone wydęte usteczka. Piersi ujęte stanikiem wyglądają jak dwa rożki lodów waniliowych, sięgają prawie brody i błyszczą od oliwki. Włosy natapirowane i spryskane lakierem, tworzą kruche chrzęszczące hełmy. Ściśnięte talie i tyłeczki przypominające odwrócone serduszka.

Z aluminiowych głośników na zaimpregnowanych kreozotem słupkach, umieszczonych na każdym rogu ogrodzenia z drutu, grzmi jakaś pseudolatynoska saksofonowa ni to samba, ni to cza-cza, grana przez uzależnionych od heroiny jazzmanów z Nowego Jorku, którym wydaje się, że mieszkają w Rio albo na batistowskiej Kubie. Niezależnie jednak od muzyki, nawet gdyby to miał być marsz Sousy, to ładne dziewczyny grają główne role w przywołanym z pamięci seansie Stubblefielda. Idą wokół ciemnego basenu, każda z nich to istna Helena trojańska, inspirująca gromady chłopców ze szkoły średniej do malowania sprejem jej imienia na wieży ciśnień.

Czerwono-biały stary dwupłatowiec unosi się z zielonego pasa startowego i wlatuje w błękitne niebo nad granatowymi górami. Czterech nastolatek bez koszul, gotowych rozpocząć sezon piłkarski, rusza biegiem po pasie do lądowania, stale zerkając na swoje powycierane timeksy po wewnętrznych stronach nadgarstków, żeby sprawdzić, ile brakuje im do słynnych czterech minut Bannistera. Mieszkańcy miasteczka gromadzą się wokół ogrodzenia, opierają na barierkach tarasu do opalania i oklaskują jedyne piękno, jakie występuje w ich życiu.

Luce jest jedną z dwóch piękności w okularach przeciwsłonecznych. Zielone szkła osadzone w czarnych kocich oprawkach. I jako jedyna, idąc, je lodowy batonik Marsa ze stoiska ze słodyczami. Usta ma w kolorze czerwonego jabłuszka, podobnie jak paznokcie, wszystkie

dwadzieścia. Czarny kostium kąpielowy. Na jedno oko opada jej pasmo ciemnych włosów, prawie zasłaniając szkło okularów.

Ależ emocje przeżywał tego dnia po konkursie młody Stubblefield. Jadąc wzdłuż jeziora do domu na farmie pick-upem dziadka, z minuty na minutę coraz głębiej zapadała mu w pamięć olśniewająca wizja Luce, przepelniając go poczuciem beznadziei. I to przygnębienie, wywołane przyjazdem matki następnego dnia, żeby zabrać go z powrotem do Jacksonville, gdzie miał zacząć ostatni rok nauki w szkole średniej.

Udając obojętność i dalej pogrążając się we wspomnieniach, Stubblefield ruszył na oględziny Chaty. Parter i piętro, kolejne drzwi, jedynie rzut oka. I na samą górę, do smutnych, dusznych pokoików dla służby na poddaszu. Zszedłszy na dół, zobaczył salon, leżaki wokół kominka i stare radio. Lampy naftowe i kilka kontaktów elektrycznych z miki. Piec na drewno w ogromnej kuchni, żeliwne patelnie wielkie jak koła samochodów, latarka przy tylnych drzwiach. Gdy kończył oględziny, dostał zawrótów głowy, bo jednocześnie usiłował zachować przed oczami obraz dzisiejszej Luce i tamtej z przeszłości.

Wróciwszy do niej, Stubblefield próbował powiedzieć coś niezobowiązującego o potencjale Chaty i obciążeniu, jakie stanowi. Starał się mówić rzeczowo, używając terminologii łysego notariusza. Aktywa, zyski, cały ten kit. Wyimaginowane pieniądze. Urwał jednak i powiedział:

– Jeśli prąd wysiada, nawet pani tego nie zauważa.

– Brakuje mi wtedy radia.

Wówczas Stubblefield postanowił ujawnić się ze swoimi wspomnieniami. Tyle że to nie była właściwa decyzja. Zanim zdążył się zastanowić, palnął coś głupiego. W stylu: wielki Boże, pamięta pani ten konkurs piękności, gdy byliśmy w szkole średniej?

W drodze powrotnej raz po raz uderzał dłonią o kierownicę i usiłował sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział. Twarz go paliła, czerwona jak ślad szminki po pocałunku. Czy to możliwe, że zakończył wspominki, mówiąc: „Była pani wtedy taka piękna”? Naprawdę użył niewybaczalnego czasu przeszłego?

Jej odpowiedź pamiętał jednak dobrze. To żenujące, że kiedyś bawiła się w takie głupoty. Ale, dobry Boże, miała zaledwie siedemnaście lat. W tym wieku wszyscy mamy ambicje i popełniamy głupstwa. Wszystkie te hormony, krążące w żyłach. I dlatego robimy niebezpieczne, wstydlive rzeczy, jakbyśmy byli nieśmiertelni i jednocześnie mieli umrzeć już nazajutrz. A potem, gdy przychodzą mroczniejsze czasy, patrzymy wstecz z nostalgią. Przypominamy sobie chwile, kiedy byliśmy jak greccy bogowie. Potężni i niezbyt mądrzy.

Coś w tym rodzaju. To była naprawdę krępująca rozmowa.

Był jednak pewien, że Luce zakończyła jakoś tak: nie jestem już tą samą osobą co tamta dziewczyna. Wtedy pozbierał się na tyle, aby oświadczyć z przekonaniem: jesteście, kim jesteście. Czy mamy dziesięć lat, czy osiemdziesiąt. Zmienia się tylko to, co widzimy w lustrze. Wewnątrz nas tkwią te same lęki i nadzieje co dawniej, jak chomiki biegnące po kole, które się kręci.

– Hm, to przygnębiające – odparła Luce. – Ale co tam. Tamtego dnia i tak nie wygrałam.

– Jurorzy się pomylili.

– Okulary słoneczne?

– Może raczej ten batonik.

Kiedy się odwrócił i miał już odejść, Luce powiedziała albo do niego, albo już do siebie:

– Więc ogień wciąż płonie?

Przynajmniej w tej oszałamiającej chwili zdołał zachować przytomność umysłu, aby pochwycić w jej głosie sarkazm. A może to była ironia? Czasami dzieli je cienka granica.

Idąc przed siebie, podniósł rękę nad głowę, na ile tylko mógł, i rzucił:

– Uhm, tak, wysokim płomieniem.

Skręciwszy za róg, zobaczył dzieci, które siedziały na fotelach po obu stronach ganku, groźne i nieprzystępne jak wartownicy strzegący w nocy flank. Pomyślał: gdyby miały muszkiety, zastrzeliłyby mnie.

Wieczorem, po powrocie do domu, Stubblefield przypomniał sobie, że widział Luce jeszcze jeden raz. Tamtego lata po konkursie piękności. Swojego ostatniego lata nad jeziorem. W knajpce z hamburgerami, w której spotykała się miejscowa młodzież. Luce pochylała się nad szafą grającą, studiując listę piosenek. Długie włosy opadały jej na twarz, dopóki nie odgarnęła ich za uszy. Wtedy ujrzał jej profil. Była ubrana jak chłopak. Miała na sobie zapinaną na guziki koszulę, z połami zatkniętymi za pas spranych dżinsów. Czarne mokasyny. Tu pamięć zaskoczyła i zaczęła się rozwijać jak szpula. Luce wrzuciła monetę i stojak z błyszczącymi czterdziestkami piątkami zaczął się obracać, aż jedna z nich opadła na talerz i Johnny Ace zaśpiewał Never Let Me Go, trzeszcząc okropnie, bo płyta tkwiła w wurlitzerze już od jakiegoś czasu. Luce w tanecznym solo wróciła do przedziału, w którym siedziało jej towarzystwo: koleżanki cheerleaderki i chłopcy ze szkolnej drużyny futbolowej, umówieni na potrójną randkę. Jeśli zaś chodzi o pogodę, to w tamten wieczór przed laty, gdy Stubblefield wracał do samochodu dziadka, padał deszcz. Neon z nazwą knajpki barwił na różowo i lawendowo krople na przedniej szybie wozu.

Przed południem Lit jechał powoli żwirową drogą, aby farmerzy podczas żniw widzieli, że ich podatki nie idą na marne. To była jedna z zalet jego roboty – mnóstwo czasu na przejażdżki i myślenie. To i radiowóz, samochód przedstawiciela prawa, z wielkoblokowym silnikiem i wyposażeniem, na które nie było stać zwykłych obywateli. Za sprawą wielkich tłoków samochód kiwał się lekko z boku na bok, mimo dodatkowo wzmocnionego zawieszenia.

Lit czuł się fatalnie. Wypił już kubek kawy, ale to nie poprawiło mu samopoczucia. Przyciszył radio, żeby nie zakłócało mu myśli o prawie i porządku. O tym, że w większości miejsc można kupić sobie nienaruszalność, za wysoką albo niską cenę. Lit wiedział, że dotyczy to wszystkich szczebli, od mało znaczącego zastępcy szeryfa aż po sędziego Sądu Najwyższego. Ale nie w jego przypadku. Nie był skorumpowany. Jeśli jakiś przestępca próbował wcisnąć mu dwudziestkę, Lit potrafił odpiąć pałkę od pasa, stłuc go i zostawić wijącego się na drodze.

I stanowisko zastępcy zupełnie mu odpowiadało. Nie miał większych ambicji, przede wszystkim dlatego że szeryfa się wybiera, a ci, którzy na niego głosują, uważają potem, że ma on wobec nich jakieś zobowiązania. Święte zaufanie publiczne i wszystkie te wytarte frazesy. A stanowisko zastępcy to taka sama robota jak inne. Jeśli szeryf jest z ciebie niezadowolony, może cię zwolnić. Jeśli ty jesteś z niego niezadowolony, mówisz: pocałuj mnie w dupę i odchodzisz.

Obecnie szeryfem był pulchny starszy facet, który dorobił się dużych pieniędzy na żwirowni i lewych kontraktach państwowych na budowy dróg. Nie interesowała go nieprzyjemna strona fachu przedstawiciela prawa. Od brudnej roboty był Lit. To on wkraczał do akcji, gdy trzeba było kogoś obalić na chodnik, wziąć za kark, wrzucić na tył wozu patrolowego i wsadzić do aresztu. Miał w tym wprawę i nie wstydził się tego, szybkość dawała mu dużą i niespodziewaną przewagę.

Do jego wad jako przedstawiciela prawa należała skłonność do arbitralnych sądów. Przymykał oczy, jeśli przyzwoity człowiek raz zszedł z drogi cnoty i nikt specjalnie na tym nie ucierpiał. Tak jak ten nowy szmugler alkoholu, który przejął miejscowy interes po starym. Lit nie miał nic przeciwko niemu. Bimbrownicy byli i będą. Nie można sprzedać czegoś, czego ludzie nie chcą, a każdy od czasu do czasu musi poprawić sobie nastrój. Albo nawet codziennie.

Naprawdę świetne środki na uspokojenie albo pobudzenie ostatnio stały się nielegalne, chyba że przepisywał je lekarz. Dawniej, w czasie wojny, rząd wydawał benzedrynę jak żelki, gdy mu zależało, żebyś płonął jasno przez siedemdziesiąt dwie godziny non stop, zabijając ludzi, których trzeba było zabić. Więc to jawna niesprawiedliwość, że teraz trzeba płacić lekarzowi za receptę, a potem aptekarzowi praktycznie za nic, bo tylko za przeliczenie pigułek i wsypanie ich do buteleczki. Podczas długich walk o Francję i Włochy nikt ich nie liczył. Brało się je z wiader garściami. Jedno wiadro, żeby iść, drugie wiadro, żeby nie iść.

Lit był człowiekiem pokoju. A przynajmniej chciał się nim stać któregoś dnia. Druga wojna światowa ofiarowała mu dar w postaci wszelkiego rodzaju potyczek, jakich potrzebuje większość mężczyzn. Był świadkiem rozmaitych przerażających rzeczy i sam się ich dopuszczał. To było

dopiero życie. Ale był wtedy taki młody. Jego krew domagała się innej krwi. Nawet teraz nie mógł uwierzyć, jakie to czasami bywało zabawne. Wspaniały sen, marzenie, któremu nic potem nie mogło dorównać, podsycane przez hormony i amfetaminę.

To było dawno temu. Ale nawet teraz, w okresie pokoju, Lit wciąż pragnął zaczerpnąć garść z tego wiadra. Myślenie o przeszłości wprawiało go w melancholijny nastrój. O czasach młodości, kiedy zawsze był na haju.

Jeszcze do niedawna można było pójść do drogerii i bez problemów kupić inhalator z benzedryną do nosa. Dobrać się do jego zawartości i odpłynąć. Teraz rząd ich zakazał i jesteś przestępcą, jeśli choć spróbujesz tego, czym sam cię kiedyś szprycował. Czy takie prawo ma jakiś sens? Być może wymyśliła go jakaś firma farmaceutyczna albo stowarzyszenie lekarzy. A kto na tym cierpiał? Wszyscy, z wyjątkiem pigularzy i konowałów. Kiedyś bimbrownik był niepotrzebny. Jeśli sprzedawał alkohol, to w śladowych ilościach, na pinty, kwarty i uncje.

Kiedy żwir pod kołami przeszedł w twardą nawierzchnię drogi wiodącej przez dolinę, Lit nawet się nie zastanawiał, dokąd jechać dalej. Zawrócił do miasteczka. Musiał zajrzeć do tego nowego bimbrownika.

Na słupku ogrodzeniowym za wynajętą przez Buda kwaterą tkwiła nasadzona pusta niebieska puszką, ale rewolwer nie działał i było po zabawie.

– Nie może tak być, żeby rewolweru nie dało się naprawić – wyrzekł Bud. – To bardzo proste urządzenie. Nic więcej tylko młotek przytwierdzony do tulei. Ale to świństwo jest do wyrzucenia.

Przygnębiony, nie mierząc już do celu, naciskał raz po raz spust, ale bezskutecznie.

– Założę się, że wypali, gdy będzie trzeba – odparł Lit.

– Cholera, jest już do niczego.

Bud jeszcze trzy razy powoli nacisnął spust. Potem, bez nadziei, zrobił to po raz czwarty i rozległ się głośny huk.

Ołów przeleciał ze świstem, pod dziwnym kątem i z niemal naddźwiękową prędkością, obok lewego ucha Lita.

Bud spojrział na zastępcę szeryfa i oburącz podniósł broń do twarzy, przyglądając się jej z niemal karykaturalną miną, wyrażającą strach i nabożne zdumienie.

– A to gówno. Już działa.

Lit, wcale nie rozbawiony, pogroził mu palcem.

– Odłóż go na płot – powiedział. – Mam do ciebie kilka pytań. Na przykład skąd przyjechałeś?

– Z wybrzeża. Pomieszkiwałem w różnych miasteczkach na terenie trzech stanów.

– Dlaczego zatrzymałeś się akurat tutaj?

– To fajne miejsce, można tu robić interesy.

– Masz w tych stronach jakichś krewnych?

– Nie.

– Mogę zerknąć na twoje prawo jazdy?

– A proszę bardzo, tylko że wyprało się z ciuchami i wątpię, czy da się coś odczytać.

Bud wydobył z tylnej kieszeni dzinsów portfel, który dostosował się do kształtu jego tyłka. Otworzył go i wyjął prawo jazdy. Podał Litowi pognieciony wyblakły prostokąt, ale ten machnął ręką.

To i tak nic nie dało. Kawalek tektury, na którym ktoś wystukał czyjeś nazwisko, wzrost,

wagę, kolor włosów i oczu. Nie wywiązawszy się więc ze swoich obowiązków jako stróża porządku, Lit zaczął tyradę na ulubiony temat: że przecież nie można sprzedać ludziom czegoś, czego sami nie chcą, i jakie beznadziejne są lokalne przepisy. Ot, widzimi się niezorientowanych wyborców, którzy wciąż głosują za prohibicją, chociaż wystarczy wybrać się na dwu-, trzygodzinną przejażdżkę w którąkolwiek stronę i kupić alkohol całkiem legalnie. Albo cokolwiek innego, co może ci poprawić humor, jeśli nie przejmujesz się każdym drobnym zarządzeniem. Potem wygłosił kilka opinii na temat drugiej wojny światowej i obowiązującej podczas niej sensownej polityki dotyczącej używek. A już ten idiotyzm z zakazem sprzedaży inhalatorów!

Gdy tak mówił, miał wrażenie, że Bud czyta mu w myślach. Albo jakby przekazywali sobie jakieś sygnały, niczym masoni, za pośrednictwem tajemniczych haseł czy znaczących uścisków rąk. Kiedy byli już bliscy porozumienia, Lit spojrział na zegarek i rzucił: „Muszę jechać do roboty”.

Trzy dni później na ulicy znowu stał czarno-biały radiowóz. Lit, wściekły i sfrustrowany, w garażu Buda atakował zawzięty inhalator chromowanym dziadkiem do orzechów. Było to jego własne narzędzie, które pokonało już tysiące takich inhalatorów, tym razem jednak nie dawało rady. Albo nowe rurki Buda były trochę mniejsze, albo dziadek zwichrował się od zbyt częstego używania. Lit pracował więc ze skupieniem, bez ustanku pomstując na kapitalizm i rząd.

– No jak ci idzie? – zapytał Bud.

– Jak po grudzie.

– Nie znudził ci się już ten towar?

Lit uniósł głowę, zrobił sceptyczną minę i wrócił do swojego zajęcia.

Chciał się dobrać do wełnistego paska, który ustawiał go na cały dzień i dawał mu kopa, poczucie celu.

Na szczęście dla Lita, sprytni przedsiębiorcy zorientowali się w porę, jaką będą mogli zbić kasę, kiedy sprzedaż inhalatorów zostanie prawnie zakazana. Rok wcześniej znajomy Buda, facet z południa stanu, zaczął kupować w okolicznych drogeriach te małe rurki skrzynkami. Teraz można było na nich niezłe zarobić, w miarę wyczerpywania się zapasów narzucając coraz wyższą marżę.

– Co będzie, gdy pewnego smutnego dnia to wszystko się skończy? – zapytał Lit. – Dwadzieścia kubków kawy przed lunchem i tyle.

Bud pochylił się, tak że jego głowa znalazła się w kręgu światła, które rzuciła lampa w drucianej obudowie, zawieszona na podniesionej masce samochodu. Przyjrzał się przelotowi gaźnika, jakby wiedział, jak działają te wszystkie sprężyny, przewody, dysze, motylki i pływaki.

– Niektóre części trzeba przekręcać w jedną albo w drugą stronę, żeby uzyskać odpowiednią mieszankę paliwa i powietrza – zauważył. – A inne lepiej zostawić w spokoju, jeśli chce się jeszcze gdzieś pojechać.

– Przeklęty rząd – burknął Lit, napierając ramieniem i łokciem na dziadka do orzechów. – To podłość, bo najpierw walczysz za swój kraj, a potem wracasz do niego jako strzęp człowieka i musisz w czasach rzekomego pokoju kombinować, jak jakoś funkcjonować z dnia na dzień. Smutne to czasy, gdy bohaterowie płacą bimbrownikom taką ciężką forszę.

– Do licha, daj, pomogę ci – zaofiarował Bud. – Myślałem, że lubisz wyzwania.

Wziął od Lita inhalator, rzucił go na betonową podłogę i nadepnął. Schylił się i wyjął

z połamanej obudowy wstążkę. Środkowym palcem oczyścił ją z pyłu, dmuchnął i podał Litowi.

Lit starannie skrzył papieraek w idealną zwartą spiralę – tak przez resztę dnia miały przebiegać jego myśli. Delikatnie umieścił ją na języku i połknął, czując w ustach i przetyku pyszny posmak, od którego lzy napłynęły mu do oczu.

Potem, gdy już zapanował nad łzawieniem, zauważył:

– Kawa to zupełnie nie to samo.

– Przydziesz do mnie, kiedy i kawy zakazą – stwierdził Bud. – Bo ja będę ją miał.

– Za odpowiednią cenę.

– A jakże, do cholery. Wymień coś dobrego, co byłoby tanie. Pierwsza zasada w życiu: za wszystko trzeba płacić. Moim zdaniem im więcej rzeczy zakazanych, tym lepiej dla kapitalizmu.

– Mnie to nie rusza – odrzekł Lit.

– Właściwie po co ci te inhalatory? To nie moja działka, ale mogę zdobyć dla ciebie prochy, jeśli chcesz. Białe krzyżki i tego rodzaju towar. Dla kierowców.

Lit spojrział w niebo i podziękował za boskie światło, które nagle na niego spłynęło.

Podłączywszy się do stałego strumienia benzedryny u Buda, Lit nie spał przez trzy dni i noce. Ludzie przejeżdżający za dnia przez miasteczko z niedozwoloną szybkością nie tylko dostawali mandat, ale jeszcze musieli słuchać różnego rodzaju wściekłych uwag, rzuconych im prosto w twarz. Później, około trzeciej nad ranem, przy akompaniamencie muzyki płynącej z radia, chłodził go trochę obraz kontrolny w telewizorze, po kilku piwach wręcz fascynujący. Nic jednak nie miało dość mocy, aby go uspić, do tego trzeba by było garści wojskowych środków uspokajających.

– Przydałoby się trochę dorotki. Mucho, mucho – powtarzał do siebie, aż znalazł w tych słowach rytm i uznał je za dobry początek refrenu piosenki country, choć pewnie należałoby dopisać jeszcze kilka linijek. I łącznik. W piosence potrzebny jest łącznik, ale Lit nie bardzo wiedział, co to takiego. Pomyślał, że może w Budzie znajdzie współtekściarza. Wyglądał na muzyka, zwłaszcza z tymi swoimi włosami. A jeśli nawet nie uda im się wspólnie ułożyć żadnego przeboju, facet na pewno będzie miał coś na wyhamowanie.

Luce dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że dzieci nie są złe, tylko wystraszone. Albo może, żeby się trochę bardziej zbliżyć do brutalnej prawdy, widocznej w gorsze dni, są nie tylko złe, ale i wystraszone. Najbardziej przerażające jednak wydawało się to, co tak ukrywają przed nią czy kimkolwiek innym. Luce traktowała to spostrzeżenie jak hipotezę. Chcą iść dalej, wyjść z okresu, w którym każda chwila zaczyna się od lęku. Przenieść ciężar, jakim jest strach, na kogoś innego. Dlatego zapalają zapałkę i trzymają ją w palcach. Daje im to z pięć sekund na decyzję, co z nią zrobić. Nic dziwnego, że takie rzeczy jak przywołujący wspomnienia strój cheerleaderki i wspaniały stary dom na farmie zamieniły się w popiół.

Dać upust wściekłości, dlaczego nie? Poza tym Luce wiedziała, że ten płomienny akt zniszczenia może dawać zadowolenie. Bo potem zostaje już tylko czarny krąg wśród zieleni. Ale to „potem” budziło jej największy niepokój.

Pozostawione z myślami, które rodzi ogień, za piętnaście lat dzieci będą siał wokół siebie strach, zniszczenie albo śmierć. I skończą w więzieniu stanowym, po niewłaściwej stronie zamglonego wizjera, z wiadrami kwasu między stopami, mając oczy tak puste jak wypalone dziury w dywanie. Luce zaczęła więc wymyślać różne argumenty przeciwko ogniu, jakby przygotowywała się do dyskusji w szkole średniej.

Bezchmurny wrześniey dzień, drzewa pokryte całą paletą barw, zwłaszcza topole i derenie. Luce i dzieci szły skrajem niedawnego pola kukurydzy, które obecnie, w wyniku pięknej i obiecującej sukcesji w świecie przyrody, zamieniły się w królestwo królika Brera. Wygięte w łuki źdźbła tworzyły na ziemi poplątane konstrukcje, z których wlatywały jaskrawo upierzone zięby, żółto-czarne, polujące na ostatnie owoce schnących krzewów jeżyny. Na pustej przestrzeni, wielkości sceny teatralnej, przywiązany do długiego pala kuc zataczał krąg, którego środek wyznaczała drewniana machina – młyn do miażdżenia trzciny cukrowej, z której potem wytwarzana będzie melasa. Była to zapomniana ludowa metoda z przeszłości, ale nie takiej, do której nie można by sięgnąć. Gdyby ludzie nie skazili całej przyrody ani nie wysadzili jej w powietrze, mogliby robić tak dalej i dalej, do woli. To tak jakby znaleźć się na niewłaściwej drodze – zawsze można zawrócić i zacząć od nowa.

Luce uważała, że dzieci mogą się tutaj czegoś nauczyć. O spokoju. Ot, związana z porą roku lekcja o upływie czasu, przechodzeniu jednego dnia w drugi, tego roku w następny. Żaden dzień nie kończy się apokalipsą.

Maddie, w męskim kapeluszu, dokładała do małego ogniska pod wielkim żeliwnym saganem ustawionym na trójnogu, w którym gotowała się zmiądzona trzcina. Siedziała na pniaku ze skrzyżowanymi nogami, w rozsznurowanych butach, i kiedy Luce z dziećmi do niej podeszli, wystawiła twarz spod ronda i spojrzała na nich, mrużąc wyblakłe oczy. Oskrobała nożem świeżo rozszcepioną łodygę trzciny, a potem oblizwała biały miękisz. Kiedy kucyk niespiesznie zatoczył koło, uderzyła go łodygą, delikatnie przypominając o wspólnych obowiązkach. W powietrzu unosił się słodki zapach zmiądzzonej trzciny, złożonej w jasnożółte snopy, a także wrzącej melasy

i dymu drzewnego. Z otaczającego ich świata nie dochodził żaden dźwięk głośniejszy od chrzęstu prasy, a ten był tak stłumiony, że nie zagłuszał nawet cichego stąpania kucyka po wytyczonym na ziemi okręgu i sporadycznych trzasków hikorowego ognia.

W normalnych okolicznościach dzieci wykazałyby żywe zainteresowanie ogniem, ale tym razem ich uwagę tak przykuł kucyk, że zignorowały wszystko inne. Luce miała nadzieję, że powodem tej fascynacji nie są delikatne razy łodygą, jakie dostawał.

Kucyk pochodził z rasy cobów walijskich i nogi porosła mu już zimowa sierść, choć do pierwszych mrozów było jeszcze daleko. Jego przodkowie pracowali kiedyś pod ziemią, ciągnęli wózki w kopalni. Na szczęście on sam miał już za sobą kilka pokoleń od czasów tamtego bestialstwa, gdy spuszczano zwierzęta na pasie pod brzuchem w straszliwe ciemności, aby wiodły krótkie życie z dala od światła dziennego. Miał gładkie chrapy, barwy płatków róży, a pod nimi żółte zęby, starte od ciągłego gryzienia. Jasne łaty na kościach biodrowych i łopatkach, tam, gdzie na skutek upływu czasu i ciężkiej pracy wytarła się sierść. Duży szeroki tułów i długa szyja, grzbiet wygięty między łopatkami a guzami biodrowymi. Wyraz jego pyska zdawał się świadczyć, przynajmniej w odczuciu Luce, o braku złudzeń; zwierzę widziało już wszystko. A mimo to uszy miało postawione, czujnie i z nadzieją, że zdarzy się coś nowego, ważnego, chociaż na razie, chodząc w kółko, co pół minuty oglądało te same znajome widoki.

Maddie uniosła głowę znad wrzącej melasy i zauważyła zainteresowanie dzieci. Podeszła do nich i powiedziała do Dolores: „Możesz się na nim przejechać, jeśli chcesz”.

Ujęła ją pod pachy i posadziła na wygiętym grzbiecie kuca. Dolores nie protestowała, ani też nie popadła w otepienie i nie pogrążyła się w czarnych myślach, znanych tylko jej. Usadowiła się na grzbiecie kuca i uśmiechnęła.

Frank, który obserwował siostrę, podniósł ręce na znak, że też tak chce.

Oboje mieścili się idealnie w zagłębieniu na grzbiecie zwierzęcia, Dolores siedziała z przodu, trzymając się grzywy, a Frank za nią, obejmując ją w pasie i opierając policzek na jej plecach, z zamkniętymi oczami, jakby z nadmiaru wrażeń chciał się tylko skupić na doznaniach dotykowych. Maddie klepnęła kuca i bliźnięta ruszyły na przejażdżkę po okręgu jak wszystkie normalne dzieci, napawając się widokiem z wyższego punktu niż zwykle, wdychając zapach dymu drzewnego, krystalizującego się cukru, samego kucyka i łajna wbijanego kopytami w ziemię.

Kiedy przejażdżka się skończyła i Maddie postawiła dzieci z powrotem na ziemi, Dolores spojrzała na nią z rozjaśnioną buzią.

– On ma na imię Sally, bo to dziewczynka. Nazywa się tak, odkąd jest u mnie.

Dolores z powagą kiwnęła głową, jakby imię idealnie pasowało do zwierzęcia. Powtórzyła za Maddie:

– Sally, Sally, Sally.

A potem Frank wypowiedział to imię, ale tylko raz.

Tego wieczoru przed snem Luce zwróciła się do nich.

– Powiedzcie mi coś. Jaką pogodę lubicie najbardziej?

Dzieci spojrzały na nią jak na głupią, a potem popatrzyły na siebie. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– Wiem, że potraficie mówić – nie ustępowała Luce. – Słyszałam.

Żadnej reakcji ze strony dzieci.

– To ja was karmię – ciągnęła. – Nie chcę wam grozić, ale tak jest i już. To jedna z rzeczy, które dla was robię. Zapytałam o pogodę. Bądźcie takie miłe i odpowiedzcie, choćby tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność.

Za ciemnymi oczami wyraźnie pracowały trybiki. Wreszcie odezwała się Dolores, tak znużonym, zniecierpliwionym głosem, jakby odpowiedź była oczywista:

– Burzę z piorunami.

– Dobrze – odparła Luce. – To rodzaj pogody. A teraz ty, Frank.

– Burzę z piorunami.

– Też dobra odpowiedź. No to następne pytanie, Frank. Jaki jest twój ulubiony kolor?

Chłopiec przechylił głowę na bok i splunął lekko jak palacz, któremu po paleniu skrętów na języku zostaje odrobina tytoniu.

Luce cierpliwie czekała na odpowiedź.

– Frank, prosiłam cię, żebyś wymienił swój ulubiony kolor. Nie ma tu dobrej ani złej odpowiedzi i nikt nie będzie na ciebie zły. Więc powiedz, jaki to kolor.

Nie patrząc na nią, Frank odparł:

– Czarny.

– Tak, to kolor. Ja też go lubię.

– I kolor ognia – dodała Dolores.

– Aha, czyli czerwony, pomarańczowy i żółty. Dobry wybór, dziękuję wam obojgu.

Pogłaskała jedno i drugie po czole, ot ledwie musnęła palcami, a potem wyłączyła światło przy ich łóżku i siedziała w ciemności, słuchając cichej muzyki z radia i ciesząc się rzadkim uczuciem na koniec dnia, że wykonało się dobrą robotę i już wiadomo, jak się do tego zabrać. Choć po tej rozmowie o ogniu i piorunach może powinna spać z jednym okiem otwartym.

Następnego dnia, chcąc skłonić dzieci do mówienia, Luce pomyślała, że najlepszym punktem wyjścia będą opowieści na dobranoc. Niestety, nie miała do opowiedzenia żadnych historii rodzinnych, bo nie знаła swoich przodków. Nie miała żadnego powarkującego ze złości pradziadka, który by w mroźne zimowe wieczory siedział przy kominku i przekazywał podania ludowe, wyjmując z kieszeni roboczego ubrania sztuczny różowobiały ząb, aby oddać efekty dźwiękowe opowieści, w której występuje lokomotywa parowa. Jedynymi opowieściami z elementami folkloru, jakie znała Luce, były krwawe historie wojenne Lita i pijackie bredzenia Loli.

Zaczęła więc przeszukiwać półki z książkami i znalazła wybór okrutnych baśni ze Starego Świata. Fiu-fiu-fika-mika, wężę krew Anglika. Przeczytała je wszystkie, zastanawiając się, które z nich mogłyby się nadać dla Dolores i Franka. Opowiadane dzieciom od wieków pouczające historie o władzy i słabości. Ludzie w tych dawnych baśniach byli krzywdzeni i zabijani bez zmruczenia oka. Ta kruchość ludzkiego ciała, wszystkie te niebezpieczeństwa i strach, który ożywa po zmroku, a czasami także w świetle dnia.

Zaczęła od Chłopca i północnego wiatru, bo uznała, że przynajmniej spróbuje je nakłonić do powtarzania razem z nią w odpowiednim momencie „bij, różdżko, bij”, bo była to wspaniała sprawa: kto nie chciałby mieć takiej różdżki, aby ujarzmić najpotężniejszych nawet wrogów? Ale Dolores i Frank nie słuchali. Ani tej baśni, ani następnej o księciu, który ślubował, że przez siedem lat nie będzie się uśmiechał.

W końcu jednak, metodą prób i błędów, Luce trafiła w czułą strunę. Przez całe dwa tygodnie

dzieci nie chciały słuchać na dobranoc niczego, tylko Trzech kózek. Wcielając się więc w każdą z nich, małą, średnią i dużą, Luce odpowiednio modulowała głos, a jako troll zniżala go do złowróżbnego pomruku. Wzbogacała też opowieść o efekty dźwiękowe, gdy kózki wchodziły na most, a szczególnie mocno wczuwała się w rolę największej, gdy ta grozi, że rogami wykłuje trollowi oczy, a kopytami rozniesie go na strzepy.

Dzieci drżały ze strachu, podciągały koc pod nosy i Luce czuła, że garną się do niej, bo pod kołdrą wyciągały nogi i stopami dotykały jej biodra, gdy siedziała na brzegu łóżka. Kiedy duża kózka pokonywała trolla, wciągały głęboko powietrze i wypuszczały je powoli. Trzeciego wieczoru nakłoniła je, żeby głośno powtarzały razem z nią ostatnie zdanie. „Bęc, bęc, bęc. To historii koniec”.

Stubblefield nie mógł się powstrzymać. Po tym, jak poznał Luce, co parę dni skręcał w pełną wspomnień ślepą uliczkę, jechał do Chaty i parkował na jej tyłach. Oficjalnie przyjeżdżał, żeby popływać przy małej plaży, usypanej kiedyś dla niego przez dziadka, gdy musiał trenować, żeby zdobyć odznakę pływacką. Kilka ton czystego białego piasku, przywożonego pick-upem i zrzucanego na czerwony gliniasty brzeg nad wodą. Tamtego lata spędzał tu prawie wszystkie popołudnia: opalał się, pływał i czytał. Marzył o tym, żeby dopłynąć aż do miasteczka. Jezioro podobno miało w tym miejscu półtora kilometra szerokości, co wtedy nie wydawało się dystansem nie do pokonania.

Teraz jednak było to daleko. A do nadejścia chłódów pozostało zbyt mało czasu, żeby odzyskać dawną formę. Stubblefield zadawał się więc próbami pokonania codziennie o sto metrów więcej. Później leżał na słońcu, dopóki nie wyschły mu kąpielówki; wtedy się ubierał. Podchodził do domu i pukał do drzwi. Stanowiło to prawdziwy powód jego przyjazdów. Chciał pobyć przez kilka minut z Luce, jeśli była w domu. Zostać, dopóki jej nie zirytuje, a potem odejść.

Pewnego dnia, kiedy wyszedł z wody, spojrzął w stronę Chaty i odniósł wrażenie, że zobaczył Luce w jednym z okien jadalni. Ciemną postać za szybą. Wciąż po łydki w wodzie, pochylił się i wykonał niski ukłon. Gdy jednak podniósł głowę, w oknie nikogo nie było.

Później, kiedy zapukał, nikt też nie podszedł do drzwi. Napisał więc liścik i włożył go między siatkowe drzwi a framugę. Nic szczególnie błyskotliwego, tylko; „Cześć, S.”. Tyle, żeby okazać zainteresowanie ich samotnym prostym życiem.

I był nim naprawdę zainteresowany. Bo w przeciwnym razie sprzedałby wszystkie swoje nieruchomości, mimo potencjału, jaki stanowiły tereny rolne. Opchnąłby cały ten bajzel za najniższą cenę, kupiłby czerwonego healeya i wyrzuciłby dach. Używałby tylko pokrowca. Pojechał w tropiki, zamieszkał na Sanibely albo w Key Larg; codziennie chodziłby w szortach, grał na flipperach i jadł ryby, dopóki nie skończyłaby się forsa.

Tak postąpiłby w czasach młodości. Wyjechałby, żeby wieść, jak mówili jego przyjaciele z Florydy, bogate życie wewnętrzne. Zawsze wypowiadali te słowa z cieniem ironii. Ale tu była ta ładna niepokojąca kobieta, do której jako siedemnastolatek żywił te wszystkie idiotyczne uczucia. Trudno w takich okolicznościach rzucić wszystko i ruszyć w drogę. Choć tak z pewnością zrobiliby mądrzy ludzie

Gdyby jednak się do nich zaliczał, Stubblefield przede wszystkim bardziej by się starał, aby jego eksnarzeczona była szczęśliwa. I teraz nosiłby granatową marynarkę ze złotymi guzikami, sprzedawał coup de villes na wyspie i czekał, aż jej ojciec wreszcie umrze, żeby przejąć po nim salon samochodowy. Czy mówi się raczej „coupes de ville”?

No i ta Luce, młoda pustelniczka. I to, czego się dowiedział o jej popapranej rodzinie. Matka – dawno uciekła. Ojciec – szurnięty stróż porządku o sadystycznych skłonnościach. Siostra – ofiara morderstwa. Para siostrzeńców – prawie niemowy i piromani, którzy spalili jego

dom rodzinny do gołej ziemi.

Co by zrobił ktoś mądry?

Czym prędzej wzięłby nogi za pas i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Ot, co.

Stubblefield zaś poszedł do Maddie i próbował odkupić od niej klacz, żeby sprawić Luce przyjemność, bo wciąż mówiła o tym, jak Sally uspokajająco działa na dzieci, że dzięki niej na chwilę przestają być takie destruktywne i nawet powiedziały kilka słów.

Luce kosila wybujałe chwasty nad strumykiem wypływającym ze źródła. Dzieci siedziały po turecku na tylnym ganku, pochylone nad kolorowymi chińskimi warcabami, które znajdowały się pomiędzy nimi. Ich gra brzmiała jak perkusja. Oboje gwałtownie przesuwali pionki i stawiali je głośno na cienkiej metalowej planszy całkiem niezależnie od siebie, można więc było odnieść wrażenie, że grają indywidualnie, a nie we dwoje, jedno przeciwko drugiemu, dążąc do rozstrzygnięcia, wygranej albo przegranej.

Stubblefield wysiadł z samochodu i obszedł dom.

– Rozmawiałem z Maddie – oświadczył bez wstępów.

Luce zatrzymała się z kosą w rękach. Spojrzała na Stubblefielda. Dżinsy miała do kolan poplamione na zielono.

– Po co?

– Bo jest miła i chcę ją lepiej poznać. Szkoda, że jej nie znałem, gdy byłem mały. I chodzi o tę klacz, Sally, o której mi mówiłaś.

– To kucyk, nie koń – odparła Luce.

– Myślałem, że chodzi o młodą klacz.

– No jasne.

– Zamierzałem ją dla ciebie kupić. Czy raczej dla dzieci.

Luce się odwróciła i zaczęła wymachiwać łukowatym ostrzem wśród ambrozji i niecierpków, jakby miała do wyboru: albo to, albo go skrzyczyć. Jeśli chodzi o Stubblefielda, wszystko tu odbywało się zbyt gwałtownie.

– Wydawało mi się, że mogę pomóc – wyjaśnił.

Luce zatrzymała się i popatrzyła na niego, spięta i nieprzystępna. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia.

– Niczego nie będziesz mi kupował. Żadnych prezentów. Nawet pudełka czekoladek czy słoika miodu.

Miał ochotę zapytać: dlaczego jesteś taka zła? Zamiast tego jednak podniósł ręce dłońmi do góry, uniwersalnym gestem, który mówił: co ja takiego zrobiłem, do cholery? Luce tak się cieszyła, że dzieci wykazały zainteresowanie koniem i że wypowiedziały jego imię. Jedno słowo. Sally, Sally, Sally. Dlaczego więc nie miałby im tego konia kupić. Czy kuczka, wszystko jedno. Wydawało mu się, że to dobry pomysł. Że pomoże. Stary sterany życiem kuc nie powinien kosztować wiele. Mnóstwo ludzi oddałoby za darmo takie zwierzę komuś, kto zobowiązałby się je karmić i nie sprzedać na mięso do Francji. Ale może się mylił. Przydałaby mu się kieszonkowa lista zasad postępowania, do której mógłby w każdej chwili zajrzeć.

– Dobra, wszystko jedno – odparł z pewną goryczą. – Maddie i tak nie chce sprzedać Sally. Za żadną cenę.

– Och, czyżbym była niemiła? – zapytała Luce.

Stubblefield szukał odpowiedniego określenia. „Wściekła”? Nie. A już na pewno nie

„oburzona”.

– Stanowcza?

Luce skrzywiła się lekko. Jakby nieznacznie przewróciła oczami albo uniosła kącik ust.

– Przyjemniaczek się trafił.

– Czy „ostra” albo „szorstka” brzmi lepiej? A może „niewdzięczna”?

Wypowiedziawszy te słowa, natychmiast ich pożałował. Spodziewał się, że zaraz zostanie wzięty za ucho i wrzucony z własnej ziemi. Luce jednak spojrzała w bok, najwyraźniej starając się zachować kamienną minę. Zauważył, że zaczerpnęła powietrza.

– Powiedzmy, że słoik miodu mógłby być, ale na tym koniec. Kwiaty, jeśli zbierzesz je sam.

Ale żadnej biżuterii, żadnych kucyków.

– Hm – odparł. – Maddie powiedziała mi, że dzieci mogą codziennie na nim jeździć, jeśli chcą, ale musiałyby do niej przychodzić. Myślę, że jest samotna i byłoby jej przyjemnie mieć je przy sobie. Ciebie też.

– To już lepszy pomysł – stwierdziła.

– Hej – zwrócił się do bliźniąt. – Co wy na to, żeby pojeździć na Sally?

Dwie pary czarnych oczu patrzyły wszędzie, po całym ganku i podwórku, tylko nie w jego stronę.

– Idziemy czy jedziemy? – zapytał ponownie.

Dzieci spojrzały na hawka, a potem odwróciły wzrok.

– Przejdźmy się – zaproponowała Luce. – Jest ładna pogoda, ale one zawsze są zadowolone, gdy padają z nóg pod koniec dnia. Ja zresztą też.

Kiedy ruszyli drogą z dwiema koleinami, dzieci wybiegły naprzód. Stubblefield i Luce szli po obu stronach porośniętego chwastami garbu.

– Dobrze, słoik miodu, a któregoś dnia w przyszłości może kino? Bilet, popcorn i cola. Nic więcej.

– O tym nie było mowy. Ale czemu nie? Jeśli Maddie popilnuje dzieci przez kilka godzin.

– W sobotnie wieczory jest podwójny seans. Potwór z Czarnej Laguny i coś z wielkim pająkiem czy jaszczurką w tytule.

– Kiedyś mieszkałam obok kina. Oglądałam wszystkie filmy o potworach.

– Od piątku grają Światło na piazza.

– Książka mi się podobała. Więc może.

Sally stała na trzech nogach, bo Maddie oskrobywała jej zadnie kopyto. Skończywszy, wytarła brud o ogrodzenie. Wyprostowała się, stękając z głębi przepony jak stary mężczyzna, który wstaje z fotela. Dolores i Frank podeszli do Sally tak blisko, że o mało nie nastąpiła im na stopy. Trzymali szczotki i już nie mogli się doczekać, kiedy zaczną ją czesać.

Maddie usiłowała ich nauczyć, żeby czesali zgodnie z włosiem. Oboje szorowali boki Sally, jakby oskrobywali ścianę przed malowaniem. Kuc, już przy mniejszych prowokacjach, od dwóch dziesięcioleci pozostawiał mnóstwo sińców na ramionach, udach, szyjach i głowach kowali, weterynarzy oraz innych, którzy zbyt uparcie próbowali narzucić mu derkę na grzbiet w zimną noc. Ale przy dzieciach stał spokojnie, z opuszczonym łbem, strzygąc uszami.

Maddie zawołała do Luce i Stubblefielda na ganku:

– Nawet jeśli wszyscy jesteście tacy niezdarni, Sally wam daruje!

Gdy zajmowali się kucem, zaśpiewała Back in the Saddle Again. Właściwie zanuciła,

bardziej żartując sama z sobą. Ale podczas refrenu, przy drugim „aj, aj, upi, jaj”, nieśmiało dołączyli się do niej Dolores i Frank. Śpiewali cienkimi, wysokimi głosikami, jak to dzieci, ale w doskonałej tonacji.

Maddie urwała.

– Nie wiedziałam, że wy dwoje umiecie śpiewać – powiedziała.

Dzieci zamilkły i wróciły do szcztokowania.

Kiedy doszły do zadu, Sally machnęła cienkim ogonem. Lekko muśnięte nim po twarzach, aż zatańczyły. Frank podniósł ręce na wysokość ramion, rozpościerając je niczym ptak skrzydła, jakby tylko wzniesienie się w powietrze mogło w tej chwili dopełnić jego szczęście.

Gdy Maddie się zorientowała, że Sally dłużej nie zniesie tych zabiegów, posadziła dzieci na jej grzbiecie, dała Dolores wodze i powiedziała powoli oraz wyraźnie:

– Nie ciągnij za nie. Niech opadają. Patrz, dokąd chcesz jechać, i ściskaj jej boki nogami. Pójdzie w tę stronę, jeśli będzie miała ochotę. Żeby skręcić wzdłuż płotu, patrz w lewo.

Dolores spojrzała na Maddie i obróciła głowę w prawo, jakby chciała obejrzeć się przez ramię, na Franka.

– W to drugie lewo – powiedziała Maddie.

Dolores jednak wciąż spoglądała za siebie na Franka, więc Maddie pstryknęła palcami, żeby zwrócić jej uwagę, i skinęła głową, wskazując na lewo.

Dziewczynka popatrzyła tam, gdzie trzeba, a Frank dźgnął piętami boki kucyka, który powoli ruszył przed siebie wzdłuż ogrodzenia.

Maddie zdjęła łańcuch przy bramie, weszła na ganek i demonstracyjnie usiadła między Stubblefieldem a Luce, podciągając kolana niemal pod brodę, tak że bawełniana sukienka w drobne wzorki napięła się na jej kościstych stawach. Wszyscy troje patrzyli z zaciekawieniem na dzieci i kuca. Nawłoc, wernonia i sadziec plamisty wyrastały aż nad ogrodzenie, jesienne barwy ich kwiatów komponowały się dobrze z sobą i z czystym błękitnym niebem.

Dzieci zatoczyły koło i wróciły do bramy, a kiedy Sally zwolniła, Frank dźgnął ją, żeby szła szybciej. Zwierzę przez chwilę próbowało biec, ale gdy bliźnięta zaczęły podskakiwać na jego grzbiecie, zwolniło trochę, strzygąc uszami. I tak wykonali kolejne kółko. Był to wielki sukces. Jakby Dolores i Frank nie musieli zostać ponurymi dzikusami, którzy zniszczą świat.

– Co za pokrzepiający widok – zauważyła Luce.

Maddie była świadkiem czegoś, co rzadko zdarzało jej się oglądać: niewymuszonego uśmiechu na twarzy Luce. Potem przeniosła wzrok na Stubblefielda, który patrzył na Luce i także się uśmiechał.

– Jak długo ją znasz? – zapytała go.

– Dwa albo trzy tygodnie – szybko odpowiedziała Luce. Pokazała trzy palce. Na wypadek, gdyby Stubblefield zamierzał opowiedzieć o swoich nastoletnich wspomnieniach.

– Całe trzy tygodnie? – zdziwiła się Maddie. Powiedziała to teatralnym tonem, na użytek widowni obecnej tylko w jej głowie, chcąc wyrazić co najmniej kilka sugestii jednocześnie.

– Uhm – potwierdził Stubblefield.

– Kiedyś dobrze znałam twoją rodzinę. Gdy byłam mała, widywałam jednego ze Stubblefieldów, który miał w nodze pocisk Minięgo, pamiątkę z Antietam. Stary brodaty mężczyzna. Pozwalał dotykać swojej blizny. Można było wyczuć przemieszczającą się pod skórą kulę.

– Hm. Więc pewnie знаła pani też kowboja? – zapytał Stubblefield.

– Pamiętam go. Chodziliśmy razem do szkoły. Był ode mnie kilka lat starszy. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Jako dorosły przez całe dni siedział na ganku, słuchał płyt i pił. Cholernie zabawny w rozmowie, ale nie można było na niego liczyć w żadnej sprawie. Zamiast pytać go o godzinę, lepiej było podnieść głowę i sprawdzić, gdzie jest słońce.

– Dziadek mówił, że jestem do niego bardzo podobny.

Maddie przyjrzała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Może i tak – odparła. – Też był wysokim przystojnym głupcem.

Luce trzepnęła ją w ramię i syknęła:

– Daj spokój.

Maddie odwróciła się do niej i chciała coś powiedzieć, ale zauważyła wyraz twarzy Luce i zamilkła. Obróciła więc głowę w stronę Stubblefielda i powiedziała szeptem:

– Jeśli ją skrzywdzisz, to ja się z tobą policzę.

Stubblefield jechał powoli wąską drogą prowadzącą na farmę. Zardzewiały drut kolczasty, który ciągnął się po obu jej stronach, opadał łukiem między szarymi słupami z szarańczyny, opasując porośnięte chwastami pastwiska bez krów. Minął nieużywaną stodołę i zaparkował przed czarnymi drzwiami domostwa z poprzedniego wieku. Rzeźbione ornamenty na szczytach i biała farba odchodząca od desek szalunkowych płatami tak dużymi jak motyle skrzydła. Już miał otworzyć drzwi po swojej stronie, gdy Luce powiedziała:

– Nie. Zostań w samochodzie albo zrób sobie półgodzinną przejażdżkę po okolicy.

Stubblefield uniósł rękę.

– Jak chcesz. Nie będę miał urazy.

Nie była to randka, Luce po prostu musiała się przejechać. Choć jadąc po nią, Stubblefield zatrzymał się przy straganie obok drogi i kupił słoik miodu. Wręczył go jej, kiedy już odwieźli dzieci do Maddie, i powiedział:

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to chyba było na liście dozwolonych prezentów.

Luce podniosła słoik do światła, żeby przyjrzeć się nóżkom i skrzydełkom, zawieszonym w gęstej mętnej cieczy prawie koloru kawy i ledwie widocznemu blademu plastrowi miodu. Stubblefield zauważył:

– Coraz bardziej dochodzę do przekonania, że to wygląda jak dziecko o głowie kota w słoju z brudnym formaldehydem, pokazywane na jarmarcznym pokazie osobliwości.

– Uhm, może. Ale dzięki.

Teraz Luce zaczęła się nad sobą zastanawiać. Popołudnie bez dzieci, a jej zachciało się odwiedzić swoje dawne nauczycielki ze szkoły podstawowej. Wiedziała, że Stubblefield zachodzi w głowę po co. Ale chyba czuł, że jej na tym zależy, bo zgodził się bez żadnych pytań. Wsunął rękę pod fotel i spośród kilku książek na chybił trafił wyjął jedną. Franny i Zooey, z oblepionym paprochami karmelowym cukierkiem Life Saver, przyklejonym do białej okładki.

– Nie spiesz się – powiedział.

Luce weszła po trzech stopniach prowadzących do tylnych drzwi, dwukrotnie zastukała środkowym palcem o framugę, a następnie zniknęła za siatką w mrocznej kuchni.

Nauczycielki były kościstymi siostrami w pewnym wieku, o bystrych oczach i przenikliwych umysłach. Oczytanymi w twórczości mądrych Anglików z poprzednich stuleci, a także kilku starszych amerykańskich pisarzy.

Podczas gdy ich koleżanki przeważnie przedstawiały się jako „panny”, stwarzając wrażenie, że sprzysięgły się przeciwko mężczyznom, składając śluby czystości niczym zakonnice, te trzy buntowniczkę zawsze były „paniami”. Wspólnie wymyśliły, jak podejść do małżeństwa, żeby ponieść w nim jak najmniej szkód. Ich mężowie mieszkali w odległości dwóch godzin jazdy, w trzech różnych kierunkach, odpowiadających na tarczy kompasu trzem szczodrze ukrojonym kawałkom placka, i żaden z nich nie przyjeżdżał z wizytą, chyba że przy szczególnej okazji, jakby była to otoczona drutem kolczastym strefa zdemobilizowana, której nie zamierzali naruszać. Nikt nie wiedział dokładnie, czym się ci panowie zajmowali. W piątkowe popołudnia o trzeciej siostry wsiadały do swoich hudsonów, które różniły się tylko kolorem lakieru, i jechały do mężów na weekend. W większe święta na trochę dłuższy czas, a latem na dwa–trzy tygodnie. Nie miały własnych dzieci, ale poświęciły kilkadziesiąt lat swojego życia cudzym.

Jedna z sióstr wprowadziła Luce do saloniku, a druga nasypała kawy do kafeterki i postawiła ją na kuchence. Trzecia, najmłodsza, siedziała przy oknie i czytała. Luce nie była u nich od dzieciństwa, ale odniosła wrażenie, że nawet słoik z cukierkami stoi na tym samym miejscu co kiedyś. Było to miejsce, w którym na oparciach obitych purpurowym aksamitem krzesel znajdowały się pokrowce, a siedziska były wytarte do jasnoszarej osnowy od pośladek, które spoczywały na nich przez dziesięciolecia, jeszcze od czasów prezydentury Granta. Wszędzie stały półki z książkami, skórzane miltony, burnsy i tennysy, z wyklejkami zapisanymi pięknym okrągłym pismem nieżyjących już ludzi. Jedna z sióstr potrafiła wydeklować *Thanatopsis*, nie opuszczając ani słowa, druga tak samo *Snowbound*, a trzecia mogła z przekonaniem wyrecytować *Maskę Śmierci Szkarłatnej*, choć nie był to utwór wierszowany i dlatego podejrzewano ją o parafrazowanie. Łatwo więc było wyobrazić sobie u nich odświętne styczniowe wieczory, z ogniem trzaskającym na kominku i wielką misą kukurydzy ugotowanej z podłużnym plastrem bekonu.

Luce w pierwszych klasach uczyły wszystkie trzy siostry, a że były do siebie podobne, zlały jej się w pamięci. Poza tym każda bardzo ją chwaliła i zachęcała do nauki jak żaden inny dorosły, ani wcześniej, ani potem. Każda pod koniec roku szkolnego ujmowała ją za ramiona, patrzyła jej w oczy i mówiła: „Możesz być kim tylko zechcesz”.

Dziwnie było teraz stanąć przed nimi jako osoba dorosła, będąc tym, kim była.

Kiedy kawa się zaparzyła, siostry usiadły w rzędzie na kanapie naprzeciwko Luce. Wszystkie jednym haustem opróżniły po pół filiżanki, a potem zapaliły papierosy. Każda innej marki.

Kofeina wprawiła ciało nienawykłej do niej Luce w drzenie i spowodowała zamęt w jej myślach.

Wypaliła więc kilka słów, które sobie przygotowała:

– Dużo o was myślę i o czasach, gdy byłam w szkole, o waszym podejściu do dzieci. Mam teraz u siebie córeczkę i synka Lily. Moja zwariowana matka to żaden przykład. Nie myślcie jednak, że cofając się pamięcią, robię z was jakieś słodkie pańcie. Byłyście wymagające. Wywołując nas do odpowiedzi, kazałyście nam zrobić krok do przodu i mówić, co mamy do powiedzenia. Te dzieci nie są łatwe.

Najstarsza siostra zaśmiała się chrapliwym śmiechem palacza, nie do odróżnienia od gruźliczego kaszlu.

– Chcesz, abyśmy ci powiedziały, jak być matką? Jeśli tak, to trafiłaś pod zły adres.

A potem wszystkie zaczęły mówić jednocześnie, jedna przez drugą, kończąc nawzajem

wypowiadane przez siebie zdania, jak to miały w zwyczaju od półwiecza. Ich głosy brzmiały tak, jakby się kłóciły, choć dowodziły tego samego.

Cała rzecz w tym, że być matką a być nauczycielką to wielka różnica. Nauczyciel zajmuje się dziećmi po sześć godzin dziennie przez dziewięć miesięcy w roku. I ma pod opieką trzydzieścioro jednocześnie. Stara się, jak może, i tego samego oczekuje od nich. A potem wysyła je do następnej klasy i ma nadzieję, że z kolejną gromadą pójdzie mu lepiej.

– W jakim stopniu odpowiada to twojej sytuacji? – zapytała najmłodsza siostra.

Luce miała wrażenie, jakby znalazła się w środku jednej z dawnych brutalnych rozgrywek szkolnych.

– W żadnym? – odparła.

– Zła odpowiedź – odezwała się najstarsza. – A przynajmniej niekompletna.

Luce się zastanowiła.

– To nie to samo, poza tym, że się staram i tego samego oczekuję od nich?

– Uhm – odparła najmłodsza.

Włączyła się średnia siostra:

– Mimo to szybko się uczysz.

Luce miała ochotę podziękować i wyjść. Ale po chwili powiedziała:

– Hm, wszystko dobrze, tylko to niewiele daje, gdy wstaję rano i nie wiem, od czego zacząć. Albo kiedy kładę się do łóżka z poczuciem, że je zawiodłam. One z sobą walczą, podpalają wszystko, co się tylko da, mordują kurczęta. Czasami zachowują się strasznie, ale tak naprawdę boją się całego świata. Coś jest z nimi nie tak i myślę, że mąż Lily je skrzywdził. Nie pozwalają, żebym je wykapała. Nie lubią, gdy się je dotyka, i same też nikogo nie dotykają. Nie wiem, czy można im pomóc. A jeśli tak, to na ile.

Najmłodsza siostra powiedziała:

– Myślisz, że nigdy nie miałyśmy do czynienia z dzieckiem, które ktoś wykorzystał, bo było słabsze? I nie można było tego dowieść?

Najstarsza dodała:

– To nigdy się nie skończy.

Środkowa, ta w połyskujących okularach i z fiołkami w klapie zakietu, która uczyła Luce w pierwszej klasie, pochyliła się, żeby odstawić pustą filiżankę na spodek.

– Kiedy byłaś mała – odezwała się – nie bałaś się niczego. To od razu zwróciło moją uwagę. Pewnie dlatego że sama nigdy taka nie byłam. Pierwszego dnia nowego roku szkolnego, nawet teraz, patrzę na te wszystkie drobne buzie, z których każda czegoś ode mnie potrzebuje, i wręcz brakuje mi tchu, gdy myślę o tych stu osiemdziesięciu dniach, które mnie czekają. Nauczyłam się pamiętać, że wśród nich będą dobre i złe. Dla mnie i dla nich. I że do wiosny będziemy musieli przebyć razem wiele rzek.

Kiedy Luce wróciła do samochodu, Stubblefield podniósł książkę, którą czytał.

– Czterdzieści stron i czuję spokój z lekką melancholią. To jak medytacje, gdybym miał na nie czas.

Wsiadłszy do wozu, Luce poczuła, że odrobinę poprawił jej się nastrój. Miała ochotę jeszcze się przejechać po bocznych drogach i przedłużyć podróż powrotną do domu.

– Dzieciom nic się u Maddie nie stanie – powiedziała. – Ona mówi do nich w szczególny sposób, jak do Sally. Jakby wszyscy mieli się dobrze i potrzeba im było tylko dużego obiadu we

wspólnym gronie. Dziś miała być zupa z białej fasoli z dużą ilością szynki i chleb kukurydziany.

Stubblefield zjechał poniżej tamy, a potem podążył doliną wzdłuż rzeki. Na terenach uprawnych kończono letnie prace rolne, kukurydza na paszę czekała już, żeby ją ścinać, a szerokie liście tytoniu, powiązane w pęki, wisiały w otwartych stodołach i schły aż do aukcji. Długie rzędy kabaczków, z liśćmi poznaczonymi żyłkami jak dłoń starego człowieka. Za polami porośnięte lasem stoki wiodące w górę, ku szczytom i grzbietom górskim, listowie przechodzące z zieleni w żółć, pomarańcz i czerwień.

Luce spojrzała na Stubblefielda, a potem znowu przeniosła wzrok za okno.

– Staram się pomóc tym dzieciom dojść do siebie – powiedziała. – Zaczęły mówić, gdy miały dwa czy trzy lata. Lily pisała mi w listach, jakie słowa już znają. Potem przestały i teraz zaczynają od nowa. Czytam im, zabieram je na spacer i próbuję opowiadać o miejscu, w którym mieszkają. O kwiatach i historii. O muzyce. Staram się nad nimi nie rozczulać. One chyba tego nie chcą i wydaje mi się, że to nie byłoby dla nich dobre. Gdybym zaczęła się nad nimi użalać i rozpieszczać je, niczego od nich nie oczekując, zostałyby takie na zawsze. Może zresztą i tak zostaną. Zabiły kilka kogutów, co dla małego dziecka jest trudnym przedsięwzięciem i wymaga siły. Spójrz na dużego koguta i wyobraź sobie, że masz niespełna metr wzrostu. Jeden z tych półdzikich drani, sięgający ci do piersi, puszy pióra, łypie okiem i zamierza się na ciebie tym swoim żółtym dziobem. To zwierzę potrafiłoby cię wychłostać skrzydłami, podrapać, zranić dziobem w twarz. Nie wiem, jak tego dokonały, nie mając żadnej broni, może z wyjątkiem patyków.

– Więc je podziwiasz? – zapytał Stubblefield.

– Próbuję tylko dowieść, że robią postępy. Po tym incydencie z podpaleniem rogu chaty, który na szczęście tylko się osmalił, już tak się nie rwą do ognia.

– Uwzględniłaś dom mojego dziadka czy nie?

– To tylko możliwość, a nie potwierdzony fakt – zastrzegła.

– Ot, po prostu ciemnografitowa strefa mroku?

– Cóż, skoro przybierasz sarkastyczny ton, zrobiły to, oczywiście. Tylko tego nie widziałam.

A ty zresztą przyjąłeś to całkiem spokojnie.

– Miło, że zauważyłaś.

Kiedy skręcili w bitą drogę, która prowadziła wokół jeziora, Luce wzięła go za rękę, pottrzymała chwilę, a potem puściła jak trzynastolatka na próbę podczas pierwszej randki. Miała nadzieję, że Stubblefield ma dość rozumu, aby nie wyobrazać sobie nie wiadomo czego, chyba że na własny użytek.

Szarówka. Lit zdążył włączyć światła, gdy zauważył biegnącego po drugiej stronie drogi wieprza; zwierzę pędziło przed siebie rozpaczliwie, z opuszczonym łbem, z którego tryskała czarna krew. Na białej linii po przeciwległej stronie chodnika ugięły się pod nim nogi i sunąc ryjem po ziemi, wpadło w zarośla.

– Co to było, do cholery? – zapytał Bud.

Lit zahamował i wysiadł z samochodu. W oddali jacyś ludzie wrzeszczeli niczym biali podczas szarży Picketta czy innej straszliwej historycznej pomyłki.

Lit spojrział na leżące zwierzę. Ucieczka z rzeźni. Na pewno. Już nie wieprz, ale jeszcze nie wieprzowina.

Bud otworzył drzwi wozu, żeby wysiąść, ale Lit nakazał:

– Siedź tutaj. To zajmie tylko minutę.

Przez otwarte drzwi wsadził rękę do samochodu i wyłączył światła, ale nie zgasił silnika. Postawił butelkę z piwem na dachu, pogrzebał w pudełku z porzewiałymi narzędziami i wyjął siekiere. Podeszedł do wieprza i szturchnął go czubkiem buta. Martwa słonina.

Dochodzące z lasu pijackie okrzyki były coraz bliżej. Słysząc było: „A niech mnie!” i inne wyrazy zdumienia.

Lit pracował siekiere, jakby rąbał zwalone drzewo na kawałki i je rozłupywał. Ale tylko na tyle, żeby się dostać do szynek. Chrzanić resztę. Chłopskie jedzenie: flaki, uszy, słoninę i ryj. Cały ten salceson. Chwycił szynki i rzucił je razem z zakrwawioną siekiere na platformę, a następnie odjechał, wciąż ze zgaszonymi światłami, zostawiając prostaczkom zagadkę do rozwiązania, gdy za chwilę wyjdą z lasu w poszukiwaniu zbiegłego wieprza.

Za pierwszym zakrętem dodał gazu i zapomniana, do połowy jeszcze pełna butelka piwa spadła z dachu wozu na jezdnię, rozbijając się i rozlewając zawartość. Bud wystawił swoją, już pustą, przez okno i rzucił za samochód, żeby dołączyła do koleżanki wśród wesołego brzęku szkła.

Nocna przejazdka. Także tej nocy, jak ostatnio podczas wielu innych, picie piwa i słuchanie radia, dzielenie się działką, nadziejami i marzeniami. Lampki na desce rozdzielczej rzucające zielonawy blask na ich twarze, camele wiszące w kącikach ust, chyba że akurat strzepywali popiół za boczne okienka.

Ujechali już szmat drogi od miasta. Wśród nocy barwy indygo nie widać było żadnych światel oprócz ich własnych, od reflektorów, oraz małych białych krążków na niebie, które dzięki udanej kombinacji prochów trochę przypominały koła ogniste, jeśli patrzyło się na nie przez przednią szybę dłuższą chwilę. Lit jechał szybko, kierował nadgarstkiem prawej ręki, a lewy łokieć trzymał w otwartym oknie. Do środka wpadało chłodne wilgotne górskie powietrze, ale równoważyło je ciepło bijące od ściany grodziowej. Na ciemnej jezdni leżały pierwsze żółte liście topoli, przypominające odwrócone dłonie.

Wąska droga pięła się w górę wzdłuż spienionego potoku, wijąc się razem z nim. Po jednym

ostrym zakręcie pojawiał się drugi, w rytmie przesunąć ciężaru samochodu, gdy dzięki pracy amortyzatorów przykucał na jezdni po wewnętrznej stronie i prawie odrywał się od niej po zewnętrznej. Nie więcej niż wzruszenie ramion tu czy tam. Pokonywali wąskie jednopasmowe drewniane mosty, z pomalowanymi srebrną metaliczną farbą dźwigarami, żeby stworzyć uspokajające wrażenie stali. Przejeżdżali przez tunele z drzew, sklepiających się nad ich głowami, drogą tak wąską, że gdy spotkały się nadjeżdżające z przeciwka dwa samochody, jechały prawymi kołami po trawie. Ale o tej porze nocy nie stanowiło to problemu.

Jeszcze dwa zakręty i spomiędzy krętych górskich dróg wyłonił się przed nimi cel podróży. Nienormalnie prosty odcinek, dłuższy niż zasięg samochodowych reflektorów. Jakiś filantrop z pędzlem odmierzył pół kilometra i oznaczył ten odcinek na asfalcie, malując na jego początku i końcu nierówne białe linie. A dalej ledwie tyle miejsca, żeby wyhamować przed następnym ostrym zakrętem w lewo.

Lit zatrzymał się na linii, zredukował bieg i wcisnął gaz do dechy. Samochód przysiadł na tylnych kołach i zawył, a następnie wyrwał się do przodu, zostawiając przy kolejnych zmianach biegów ślady gumy na jezdni. Na czwartym nawet zaśpiewał, a wtedy czerwona strzałka prędkościomierza wychyliła się za setkę. Podczas jazdy żaden z mężczyzn się odezwał się ani słowem.

Kiedy przejechali przez linię końcową, Bud powiedział:

– Doliczyłem do trzynastu.

– Było dwanaście – odparł Lit.

O północy, w chłodzie i mgle, spotkali kilkunastu smarkaczy ze szkoły średniej, którzy popijali piwo i tańczyli do muzyki z radia samochodowego, grzejąc się przy strzelających płomieniach ogniska z opon samochodowych na dziesiątym greenie pola golfowego, w samym dołku. Bud został w samochodzie, żeby obserwować epicką rozprawę. Lit natomiast podszedł do ognia, żeby ogrzać dłonie, i rzucił „cześć” do wysokiej szczupłej blondynki, jakby ją znał. Potem wyjął kilka piw z przenośnej lodówki dzieciaków i poinformował ich, że to, co robią, jest nielegalne. Podpada pod wtargnięcie i wandalizm, jeśli nie pod podpalenie. No i konsumpcja alkoholu w miejscu publicznym, w większości przez nieletnich. I lepiej, żeby żadne z nich nie zaczęło pyskować albo nie próbowało uciec, bo dojdzie do tego jeszcze stawianie oporu podczas aresztowania. Słowem, wpadli w niezłe szambo.

Na koniec zapytał jednak:

– Ale czy wiecie, co to są „okoliczności łagodzące”? Jeśli ktoś zna odpowiedź, niech podniesie rękę. – Ponieważ nikt się nie odezwał, ciągnął: – W tej chwili to znaczy: każdy siwowłosy golfiarz, który kiedykolwiek grał na tym greenie, oddałby wszystko, co ma, żeby być teraz na waszym miejscu. Powiem więc tylko dobranoc. Powinienem jeszcze dodać, że jutro idziecie do szkoły, ale co tam, do cholery.

Wsiadł do radiowozu, podał Budowi drugie piwo i ruszył w drogę.

Później posiedzieli chwilę za Zajazdem i dopijali piwo, bo potem zamierzali wejść do środka, żeby strzelić sobie następną kolejkę. Nagle, zanim Lit go zauważył, do samochodu podszedł potężny pijany facet, z twarzą jak jedna z surowych szynek, które mieli w samochodzie, i wetknął głowę przez okno po jego stronie, wrzeszcząc wściekle.

– Pamiętasz mnie?! Spałowałeś mnie, ty sukinsynu! I to za nic, tylko za to, że się odszczeknąłem, gdy chciałeś mnie aresztować za włamanie i naruszenie własności. A rąbnąłem

jedynie stary telewizor.

– Nie chciałem cię aresztować – sprostował Lit. – Ja cię aresztowałem.

– Do tej pory czasami nie mam czucia w palcach. Ale teraz nie jesteś na służbie, nie masz na sobie munduru, co znaczy, że nie różnisz się niczym od wszystkich innych obywateli, ty małe ścierwo. Wywlekę cię za tyłek z tego wozu i rozniosę po całym parkingu!

Szybkim ruchem, tak że nawet Bud się nie zorientował, co jest grane, Lit zakręcił szybę, przycinając szyję mężczyzny i unieruchamiając go, a następnie zaczął walić go po twarzy, i to tak szybko, że Bud nie nadązał z liczeniem ciosów. Potem Lit odkręcił szybę i pijak osunął się na ziemię.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Facet wstał i choć po brodzie ciekła mu krew, chciał ponownie stanąć do walki. Zachowywał się jak na meczu bokserskim; przyjął postawę, przygotowując się do prawych sierpowych i haków, pieprzony sportowiec. Jakby obok niego stał sędzia w pasiastej koszulce i obserwował faule.

Lit, mniej romantyczny, wyjął spod przedniego fotela oponę, zamachnął się nią równolegle do ziemi i zakończył sprawę.

Mężczyzna leżał na żwirze, zwinięty w kłębek, i trzymał się za strzaskane kolano. Przeklinając jednakowo i Lita, i Boga.

– Możesz mieć pretensje tylko siebie – skwitował Lit. – Sam się prosiłeś. Nie musiałeś, ale chciałeś. Wolna wola to przekleństwo.

Bójki stanowiły element tej roboty. Bud był już świadkiem kilku. Jakiś nawalony idiota zaczyna mieć wrażenie, że może stawić czoło prawu, jak ten zbuntowany dziadek. Oglądanie skutków było bardzo pouczające.

Po kąpieli w jeziorze Lit wyglądał na sześćdziesiąt kilo żywej wagi. Jednak żylasty i nerwowy, był zdumiewająco szybki. Kiedy przyszło do walki wręcz, bardzo skutecznie posługiwał się swoimi małymi pięściami, waląc w śledzionę, która potrafiła brzydko pęknąć. To, co robiły jego ręce, nie miało związku z twarzą, która pozostawała bez wyrazu jak dno pustego kubła. Podczas bójki mógł spływać potem, ale minę miał łagodną jak Jezus w aureoli, pomiędzy swoimi owieczkami. Pijacy i przestępcy próbowali uderzać go głową albo ścierali się z nim nos w nos, miotając brzydkie słowa, ale on miał taki wyraz oczu, jakby widział przed sobą inny, zielony, sielski świat.

Stubblefield nie mógł uwierzyć, co się stało z jego życiem. To było tak, jakby podłączono go do maszyny czasu albo podano mu nowy narkotyk, dzięki czemu cofnął się do najlepszego okresu w swoim życiu, niespodziewanie otrzymując nową szansę naprawienia tego wszystkiego, co zawałił. Tym razem mógł postępować śmieiej, inteligentniej, mądrzej, a nie jak głupi nastolatek, na przemian dumny, onieśmielony albo zalekniony. I poznawszy lepiej życie, przeczytawszy więcej książek, nasłuchawszy się muzyki, działać skuteczniej. Ale jak połączyć mentalność siedemnastolatka z zaskakującą terażniejszością?

Stubblefield postanowił wejść w rolę dziennikarza przeprowadzającego wywiad. Gdy szli z dziećmi na spacer czy siedzieli razem na ganku, uzyskiwał od Luce fragmentaryczne informacje o jej przeszłości z zadziwiającą delikatnością, zadziwiającą przynajmniej dla niego samego. Patrzył i słuchał uważnie, zadawał pytania, ale tylko do pewnej granicy, poza którą nie chciał wykraczać, bo wiedział, że ją spłoszy. Przeważnie trzeba ją było nakłaniać do zwierzeń, ale czasami udawało się coś wyciągnąć. Czuł się jak dziennikarz WPA z okresu wielkiego kryzysu, który przeprowadza wywiad z powściągliwym dziewięćdziesięcioletkiem na temat straszliwej powodzi z 1873 roku, a jednocześnie na wpół legendarnego wyścigu statkiem rzecznym, kiedy to wybuchł kocioł i dziesiątki ludzi uległo poparzeniu parą. Poznawał fragment jednej historii, a potem fragment drugiej i nigdy nie był do końca pewny, na ile można w nie wierzyć.

Kiedy Stubblefield spytał, dlaczego Luce podjęła się opieki nad Chatą, odparła, że chciała się wynieść z miasteczka, a nad jeziorem jest tak pięknie. Stary Stubblefield był dla niej dobry i wydawał się ciekawym człowiekiem jako pracodawca, o ile to, co robi, można nazwać pracą.

I na tym byłby koniec, gdyby Stubblefield nie drążył dalej. Kiedy wrócił do tego tematu, Luce powiedziała, że zdecydowała się na tę pracę w chwili, gdy postanowiła przestać zawracać sobie głowę nadziejami, lękami i pragnieniami. One nie pomagają w codziennym życiu. Trzeba żyć z dnia na dzień i nie pozwalać innym się wtrącać. Nie odzywać się i liczyć, że wszyscy pozostali zrobią to samo. Trudzić się przez całe tygodnie, podczas których nic się nie dzieje, a jedyne, co się zmienia, to pogoda. Zresztą pogoda to całkiem ciekawa rozrywka, zajmuje ludzi od tysięcy lat. I nie tylko sama pogoda, ale także zmiany pór roku. Należy nauczyć się wyczuwać zjawiska długoterminowe, a nie skupiać na poszczególnych dniach. Przyływy i odpływy, wzrosty i spadki, ich długi powolny rytm, w którym mają swój udział drobiny – zwierzęta, warzywa, minerały – a nie tylko temperatura i długość dnia. To, na przykład, jak w ciągu całego roku, miesiąc po miesiącu, zmieniają się rododendrony. Twierdziła, że zaobserwowała i poznała setki takich cząstek miejscowego świata. Powiedziała: „Wyobraź sobie, że zatrzymujesz w głowie każdy taki element, całe to miejsce, wiesz nawet, co każdego miesiąca o każdej porze roku robią salamandry”.

Przytknęła czubki palców do skroni i szepnęła: „Bum!”.

A potem rozstawiła palce i uniosła ręce, pokazując wybuch.

Kiedy Stubblefield zapytał o próżność – czasy, gdy jako cheerleaderka brała udział

w konkursach piękności – okazała się zadziwiająco szczerą. Teraz jest tak piękna, jak chce, zwłaszcza że uroda tylko ściągą na człowieka kłopoty. Nie maluje się, nigdy, i przez wiele dni nawet nie spogląda do lustra. Sama obcina sobie włosy, bo tak jest łatwiej i taniej. Kiedy sięgają już do ramion, ciacha końcówki. Stwierdziła: „Tak wyglądają całkiem dobrze. Może nie jest to modna fryzura, ale stylowa, zwłaszcza jeśli się spojrzy z pewnej perspektywy na historię ludzkich uczesań”.

Gdy jednak patrzy w lustro, uważa, że wciąż jest całkiem ładna, biorąc pod uwagę kryteria stosowane przez większość ludzi. Ale to z kolei rodzi problemy. Uroda nie jest żadnym osiągnięciem i z czasem przemija. Byłoby więc błędem przykładać do niej zbyt dużą wagę. I w tym punkcie spojrzała Stubblefieldowi w oczy.

Jeśli zaś chodzi o ubrania, to tylko w dwóch sklepach w mieście można kupić damską garderobę, na którą przeważnie jej nie stać. A zakład krawiecki – z belami materiałów leżącymi jedna na drugiej prawie aż do sufitu, półprzezroczystymi wykrojami Butterick and Simplicity w kopertach z optymistycznymi pastelowymi ilustracjami przedstawiającymi kobiety o wąskich taliach, przybornikami zawierającymi dziurkowane naporstki i błyszczące igły za celofanowymi okienkami przegródek, white dwa razy w matowy czarny papier – dla Luce mógłby w ogóle nie istnieć. Potrafiła przyszyć guzik, jeśli się urwał, i tyle umiejętności krawieckich jej wystarczało.

Ze względu na brak pieniędzy nosi więc stare ciuchy, czasami zestawiając je dość zaskakująco. Latem są to džinsy, mokasyny, różowe albo czarne rybaczkki, biała albo niebieska koszula, białe tenisówki albo sfatygowane baleriny jeszcze z czasów, gdy nie mieszkała w Chacie. Jesienią – obszerne golfy i czarne botki do kostek, ze spiczastymi czubkami. Wszystko zawsze czyste i wyprasowane, więc trudno się zorientować, czy ma jedną taką rzecz czy kilkanaście. To wzbudziło jego zachwyt. Wyobraził sobie, że jej strój zależy od grafiku dyktowanego przez jakieś drobne cezury, wyznaczające koniec jednej pory roku i początek drugiej. Jak kwitnienie wernonii albo szczególny odcień zachodzącego słońca.

Kiedy Stubblefield spytał o pieniądze, odparła jedynie, że sobie radzi. Nie miała ochoty o nich rozmawiać, tak jak o religii czy polityce.

W końcu jednak zdołał ją nakłonić, żeby powiedziała coś o swoim uposażeniu i ograniczeniach, jakie stwarza. To bardzo miłe ze strony starego Stubblefielda, że używał takiego subtelного określenia – stwierdziła. Potem z coraz większym entuzjazmem zaczęła opowiadać, jak czasami sobie dorabia, sprzedając krzemienie albo gliniane cybuchy fajek znajdowane wiosną na zaoranych polach i przez cały okrągły rok po ulewnych deszczach. Groty strzał, ostrza dzid i skrobaki z poprzedniego świata. W cybuchu porządnej fajki często można znaleźć spalony tytoń i wyobrazić sobie, jak jej dawny właściciel pod koniec dnia zaciągą się dymem. Kupują je od niej przydrożne sklepy dla turystów, razem z korzeniami żeń-szenia. Sprzedają to wszystkim turystom, a korzenie przeważnie są wysyłane statkami na drugą stronę świata, do Chin, jak w poprzednich stuleciach. „Pomagają na męskie sprawy” – wyjaśniła.

Próbowała też dla pieniędzy uprawiać tytoń, ale jej poletko było tak małe, że dało się splunąć na drugą jego stronę, bo na większe nie dostała pozwolenia od władz. Przyjechał jakiś facet z chłopcem i wymierzył je taśmą mierniczą co do stopy kwadratowej. Po całym lecie ciężkiej pracy z trudem wychodziła na swoje, więc po jakimś czasie zrezygnowała z upraw komercyjnych. W sezonie wędkarskim przy Chacie czasami zatrzymywali się wędkarze, którzy chcieli kupić przynęty: błystki, żywce, rosówki.

Stubblefield dowiedział się jednak, ku swojej konsternacji, że Luce nie potrzebuje pieniędzy. Nie chce większości tego, co można za nie kupić. Dobrze jej się żyje bez nowoczesnych udogodnień, bo pragnie rzeczy niematerialnych, których nie da się przeliczyć na pieniądze.

– Najbardziej chciałabym umieć naśladować wszystkie ptaki w okolicy – oświadczyła.

Wtedy Stubblefield pomyślał, że Luce bawi się jego kosztem.

– A telewizor? – zapytał. – To coś, co można kupić za pieniądze. Może spodobałby ci się Paladin. Też potrafi być ironiczny.

– Mam radio – odparła Luce.

Poza tym powiedziała, że człowiek z czasem zaczyna za bardzo pożądać rzeczy i potrzebuje ich coraz więcej. A ona próbuje, na ile to możliwe, uniezależnić się od pieniędzy. Bo podejmując pracę, aby je zarobić, w sposób nieunikniony sprzedaje się swój czas komuś, kto nisko go ceni. Ona natomiast ceni swój czas wysoko. A już najgorzej, jeśli popełnisz ten błąd i kupisz sobie samochód. Wtedy już wpadłeś. Różne opłaty: paliwo, ubezpieczenie, podatki. A jeśli chodzi o kupno domu, to podpisując papier, zrzekasz się reszty swojego życia i równie dobrze mógłbyś przystawić sobie pistolet do głowy. Ona już to wszystko sobie przemyślała. Nie pchaj się tam, gdzie mogą cię przechytrzyć. Ty ich przechytrz. Trzymaj się z dala od tego świństwa, jakim jest handel. Jak najmniej korzystaj z pieniędzy.

Jednak teorii ekonomicznej Luce zagroziły dzieci. Będą potrzebowały butów i ubrań, a jedzą jak wygłodniałe wilki. Jej ogród nie zaspokoi ich głodu przez trzy miesiące chłodów. W środku zimy skończą się ziemniaki, kabaczki, rzepa i dynia, a także te wszystkie kolorowe słoiki z pomidorami i fasolką szparagową. Pozostanie po nich puste miejsce na półkach w piwnicy.

A kiedy bliźnięta pójdą do szkoły, co wtedy? Państwo mówi, że muszą pójść, ale ona się boi, że mogłyby wyrzucić krzywdę innym dzieciom. Niepokoi ją, że zostaną zamknięte w żółtym autobusie, i to na długi czas, bo do miasteczka daleko. Cała ta benzyna w zbiorniku... Robią postępy, ale chyba niewystarczające.

Kiedy Stubblefield zapytał, czy doskwiera jej samotność – bo nie ma kontaktu ze światem, telefonu, w skrzynce pocztowej gniazdo założyły osy – odpowiedziała, że oczywiście, czasami czuje się samotna, ale życie na pustkowiu ma swoje zalety. Na przykład zwierzęta. To zdumiewające, że tak duże stworzenia, jak jelenie i niedźwiedzie przeżyły te krwawe czasy, gdy wystrzeliliśmy wszystko, co się tylko rusza. Bizony wyginęły jeszcze przed 1800 rokiem, wapiti niedługo później, wilki przed 1900, a pantery zaraz po drugiej wojnie światowej. Te daty pochodzą z książek; Maddie, stary Stubblefield i inni starsi ludzie je potwierdzają. W tych górach czy gdziekolwiek indziej w promieniu co najmniej półtora tysiąca kilometrów nie ostał się ani jeden osobnik. Zostały całkowicie wytępione. Raz tylko, gdy któregoś ranka ostatniej jesieni wyszła o wschodzie słońca na spacer, zauważyła na górnym krańcu łąki starego Stubblefielda jakieś duże i płowe zwierzę, które poruszało się na skraju lasu. Szło wzdłuż ogrodzenia i sięgało, razem z ogonem, od jednego słupka do drugiego, czyli, jak potem obliczyła, miało ze dwa i pół metra długości. I poruszało się zupełnie inaczej niż wielki pies czy jelen, płynnie, stąpając miękko po wyschniętej trawie, w świetle poranka mniej więcej tego samego koloru co ten kot. Gdyby nie była sama, nigdy by tamtej pantery nie zobaczyła. Miała nadzieję, że ten gatunek rozprzestrzeni się po świecie jak kręgi na powierzchni jeziora wokół wrzuconego do niego kamienia.

Kiedy wrócił do tematu samotności, Luce znowu zaczęła mówić o zaletach tego stanu. Wiele

przyjemności można znaleźć w uprawie warzyw. Jesienią zaś po niebie falami przelatują ptaki, a ich nawoływania przywodzą na myśl dalekie krainy, inne krajobrazy i dziwne tony ludowych piosenek Maddie, z czasów dawnej Ameryki. Albo tej współczesniejszej, zależnie od punktu widzenia. No i skazane na śmierć nowe pędy martwych kasztanowców, ze swoim smutkiem i odwagą. Nocą można wyjść na zewnątrz i z wyjątkiem miasteczka po drugiej stronie jeziora nie zobaczyć nigdzie żadnego światła, tylko zarysy czarnych gór na tle grafitowego nieba i migocące nad nimi gwiazdy. No, chyba że latem, gdy rybacy wypływają łódkami na jezioro i świecą dużymi latarkami w wodę, żeby zwabić okonie. Albo gdy po niebie przelatują te okropne satelity, przy których bledną gwiazdozbiory.

I nie można pominąć swobody, jaką daje życie w pojedynkę. Na przykład, kiedy w jej życiu nie było jeszcze bliźniąt, w letnie popołudnia leżała sobie na tropikalnym hamaku z nadwyżki wojskowej, za dolara pięćdziesiąt. Zalatywał stęchlizną, miał płócienny daszek i siatkę przeciwko moskitom po bokach. Gdy rozwiesiła go między dwiema choinami, przypominał mały namiot unoszący się w powietrzu. Kołysała się w nim, spoglądała na ogród i na las, jakby przymglone przez siatkę, i czytała książki z regału w salonie. Siedemnastolatka Bootha Tarkingtona. Tomiszczą starej Britanniki. Po południu na daszek spadał przelotny deszcz, typowy dla lasów strefy umiarkowanej, a potem znowu wychodziło słońce. Jesienią pod wieczór rozpalala na podwórku ognisko, siadała na krześle z pasiastym płóciennym oparciem i popijając stary importowany trunek z piwnicy, patrzyła, jak zapada noc. Jak słońce, księżyc i planety wędrują po tym samym łuku w stronę horyzontu.

Stubblefield znowu nawiązał do samotności, tym razem pod innym kątem.

– Więc jesteś szczęśliwa, gdy tak spacerujesz sama o świcie i dostrzegasz zwierzęta, które wyginęły? – zagadnął. – A wcześniej? Nie czujesz się samotna o drugiej w nocy?

Odparła, że tak, okropnie, nie będzie zaprzeczać. Czasami ma wrażenie, że zniknęła jakaś jej część, która kiedyś tu była. Ale wypracowała sobie tryb życia, więc rzadko się zastanawia, czy jest szczęśliwa, czy nie. Skupia się na codzienności. Ogród, kurczęta, drewno na opał, gotowanie. Cztery pory roku. Pod koniec lata ostatnie małe arbuzy i zmęczone krzaczki pomidorów, wydające jeszcze po jednym małym owocu, zanim się w sobie zamkną. Potem dynie przybierające jaskrawą barwę, ostatnie jabłka w starym sadzie, małe i niepozorne, ale o wyrazistym smaku, odpowiednio słodkie i cierpkie, aby nadawały się i do jedzenia, i do pieczenia. Jesienne kapusty ogrodowe, jeszcze małe, wyciągające się ku święcącemu już z ukosa słońcu i czekające na pierwsze mrozy, żeby się usamodzielić.

Kiedy Stubblefield zapytał ją o dzieciństwo, Luce nie miała ochoty opowiadać o niczym innym, tylko o chudej ciemnowłosej dziewczynce imieniem Myrtle z terenów plemiennych po drugiej stronie gór za miasteczkiem, która mówiła prawie wyłącznie w języku Czirokezów. Obie miały swobodę, nikt ich nie pilnował, i czasami spotykały się w górach. Luce z radością siedziała z nią przez cały dzień; nie odzywały się do siebie ani słowem, tylko się uśmiechały i budowały całe wioski z patyków na ziemi. Ale czasami Myrtle nie mogła zostać tak długo, bo musiała wracać do domu, żeby pomóc przy łuskaniu kukurydzy albo groszku czy innych pracach sezonowych. Jedyнным zdaniem, jakie potrafiła powiedzieć po angielsku, było: „Zabierajcie się, przekłete wieprze!”. Przydawało się to przede wszystkim wtedy, gdy świnie sąsiadów wyrwały się na wolność do ogrodu. Ale też bardzo zabawnie było od czasu do czasu pokrzyknąć coś takiego.

Stubblefield zapytał, jak było po odejściu Loli, i Luce odparła krótko: „Lepiej”. Pamiętała, że

niektórzy ludzie z miasteczka podejrzewali, nie mając zresztą żadnych dowodów, że Lolę zamordował Lit, który potem zakopał ją gdzieś w górach. Oczywiście, dzieci, które słyszały to od rodziców, zaczęły rozpowiadać o tym w szkole. Kiedy przyszła do domu przestraszona, z mnóstwem pytań, Lit nie bawił się w subtelności. Powiedział trzecioklasistce Luce i drugoklasistce Lily, że ich matka uciekła z facetem z jakiejś dziury na Florydzie, ale wkrótce została przez niego porzucona, więc teraz pewnie szwenda się po ulicach Tampy.

W dzieciństwie najdalej na zachód Luce była w stolicy hrabstwa, trzydzieści kilometrów od domu, ale oprócz marmurowego ratusza z pokrytą patyną miedzianą kopułą specjalnie nie różniła się ona od miasteczka nad jeziorem. No i było tam wszystkiego po dwa, były nawet dwa zakłady fryzjerskie z identycznymi szklanymi sztyldami o cylindrycznym kształcie, w których czerwono-białe wstęgi spiralnie dążyły do nieskończoności. Niestety, biblioteka była tylko jedna. Ale nawet przy tych podwójnych placówkach przejście ulicami miasteczka zajmowało jedynie kilka minut. W górę jedną stroną, w dół drugą, kilka przecznic w obu kierunkach i koniec. Luce nie bardzo więc wiedziała, co może oznaczać szwendanie się ulicami Tampy.

Jedna z korzyści, jakie wynikły z nieobecności matki, objawiła się natychmiast. Lit przestał pić mocniejsze trunki, przerzucił się na piwo i w dni powszednie przeważnie ograniczał się do jednego czy dwóch. A dom stał się o wiele spokojniejszym miejscem, gdy ustały te wszystkie kłótnie. Lola nie umiała nawet usmażyć jajecznicy, więc jedzenie nie zmieniło się w sposób zauważalny. Luce i Lily żywiły się głównie kanapkami z kielbasą i serem oraz gotowanymi parówkami, chyba że Lit przyniósł do domu polędwicę wołową i upiekł ją w rondlu z pokrojonymi w plasterki ziemniakami.

– Brakowało ci jej pod jakimś względem? – spytał Stubblefield.

– Nie. I to moja ostateczna odpowiedź, choćbyś pytał nie wiadomo ile razy.

Gdy jednak Stubblefield podjął drugą próbę, wyznała, że pamięta coś z dzieciństwa. Lily się rozchorowała. Miała kolkę, cholera albo coś innego. Płakała, więc w końcu Lola wzięła ją na ręce. Chodziła z nią po salonie tam i z powrotem, mówiąc: „Malutka, malutka, malutka”.

– To miłe wspomnienie? – zagadnął.

– Tak, urocze. Bałam się, że z Lily jest źle, że umrze i zostawi mnie z nimi samą. Zaczęłam płakać, więc Lola położyła Lily na kanapie, chwyciła mnie za nadgarstek, zaciągnęła do kuchni i pchnęła na lodówkę. Pochyliła się i zaczęła krzyczeć mi w twarz, że jestem słaba. Nawet nie wyjęła papierosa z kącika ust. Pamiętam, jak się żarzył i podrygiwał, kiedy na mnie krzyczała.

W pewnym momencie Stubblefield zaczął się zastanawiać, ile tak naprawdę dowiedział się o Luce. Swobodnie mówiła o fasonach sukienek, o codziennych szczegółach dotyczących ogrodnictwa, o jego dziadku. Ale miał wrażenie, że ogląda tasowanie kart do gry, zakończone uspokajającym rozłożeniem rąk, wszystkie te subtelne drobne ruchy, które mają odwrócić twoją uwagę. Jakby chciała ukryć ziejącą dziurę w jej życiu.

Stubblefield lubił czytać książki o wspinaczkach wysokogórskich, o Hillarym i Mallorym. Występowało tam określenie, uwzględniające wysokość, na której się znalazłeś, spadek pod stopami, stan pogody. Zbierające wszelkie zagrożenia w świecie, do którego wkroczyłeś. Tym określeniem był „stopień ryzyka”. Na pewnej wysokości, jeśli zgubiłeś rękawicę, traciłeś rękę. Jeśli upadłeś, ginąłeś. Stubblefield zaczął sądzić, że Luce była narażona na wielkie ryzyko. Ale udało jej się sprowadzić swoje życie do spraw zasadniczych i kilku przyjemności – i musiał tylko się dowiedzieć, do której z tych dwóch kategorii pasowałby najlepiej.

Na przykład flipper. Zwłaszcza na stołach Gottlieba z drewnianymi barierkami, Cyclone albo Harbour Lites. Co wieczór dzięki swojemu refleksowi Lit potrafił grać w nieskończoność za jedną ćwierćdolarówkę, dopóki mu się nie znudziło. To, jak wprawiał w ruch sprężynę, strzelając chromowaną kulką, stanowiło prawdziwą sztukę. Później z wielkim wyczuciem, dłońmi, biodrami i kolanami prowadził ją pomiędzy poszczególnymi elementami i celami, nie przechylając stołu. Gra na flipperach jest zbyt subtelna, aby ją zrozumieć. Można by pójść do college'u, studiować mechanikę oraz fizykę przez dziesięć lat i nadal nic nie pojmować.

Był w tym element szaleństwa i świętości, tak to przynajmniej widział Bud. Na pracę palców Lita miał wpływ nawet nieznaczny powiew, wywołany przez upadający na parking liść. W każdej sekundzie mały zastępca szeryfa wykonywał kilkadziesiąt ruchów jednocześnie, w pełni świadomy każdej chwili, ale z całkowicie obojętną miną. Jego imponujące wyniki widniały na wszystkich automatach do gry w całym hrabstwie.

Ten wieczór przebiegał jak wszystkie inne. Za szybą błyskały lampki, dzwoniły dzwonki, na bębnach ukazywały się kolejne punkty, zbierając się w setki tysięcy i anonsując kolejną darmową rozgrywkę, dopóki Lita nie naszała ochota na piwo. Zwykle następowało to, gdy zgarniał wygraną. Tym razem jednak przekazał stół Budowi, mówiąc:

– Grzej go dla mnie, zaraz wrócę.

Zanim jednak dopił drugą puszkę, Bud roztrwonił zdobyty przez niego kredyt. Przegrał całe trzydzieści pięć dolarów, co do centa.

Zanim automat skończył długą głośną i żalną śmiercią, Lit wyszedł za drzwi.

Bud dogonił go na parkingu. Lit wsiadł już do radiowozu, włączył silnik i światła.

– Odjeżdżasz? – zapytał Bud.

– Nie odjeżdżam. Już odjechałem.

Spod kół samochodu wystrzelił żwir i niebawem dwa czerwone światła zniknęły w oddali. Bud został sam.

Wielka sprawa. Do jutra wszystko będzie w porządku. Nie groziła mu też długa wędrówka po nocy do domu. Człowiek o jego pozycji miał w okolicy wielu przyjaciół, na których mógł liczyć. Bud wrócił więc do baru i zaczął szukać okazji do miasteczka. Zgrywał wesołka, choć w środku był niezłe wkurzony.

Była to jednak długa noc i ciągnęła się niemiłosiernie. Nieliczni pijacy byli zawodowcami, zamierzali zostać do końca, aż do zamknięcia. Bud wyciągnął dychę, dolara za milę. Ale chętnych nie było nadal. W końcu podbił stawkę do dwudziestu, tyle za jeden dzień nie zarabia żaden z tych idiotów, i wylądował w kabinie vana, z kabaczkami na pace. Kierowca był pijany i milczał jak zaklęty, rzadko przekraczał dwadzieścia pięć czy trzydzieści kilometrów na godzinę. Ale i tak trzeba się było kurczowo trzymać; jezioro po stronie pasażera zbliżało się niebezpiecznie, a koła raz po raz zjeżdżały na pobocze. Bud odkręcił całkowicie szybę, na wypadek, gdyby wylecieli z drogi i wpadli do wody. Wydostałby się przez okno i wypłynął na

powierzchnię. Wznosząc się w stronę blasku księżyca.

Przez całą drogę trzymał się fotela i zapierał stopami o ścianę grodziową, zachodząc w głowę, skąd się tu wziął. Dzięki przemytowi alkoholu był przecież kimś. Ważniakiem, choć sam się temu dziwił. Ale nie towarzyszyły temu żadne honory. Był tak naprawdę dostawcą i to go bolało. Wciąż widział przed oczami stracone pieniądze, nowiutkie, upragnione. Uważał też za niesprawiedliwość, że uchodzi za pomagiera, choć naprawdę lubił Lita, nawet gdy ten stawał się drażliwy. Dla Buda znajomość z nim była trochę jak przynależność do tej samej drużyny futbolowej, tylko bez tego całego poklepywania po tyłkach i chodzenia razem pod prysznic, a trochę jak nastoletnie zauroczenie, kiedy człowiek nie tyle podkochuje się w drugim chłopaku, ile go podziwia.

Ale niezależnie od tego – podchodząc do sprawy praktycznie – sztama z przedstawicielem prawa nie była złą strategią w razie komplikacji związanych z nową profesją Buda. W razie wznowienia procesu nic by mu to nie dało, ale mogłoby pomóc, gdyby złapano go wężącego w okolicach Chaty.

Bud wysiadł na Main Street, dziękując boskim patronom handlu i przedsiębiorczości, że nie był na tyle głupi, aby zapłacić z góry. Podał przez okno wozu piątką, a kierowca był tak nawalony, że nawet nie zauważył różnicy. Potem ruszył ciemnymi uliczkami do domu, myśląc o swojej forsie i o radach psychologa z więzienia dla młodocianych. Bądź cierpliwy. Odsuwaj od siebie gratyfikację i czekaj na nagrodę. Nie wiadomo jednak, jak długo miał czekać. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu i pozostało mu jej już tyle co nic.

Po tygodniu babiego lata, z błękitnym niebem, gdy liście zaczęły żółknąć i czerwienieć, nadszedł zimny front. Z grafitowych chmur przez dwa dni padał chłodny deszcz. Stubblefield się ożywił i z tęsknotą wspominał ciepłe październikowe dni w północnej części Zatoki Meksykańskiej. Luce początkowo z przyjemnością słuchała jego opowieści o miejscu, w którym nigdy nie była. O tym, że przeważnie brzeg jest błotnisty i trzeba wiedzieć, gdzie pojechać, jeśli komuś zależy na białym piasku i czystej wodzie. On wiedział. A do tego wspaniałe wyprawy na ryby, czy łowiło się na brzegu, czy z łódki. I bary z białych desek szalunkowych przy wysypanych kawałkami muszelek parkingach pod dębami wirginijskimi, gdzie piwo było zimne jak lód, a ostrygi świeżutkie, wydobyte z zatoki zaledwie przed kilkoma godzinami i podawane w cynkowym wiaderku, razem z brązową skórzaną rękawicą i nożem o grubym ostrzu. Otwiera się nim muszlę, skrapia ostrygę tabasco i patrzy, jak drży. Potem odchyła się głowę do tyłu, bierze ostrygę do ust i połyka, popijając zimnym piwem. Można zjeść do tego słonego krakersa albo dwa, zależnie od swojego stosunku do konsystencji świeżej ostrygi. A później potać do plażowej muzyki, nieznannej w innych częściach kraju, z neonowej szafy grającej. Jedna goła żarówka wisząca na kablu u sufitu i cienie tancerzy szalejące na ścianach. A po północy na rauszu popływać w czarnym morzu, nie przejmując się, jak daleko pod białymi falującymi stopami ma się dno ani jakie ryby o wielkich pyskach mogą przepływać między nogami.

Gdy kończył opowieść, Luce miała wrażenie, że od niego odpływa, powoli tonie. On wciąż młócił wodę w świetle księżyca. Siedziała dłuższą chwilę w milczeniu. Był delikatny, ledwie dawał do zrozumienia, że to zaproszenie, a ona chciała powiedzieć wprost: Dobrze, kotku. Jedźmy tam i bądźmy beztroscy, młodzi. Opalajmy się i pijmy. Jedźmy za dużo, tańczmy za dużo i pływajmy w morzu nocą. Zróbmy coś zupełnie nowego.

Od tak długiego czasu nie miała na to ochoty.

Aż do niedawna teoretycznie można było wrzucić ciuchy do torby, wsiąść do samochodu i wyjechać. Następnego dnia siedzieć na plaży o zachodzie słońca i pić piwo. W nowej rzeczywistości były jednak dzieci.

– Tam, w zatoce, jest jak nad oceanem? – zapytała.

– Podobnie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, woda.

– Żadnych drzew po drugiej stronie? Miast ani miasteczek?

– Nic.

Tydzień później w Tennessee grali James Brown i Famous Flames, więc Stubblefield zaproponował Luce, żeby pojechała z nim na koncert. Długa wijąca się w ciemnościach droga przez góry, na miejscu nie więcej niż dwadzieścia kilka białych twarzy. No i James Brown, do cholery, jeden z jej ulubionych piosenkarzy. Co za przygoda.

– Nie mogę – odparła.

– Ludzie będą tańczyć w przejściach – przekonywał Stubblefield. – Na pewno chciałabyś zobaczyć, jak Brown schodzi ze sceny całkowicie wypompowany, spocony i ledwie przytomny,

a potem zrzuca czapkę i tańczy, śpiewając do mikrofonu ostatni utwór. I bisuje tak jeszcze pięć czy sześć razy.

– A dzieci?

– Proszę cię, proszę, proszę – powiedział. – Wrócimy przed świtem, zresztą dzieci mogłyby zostać u Maddie.

– Nie mogę zostawić ich na tak długo. Nie jestem twoją strażniczką. Jedź sam.

– Wcale nie uważam cię za moją strażniczkę. Po prostu bez ciebie nie będzie żadnej zabawy.

– No widzisz. To powinno mi pochlebiać, ale tak nie jest. Nie licz na mnie. Bo tylko się rozczarujesz i będziesz wściekły. Przestań widzieć we mnie wymarzoną dziewczynę. Nigdy nią nie byłam i nie będę.

Stubblefield udał, że nie słyszał tych ostatnich słów

– Zobaczyc Jamesa Browna to jak pójść do kościoła i mówić językami świata – powiedział. – Ale nie chcę się z tobą kłócić.

– Och, czyżbym coś przeoczyła? – zapytała Luce. – Powinam wyjąć kalendarz? Dziewiąty października. Nasza pierwsza kłótnia. Jestem zdruzgotana.

W następnych dniach, gdy nadszedł i minął termin koncertu, Luce starała się myśleć o pozytywach. Wdychaj rześkie powietrze jesiennych popołudni, wystawiaj twarz do żółtych promieni słońca, patrz na postrzępione błękitne góry, wznoszące się pięcioma warstwami w stronę nieba, ciesz się drobnymi radościami, jakie niesie dzień. Na przykład od dwóch tygodni niedługo po zmierzchu przez trawnik przechodził z zachodu na wschód żółt z jasnożółtymi, ułożonymi gwiazdźście trójkątami na brązowej skorupie. Albo w tym samym czasie o zmroku przylatywały dzikie indyki, zwykle piątka, i sadowiły się jeden po drugim na wielkim dębie nad jeziorem, nocowały na nim, żeby uchronić się przed drapieżnymi ssakami, mającymi na nie chętkę. Chociaż Luce należała właśnie do tej kategorii, życzyła tej gromadce szczęścia, niezależnie od tego, jak pyszny mógłby być jeden z nich, upieczony na hikorowym ogniu z sześcioma plasterkami bekonu wokół piersi i jabłkiem, pomarańczą i cebulą w miejscu po wnętrzościach.

Uczestnictwo w terażniejszości, oto był cel. Jeśli osiągniesz spokój, twój umysł przestanie wierzyć i dowiesz się o sobie czegoś nowego. Zatoka i James Brown to niewątpliwie byłoby coś cudownego i powalającego. Niezapomniane wrażenia. Ale wtedy przebywanie w domu z Dolores i Frankiem stałoby się frustrujące, ograniczające i bez sensu. I co to daje z wyjątkiem okropnego znużenia codziennością? Świadomości fatalnych pomyłek i sporadycznych małych zwycięstw?

I nawet nie była to kwestia miłości. Luce nie spodziewała się, że pokocha dzieci, i na pewno nie oczekiwała, że one pokochają ją. Prosić o coś takiego, z wzajemnością, to byłoby już za dużo. Jednak coś do nich czuła i miało to jakiś związek z tym, że zdołały przeżyć. Jasne, zostały skrzywdzone i miały urazy psychiczne. Przeszły przez piekło. Ale nie stały się przez to słabe i kruche. Gdy chciały, potrafiły być małymi okrutnymi dzikusami. Przeważnie miały gdzieś twój świat i potrafiły znosić ból, swój i cudzy, po stoicku, jak Apacze. A kiedy tylko dostrzegły okazję, mściły się na rzeczywistości, w której żyły. Zapalały zapałkę i zdobywały punkt, zbliżając się do remisu. Czasami wydawały się śmiertelne i pozbawione sił, jak stary Geronimo, sfotografowany w swoim cadillacu, z pustą twarzą, ale wciąż czujnymi bystrymi oczami jak paciorki. Jakimkolwiek uczuciem Luce darzyła Dolores i Franka, jeszcze nie potrafiła go nazwać. Ale należało ono do tej samej kategorii co szacunek.

Jednak oba te wypadki byłyby fantastyczne i naprawdę Maddie mogłaby być, na krótki czas, doskonałą opiekunką do dzieci. Nastroszona i naładowana każdego dnia w swoim życiu, zawsze z dwururką pod ręką. Z plecioną skórzaną pałką i chromowanym pistoletem w torebce. Uzbrojona, bojowa i gotowa zaatakować samą śmierć, żeby ocalić słabszych. Poza tym jako jedyna uważała Dolores i Franka za kochane dzieciaki.

Nawet i bez randek Stubblefield zaczął codziennie dawać Luce do zrozumienia, że mógłby zostać na stałe, gdyby tylko chciała. Dzieci go nie przerażały i on nie przerażał ich. Nie zamierzał od niej uciec, choć pewnie powinien tak postąpić. Luce była zdezorientowana, zastanawiała się, co jest z nim nie tak, że tak bardzo się nią interesuje. Jednak nic z tego nie miało znaczenia. Była zbyt obezwładniona pojawieniem się dzieci, ich dziwnością, tym, że życie zaczęło wymykać jej się spod kontroli i że od tej pory będzie musiała być odpowiedzialna. Nie była to więc najlepsza pora na romans.

Stubblefield miał jednak w sobie coś, co ją ujmowało. Gdy leżała w nocy na wpół świdoma, miała przebłyski. Widziała płaszczyzny jego twarzy, kąci jego oczu. Może ten niepożądany pociąg dało się wytłumaczyć zwykłą geometrią. I tyle piosenek nadawanych późną nocą opowiadało o miłości albo o pożądaniu. Trudno było temu nie ulec.

Nie mogła jednak nie doceniać jego delikatności. Nie naciskał na nią i nie wywierał presji, nie zaganiał jej do zagrody, w przeciwieństwie do wszystkich jej poprzednich facetów. A może to, w kim się człowiek zakochuje i kogo w końcu darzy miłością, nie jest racjonalne, choćby się próbowało wypisywać jego wady i zalety, a następnie dokonywać podsumowania. Nie zawsze wszystko da się rozebrać rozumem. Może sam czyjś zapach ma większe znaczenie niż wszystko inne, złożone razem do kupy. Przypomniała sobie, jak go podglądała, gdy pływał. Była zdziwiona, że w wodzie był o wiele bardziej swobodny niż na lądzie. Nagle nabierał wdzięku. Te ruchy jego rąk, pleców i nóg, długich mięśni pod skórą, jakby nie kosztowały go wcale wysiłku, były niemal płynne. Gdyby zmierzyć jego prędkość według punktów orientacyjnych wzdłuż brzegu, niemal leciał.

Dzieciaki. Stanowiły niepodważalny fakt, a przynajmniej ich fizyczna obecność. Niezależnie od tego, jak bardzo Stubblefield starał się wychodzić im naprzeciw, żeby nawiązać z nimi porozumienie i tym samym stać się kimś ważnym dla Luce, ponosił porażkę. Wszystkie sygnały, które wysyłał, napotykały na grubym murze nie do przebiccia.

Jego pierwsza bardziej konkretna próba nawiązania kontaktu okazała się całkowitą kląpą. Stubblefield próbował wciągnąć je w prostą rozmowę. Właściwie pogawędkę. Coś w stylu: wy nie jesteście stąd i ja też. Nasza trójka znalazła się tu z powodu przodków. Więc to miejsce jest nam obce i jednocześnie swojskie, ale może w pewien sposób do niego przynależymy, przynajmniej na razie. Dzieci jednak usunęły się w bezpieczną przestrzeń. Nie uciekły, nie wycofały się gwałtownie, ale oddalały się powoli, niemniej stanowczo. Nie patrzyły mu w oczy, ale zawsze miały go w polu widzenia.

Przed następną wizytą w Chacie Stubblefield długo kombinował. Dzieci porozumiewały się ze światem zewnętrznym głównie za pomocą rzeczowników, jakby wyciągały rękę i dotykały go szybko czubkiem palca. Należy więc odpowiedzieć tym samym, delikatnym dotknięciem. Kiedy wysiadł z samochodu, bliźnięta kucnęły na ganku, z kolanami podciągniętymi pod brody, i bawiły się w układanie stosów do podpalenia. Nawet nie podniosły głów. Stubblefield wszedł po schodkach i postawił nieotwarte celofanowe opakowanie obok ich wyimaginowanych ognisk.

Rzucił: „Ciastka figowe”.

Nic więcej nie powiedział ani nie czekał na reakcję. Wszedł za siatkowe drzwi i puścił je. Tak nonszalancko, jak tylko mógł.

Gdy znowu przyjechał, padał deszcz. Pnie choin stanowiły czarne pionowe smugi, a jezioro – ciemną poziomą płaszczyznę. Dzieci tak mocno bujały się na fotelach, że kiedy odchylały się do tyłu, uderzały w listwy sidingu. A gdy z kolei wychylały się do przodu, kurczowo trzymając się oparc, fotele stawały na końcach biegunów i niemal wyrzucały je za ganek, w krzaki. Smarkacze huśtały się w sposób niezynchronizowany, ale rytmiczny, tak że łomot o siding i stukot biegunów o deski podłogowe ganku tworzyły jakby utwór perkusyjny. U podstawy schodów Stubblefield powiedział: „Przyjemnej zabawy”, zasalutował niedbale, przytykając palec do brwi. Dolores i Frank zwolnili i gdy wszedł na ganek, odsalutowali, choć ktoś nastawiony krytycznie mógłby uznać to za ironiczny gest, a może nawet sarkastyczny. Ale to usatysfakcjonowało Stubblefielda. W tej chwili chciał już tylko, żeby pogodziły się z jego obecnością w ich życiu. Nigdzie się nie wybierał. Wyglądało na to, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będą musieli znosić swoje dziwactwa jeszcze przez długi czas.

Przy jego następnej wizycie Dolores i Frank bawili się na podwórku. Oboje mieli formy do wypieków, tak samo poczerniałe od wielu podróży do pieca. Będące świadkami bogatej historii placków: brzoskwiniowych, rabarbarowych, jagodowych, jabłkowych, pekanowych, ziemniaczanych i dyniowych, sięgającej jeszcze poprzedniego stulecia. Każde oddzielnie odkrywało przyjemności, jakie daje walenie formą o różne twarde przedmioty. Wywijanie nią, kręcenie nadgarstkiem, ręką i całym ramieniem. Obserwowanie jej krótkiego lotu w powietrzu i upadku w trawę, gdy stawała się okrągłym cieniem tonącym w morzu zieleni. Gdy Stubblefield wysiadł z hawka i podszedł bliżej, Dolores powiedziała: „Stubblefield”.

Nie patrzyła na niego, jedynie wypowiedziała jego nazwisko. Tak jakby mówiła „drzewo” albo „kamień”. Potem oboje z Frankiem rzucili się do ucieczki. Jakby oczekiwali, że on pobiegnie za nimi. Ale on tego nie zrobił, bo przypomniał sobie starą irlandzką mądrość ludową, którą stosowała jego babka, gdy pod koniec życia zawodziła ją pamięć. „Nie goń za czymś, to samo do ciebie wróci”. Zamiast tego powiedział niezbyt głośno, ale tak, żeby usłyszały: „Dolores i Frank”.

Nie wołał ich, ale w odpowiedzi po prostu wymówił ich imiona. Oni tymczasem dobiegli na skraj lasu, zatrzymali się i obejrzel. Stubblefield znowu zasalutował jednym palcem i dzieci odwzajemniły się tym samym gestem. Idąc w stronę Chaty, zobaczył Luce, która stała jak duch za siatkowymi drzwiami i przyglądała się tej scenie. Gdy się zbliżył, otworzyła drzwi, nachyliła się ku niemu i pocałowała go szorstko, niezręcznie, trochę głośno. On się zatrzymał, przesunął językiem po przednich zębach, sprawdzając, czy nic między nimi nie ma, i zapytał:

– A to co?

– Dziękuję ci.

– Za co?

– No, wiesz.

– Nie, nie wiem. Mogłabyś od czasu do czasu coś powiedzieć.

Spodziewał się, że ją wystraszy, ale nie. Odpowiedziała:

– Za to, że się nie boisz.

Stubblefield zapukał w półprzezroczystą szybę w drzwiach i wszedł do środka. Prawnik

zerknął znad stosu papierów, podnosząc duże wieczne pióro wyżej, niż było to konieczne, aby dać do zrozumienia, że przerywa mu się w pół zdania. Nieruchome skrzydła wiatraka pod sufitem rzucały na jego brązową łysinę cień w kształcie litery X.

– Usiądź – powiedział.

Stubblefield usiadł.

– Myślałem o dzierżawie terenów uprawnych, o której wspominałeś.

Prawnik zajrzał do kalendarza, jednego ze zdzieraków na chromowej podstawie, z dużymi czerwonymi datami dziennymi na perforowanych kartkach. Przerzucił powoli niedawną przeszłość, sprawdzając demonstracyjnie, jak dużo czasu minęło od ich ostatniej rozmowy. Za każdym razem, gdy dochodził do ostatniego dnia miesiąca, wypowiadał jego nazwę, jakby prowadził dyktando dla trzecioklasistów: październik, wrzesień, sierpień. Kiedy cofnął się do sierpnia, zwolnił przy ostatnich kartkach i wreszcie się zatrzymał.

– Aha – stwierdził. – Mam.

Wsadził rękę do szuflady z aktami, wyjął żółty blok i odnalazł w nim kartkę z wypisanymi niebieskim atramentem liczbami.

– Miałeś dużo czasu na przemyślenie sprawy.

– Wieczorem wymyślę jakąś ciętą ripostę i jutro wrzucę ci ją na kartce do skrzynki – odparł Stubblefield. – Chodzi o to, że zamierzam tu zostać na dłużej i nie jestem już sam.

– Hm – mruknął prawnik. Uniósł brwi, tak że po jego czole i łysinie przepłynęła fala zmarszczek.

– Zaległe podatki nie zniknęły.

– Sprzedajmy gospodę, jeśli znajdzie się kupiec – odrzekł Stubblefield.

– Och, znam jednego czy dwóch chętnych.

– I ta dzierżawa to chyba dobry pomysł. Na warunkach, o których mówiliśmy, jeśli nadal jesteś zainteresowany.

– Je suis prest.

– Uczyłem się hiszpańskiego.

– Przygotuję dokumenty. Możesz przyjść jutro, żeby je podpisać.

Stubblefield milczał przez chwilę.

– Myślałem, że takie stare wiarusy jak ty przypieczętowują umowy uśmiechem i uściskiem dłoni.

– Owszem, jeśli zawieramy je między sobą.

Stubblefield wstał.

– Nie zgrywam obrazonego, ale jeśli zależy ci na tej umowie, to ją masz. Niczego nie będę podpisywał – oświadczył.

Wyciągnął rękę nad biurkiem.

Prawnik popatrzył na niego, a potem na żółtą kartkę z liczbami, przesuając po nich wzrokiem aż do samego dołu. Uśmiechnął się szeroko, wstał i przyjął podaną dłoń.

– Do diabła – powiedział – żyje się tylko raz.

„Sala bilardowa”.

Tak przynajmniej było napisane na czarnych szybach po obu stronach drzwi. Identyczne kanciaste złote litery jak w „Citizens’ Bank” przecznicę dalej przy Main Street. Pewnie jakiś gość o wprawnej ręce, niechybnie już nieboszczyk, przejeżdżał w latach dwudziestych przez miasteczko i zarobił sobie szybko kilka dziesiątków. Wciąż można tu było sobie dorobić, choćby zbierając zamówienia na tanią wódkę czy spirytus zbożowy, podbarwiany na brązowo, żeby udawał szkocką. Gdy nie jechał w trasę, Bud popołudniami urządował właśnie w sali bilardowej. Wieczorem przenosił się do Zajazdu.

W środku unosiły się przyjemne zastyłe wonie rozlanego piwa i tytoniu w różnych postaciach. Każdy z pięciu stołów stał w swoim kręgu światła, spływającym mętnym snopem z osłoniętych instalacji pod sufitem, a poza nimi panowała ciemność jak o północy. Mężczyźni kręcili się po pomieszczeniu, wchodząc w jasne koła i z nich wychodząc, jak Jimmy Durante, mówiący dobranoc pod koniec cotygodniowego odcinka swojego programu.

Przy stole w głębi sali partia ósemki. Bud ze skupieniem pochylił się nad stołem. Zielone sukno wokół punktu głównego było całkiem wytarte, tworząc brązową tłustą plamę, jak pociemniała skóra. Jego kij drgnął nieznacznie w tył i w przód za starą bilą rozpoczynającą, gdy Bud czekał, aż przeciwnik, który szczyił się swoim ścisłym trójkątem, skończy ustawianie bil do rozbicia. Oparł kij czubkiem o podłogę i powiedział: „Zesrasz się, zanim powbijasz wszystkie do łóz”.

Rozbicie, które wreszcie nastąpiło, dawało pole do popisu, ale gdy bile w końcu się zatrzymały, Bud stwierdził, że nie jest w formie. Przegrał cały stos ćwierćdolarówek i przegrywał dalej, partia za partią, aż wreszcie wycofał się zniesmaczony i wyszedł na dwór, żeby ochłonąć. Porażony ciepłym światłem październikowego bezchmurnego dnia, zamrugał powiekami. Powietrze było tak przejrzyste, że gdy jego wzrok przyzwyczaił się do blasku, był w stanie dojrzeć poprzeczne elementy słupa wysokiego napięcia na Łysinie Juala.

Usiadł na ławce obok trzech staruszków w szarych filcowych kapeluszach z wyraźnymi plamami potu, białych koszulach i jasnoniebieskich ogrodniczkach. Oraz dawnego bandyty, który kiedyś napadł na sklep, teraz jakby nieobecnego, z różową dziurką w czole. Mężczyźni gadali bez ustanku, wymieniali się zegarkami i nożami, opowiadali długie brzydkie historie o swoich wyczynach w młodości, które były związane głównie z kobietami oraz bójkami i przez większość ludzi zostałyby uznane za nieprawdziwe. Jednakże brak prawdy starzy gawędziarze rekompensowali szczerością swoich pragnień i tęsknot.

Jeden z nich z kamienną twarzą opowiedział stary, wyjątkowo sprośny dowcip. Pozostali prychnęli albo wydali inne odgłosy imitujące śmiech.

Lit przejechał Main Street swoim radiowozem. Mijając siedzących na ławce, pogroził im palcem, ale się nie zatrzymał.

Jeden ze staruszków zauważył:

– Ten to ma przesrane.

Bud nadstawił ucha.

– Dlaczego przesrane? – spytał.

– Ogólnie. Z tą żoną i córkami. To samotny facet. Z całej rodziny została mu już tylko Luce.

– No i co? – drążył dalej.

– Nawet ze sobą nie rozmawiają, gdy się mijają na ulicy. Jakby jedno dla drugiego umarło.

Bud połapał się dopiero po kilku sekundach. I nagle jakby doznał objawienia.

– A niech to szlag – powiedział głośno. Potem jednak ugryzł się w język, żeby nie wypalić:

„Więc Lit jest także ojcem Lily!”.

Nie wysiliwszy się nawet na żadną dowcipną uwagę przed odejściem, powlókł się do swojego pick-upa i ruszył w drogę wzdłuż jeziora, obok tamy i w głąb doliny, rozmyślając w panice. Oddychając szybko i płytko, aż zaczęło mu się kręcić w głowie, więc zjechał na pobocze i wystawił głowę przez okno, żeby złapać oddech.

Jako były zięć Lita miał kiepskie perspektywy, bez dwóch zdań. Lily nie lubiła mówić o swojej rodzinie, a kiedy już mówiła, Bud zwykle nie słuchał. Jeśli wspominała o ojcu, to jako o „tatusiu”. Tyle zapamiętał. Zresztą co to za imię – Lit? Bud nigdy o takim nie słyszał. A jeśli nawet, to przeszło mu koło uszu, bo pewnie myślał o czymś innym.

To było jak wdać się w jakąś grę, której zasady znają wszyscy oprócz ciebie. Jak choćby to, żeby nie spuszczać wody w kiblu stopą. A nie znając zasad, człowiek porusza się drobnymi kroczkami, podczas gdy inni, szaraczki, sadzą susy przed siebie. Ale w życiu tak już jest.

Bud ujął w dłoń naszyjnik z zębem rekina. A potem przeciął sobie głęboko opuszkę środkowego palca o liczącą miliony lat postrzępioną krawędź. Gdy z ranki wypłynęła kropla krwi, wsadził palec do ust i poczuł smak żelaza.

Zamknął oczy i wypuścił z płuc powietrze przez zaciśnięte usta, jakby dął w niemy gwizdek. Policzył do pięćdziesięciu. Gdy zaczął oddychać spokojnie, przeanalizował fakty związane ze swoją tożsamością.

Co mogło go zdradzić? Imię Bud było ksywką, która, jeśli dobrze sobie przypominał, nie wypłynęła podczas postępowania sądowego. A jeśli chodzi o nazwisko, Johnson należało do trzech najbardziej pospolitych w kraju. Ani Lit, ani Luce za cholerę nie mogli wiedzieć, że to on jest Johnem Garym Johnsonem. Lily zawsze mówiła o nim Johnny. A nikt tutaj przecież nie widział jego zdjęcia.

Ślub zawarli szybko, u sędziego pokoju, w Karolinie Południowej, stanie, w którym nie zwracano sobie głowy analizami krwi ani tego rodzaju bzdurami, mającymi utrudnić sprawę. Uważano tam, że zawarcie małżeństwa, jeśli ktoś już tego chce, nie powinno wynikać z rozmysłu. Pięć minut, w codziennych ciuchach, i po wszystkim. Dłużej trwało uzyskanie prawa jazdy. Nie była to uroczystość, na którą wynajmowałoby się fotografa. Poza tym Lily wtedy miała gdzieś rodzinę. Była szczęśliwa, że wyrwała się z domu, i zbyt na niego napalona, żeby myśleć o krewnych, i to takich. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby wysłać pocztówkę z Myrtle Beach, gdzie wyskoczyli w podróż poślubną, była zbyt pijana przez te czterdzieści osiem godzin, bo na tyle tylko mogli się wyrwać, przez koleżankę z salonu piękności, która zgodziła się zająć dziećmi, ale jedynie na dwa dni i koniec. Przedłużenia terminu spłaty nie było. On sam się nie przejmował: no i co z tego, że przyjedziemy później i jakaś fryzjerka będzie wściekła? Przecież nie wystawi dzieci na ulicę. Lily uważała, że przyjaciołom nie robi się takich rzeczy,

a on mówił: wypróbuj ją, w końcu od czego ma się przyjaciół? W końcu jednak Lily postawiła na swoim, więc ruszyli w drogę do domu z takim pośpiechem i tak spici piwem, że kiedy Bud wysiadł z wozu przy drodze, żeby się odlać, nie patrzył, czy ktoś to widzi, czy nie. Gdy obok przejechał gliniarz z drogówki, Bud nawet nie odwrócił się plecami do drogi. Przełożył tylko fiuta do drugiej ręki, żeby zasalutować. I przynajmniej raz dopisało mu szczęście. Żadnych błyskających kogutów, wycia syren, pisku hamulców na nawrotce. Gliniarz pojechał dalej. Musiał mu przyznać dodatkowe punkty za walor rozrywkowy.

To wszystko potwierdzałoby jego anonimowość w tym miasteczku, nawet jeśli w okolicy mieszkały niedobitki popieprzonej rodziny Lily. Był bezpieczny, chyba że sam coś by palnął.

Bud cofnął się pamięcią w przeszłość i dopiero gdy dotarł do ostatniego tygodnia, w głowie zadzwonił mu dzwonek. Pewnego ranka, czy raczej popołudnia, obudził się potwornie skacowany, z watą w głowie. Zbierało mu się na wymioty, więc na wszelki wypadek poszedł do łazienki, ukląkł nad kibelem i siedział nad nim przez jakiś czas z pochyloną głową.

Zaczął się zastanawiać, czy poprzedniej nocy, grając w karty z kilkoma swoimi ważniejszymi klientami, nie puścił pary z ust. Wystarczy się nawalić wśród naiwniaków i człowiek zaczyna zgrywać bohatera, opowiadać rozmaite historie, jaki to z niego twardziel. Możliwe, że wtedy wspomniął coś o żonie suce i oskarżeniu o morderstwo. W takiej dziurze plotki szybko się rozchodzą, a Lit nie chowa anteny.

Bud poczuł, że w jego piersi wzbiera panika, jak pierwsza fala w ekspresie do kawy. Zaczerpnął głęboko powietrza, żeby zapanować nad strachem. Powiedział sobie: jeśli nie jesteś tym, kim chcesz być, to przynajmniej się zachowuj jak ktoś taki. Wyobraź sobie drania, którego nikt nie chce znać, i stań się nim. Znajdź forszę i zrób, co trzeba. A potem wyjedź do Brownsville, albo nawet do Hawany i żyj wśród brodatych rebeliantów.

Coś skłębionego i tropikalnego wypchnęło ciężkie powietrze znad Zatoki, końcówka typowego dla końca lata huraganu. Ta pogoda dotarła do ściany gór i tam się zatrzymała. Drogi stały się mokre, a z niskiego zasnutego nieba stale padał deszcz. Wczesny zmierzch i wszystkie inne znaki wskazywały, że lato minęło. I przyszła zimna pora.

– Wieczór jak powolny tenorowo-saksofonowy utwór – zauważył Stubblefield. – A może solo na trąbkę, bez linii melodycznej, tyle samo ciszy, ile muzyki. Smutne, rzewne. Światła reflektorów odbijające się od suchych liści na mokrym chodniku, które wskazują drogę pustą ulicą.

– Kino – dodała Luce.

Paciorkowate krople deszczu zlewały się z sobą na przedniej szybie, tworząc pomiędzy kolejnym ruchem wycieraczek ścianę wody. Na siedzenie między Stubblefieldem i Luce sypały płatkami kwiatów ostatnie kępy jeżówki i nawłoci.

Kiepski wieczór jak na pierwszą randkę. A do tego Luce orzekła, że dzieci mogą zostać pod opieką Maddie tylko na trzy godziny. Choć Maddie z porozumiewawczym mrugnięciem oka rzuciła krępującą uwagę, że chętnie zatrzyma je na śniadanie. Co za miła niespodzianka, podobnie jak strój Luce. Stara bawełniana sukienka w drukowany wzór, chabrowniebieska, z żółtymi zatartymi sylwetkami. Stanik i pas obcisły, spódnica pełna, trochę już wyblakła od prania. Żadnego płaszcza przeciwdeszczowego ani parasolki, tylko biały bawełniany sweterek przewieszony przez ramię, na później, kiedy podniesie się mgła. Ciemne włosy rozpuszczone, opadające na ramiona. Ogólnie wygląd zupełnie nie na czasie. Raczej z poprzedniej epoki, dawnego życia, kiedy pragnęła być piękna i beztroska. Żeby nic nie mąciło tafli jej idealnego życia.

Ale co tam moda; wyglądała bombowo i to słowo jako pierwsze przyszło mu na myśl. I niebezpiecznie, pod warunkiem że ten wizerunek nie miał ironicznej wymowy.

W Zajeździe panował mrok. Światło rzucały jedynie trzy neony z reklamą piwa nad starym dębowym barem. Deski podłogowe skrzypiały i uginały się między legarami, gdzie siła ciężkości, proces gnicia i inne świństwa, trawiące z biegiem czasu rzeczy materialne, zrobiły swoje. Stubblefield przeprowadził Luce wśród tancerzy do przepierzenia z tyłu, do stolika z jasnożółtym blatem z formiki we wzór w zachodzące na siebie czarne zarysy bumerangów. Nie było to tak wesołe miejsce, jak Luce się spodziewała, choć jej wyobrażenia były oparte jedynie na scenach z czarno-białych filmów, w których kluby nocne były rześkie oświetlone, jakby należały do zupełnie innego dalekiego świata.

Gdy tylko usiedli, pojawiły się przed nimi dwa rury z coca-colą w wysokich szklankach. Luce spojrzała najpierw na nie, a potem na Stubblefielda.

– El patrón – wyjaśnił. – Przynajmniej na razie.

Na prymitywnym podeście ze sklejki, wznoszącym się zaledwie piętnaście centymetrów nad podłogą, występował trzyosobowy zespół muzyczny. Zarzynał właśnie Baby Blue. Na gitarze,

basie i perkusji. Z wysiłonymi głośnymi wokalizami gitarzysty, z których nie można zrozumieć ani słowa, choć przekaz nie budzi wątpliwości. Perkusista też trochę nadgorliwie walił w bębny i talerze. Gitarzysta szarpał struny i śpiewał, korzystając z pomocy wzmacniacza Fender Bassmas wielkości walizki. Natężenie dźwięku było tak duże, że stale wysadzało lampy, więc obok wzmacniacza trzymał kartonowe pudełko z triodami typu 12AX7 niczym dozorca żarówki. Grał na czarnej lakierowanej gitarze, w której odbijały się światła neonów.

Stubblefield zapytał Luce, czy chciałabym zatańczyć, i odpowiedziała, że na razie nie.

Grane przez zespół covery należały do utworów pisanych jeszcze w czasach, w których wszyscy traktowali piosenki poważniej. Przed dwoma czy trzema laty, kiedy swoje przeboje śpiewali Gabe Vincent, Charlie Feathers i Groovy Joe Poovey. Gitarowe solówki brzmiały wtedy jak uderzenia młotków o blaszany dach i jakiś młody człowiek na skraju poczytalności głośno dawał wyraz swoim tęsknotom i wściekłości, drąc się jak niegdyś Celtowie na polach bitewnych. Dwućwierćminutowe pełne pasji kawałki nadawane głównie przez stacje radiowe, które można było złapać dopiero po zmierzchu.

W pewnym momencie zespół zaczął stroić instrumenty, a potem zagrał oryginalną kompozycję, napisaną przez samego grającego na gitarze wokalistę. Inspirację czerpał najwyraźniej z krążących z rąk do rąk śpiewników oraz Stephena Fostera, Uncle Dave'a Macona i innych starszych bluesmanów. A także George'a Gershwina, Allena Ginsberga i Elvisa. Była to cała historia Ameryki przefiltrowana przez świadomość przystojnego wiejskiego samouka, z czubem nad czołem i telecasterem. Wszyscy tancerze zeszli z parkietu i usiedli. Śpiewając ostatnie linijki, wykonawca ukląkł nabożnie na jedno kolano i zadanie utrzymania kontaktu wzrokowego z publicznością spadło już tylko na członków zespołu, ponieważ solista zwrócił natchniony wzrok ku wyższym rejonom, lepszemu światu, w którym pragnienie brało górę nad zrozumiałością.

Po tym utworze zespół zrobił sobie przerwę. Gitarzysta podszedł do ich stolika i usiadł obok Luce na burgundowym winylu. Ukłon w stronę nowego właściciela. Przed nimi zmaterializowała się następna kolejka rumu z colą, tym razem w trzech szklankach. Przetłuszczone włosy muzyka były w odcieniu supermanowskiej czerni, która nie mogłaby wyrosnąć na głowie żadnego Ziemianina. Miał także wąsy i kępkę zarostu pod dolną wargą, w tym samym absurdalnym kolorze. Ot, wiejski elegant, który chciał się upodobnić do Nathana Bedforda Forresta czy Jeba Stuarta.

– Cześć, stary – rzucił.

Stubblefield nie odpowiedział. Zrobił lekko wyczekującą minę, głównie przez uniesienie brwi.

– I co? – spytał gitarzysta.

– Podobał mi się ten ostatni kawałek – odparł Stubblefield. – Może kiedyś pogadamy o wszystkich odniesieniach. Mógłbyś napisać wersję z przypisami.

– Ale?

– Stwierdzam tylko fakt. Podobało mi się. Choć inni może chcieliby potańczyć. Najpierw się napić, a potem zabawić. Ale niektórzy, jeśli są dość pijani, żeby zatańczyć, są też na tyle pijani, żeby porzygać się na własne buty. Dlatego, jak mówię, czasami przerwa ma swoje zalety. Ludzie siadają na miejsca i zamawiają następnego drinka. Zasada numer jeden: nie możesz zmuszać nikogo do myślenia.

– Cholera – skwitował gitarzysta.

– To był akurat komplement. Nie bierz tego do siebie, jeżeli siadają. Gdy tylko tańczą, nikt nie zarabia.

Luce włączyła się do rozmowy:

– Jeśli chodzi o mnie, nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

– To dobrze czy nie? – chciał wiedzieć gitarzysta.

– Dobrze – odparła. – Słuchałabym tego w kółko, gdyby było na płycie i mogłabym ją odtwarzać na moim gramofonie.

– Bo co?

– Bo ma korbę i wielką mosiężną tubę – wyjaśnił Stubblefield.

– Hm, nie nagraliśmy jeszcze płyty.

Gitarzysta dokończył drinka, wstał i wrócił na podest. Stubblefield, rozrzewniony sukienką Luce, od razu przeszedł do ważniejszej sprawy.

– Trudno uwierzyć, że siedzimy tu razem, po tych wszystkich latach – zaczął. – Wtedy, gdy na basenie spiker wyczytał twoje nazwisko, przez wiele dni nie mogłem myśleć o niczym innym.

– Myślałeś o moim nazwisku? – zapytała Luce. – To przecież niemożliwe. O nazwisku myśli się najwyżej dwie sekundy. Bo nie ma o czym.

– Na nim skupiały się moje uczucia.

– Widziałeś mnie tylko przez minutę, kiedy przedfilowałam wokół basenu z gromadą innych ładnych dziewcząt.

– To była bardzo długa minuta.

– I przywoływało ją moje nazwisko?

Wzruszył ramionami.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Luce. – Albo takie teksty, albo jakieś mrzonki. Od tej pory, jeśli będziesz chciał pogadać o konkursach piękności, dostanę migreny i będę musiała wrócić do domu.

– Dobra – odparł Stubblefield. Rozłożył ręce gestem swojego prawnika, jak szuler z parowca. – Od tej chwili żyję chwilą obecną. Jestem tu i teraz. Koniec z przeszłością.

Luce prychnęła z niedowierzaniem i poniewczasie przytknęła dłoń do ust, jakby tłumiała kichnięcie. A Stubblefield już myślał, że dobrze się bawiła. Z tego, co wiedział o jej obecnym życiu, nie miała wielu okazji do flirtu.

Zespół zagrał na jego użytek kilka sarkastycznie wolnych tańców. Stubblefield wyciągnął więc wcale tak bardzo nieopierającą się Luce na parkiet, żeby zatańczyć hałaśliwe aranżacje Summer Place, Mister Blue, Sleepwalk i Where the Boys Are, w stylu The Ventures oraz Santo and Johnny.

Luce od dawna nie tańczyła, ale zawsze można było się do siebie przytulić i kołysać. I zrobiło się przyjemnie, ale wtedy mimowolnie zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio obejmował ją mężczyzna, i przypomniała sobie noc w centrali telefonicznej. Odsunęła się więc od Stubblefielda i wróciła do mrocznego przedziału oraz nowych magicznych drinków.

– Co się stało? – zapytał Stubblefield z drugiej strony formikowego blatu.

– Nic. Nie mogę dłużej tańczyć. Kiedyś byłam w tym dobra, ale już nie jestem.

– Nie musimy tańczyć.

– Wszystko w porządku. Możemy spróbować później. Zaraz wrócę – odparła.

Wstała i przeszła przez salę, a kiedy mijala bar, jakiś facet przesunął ręką po jej tyłku. Przypadkiem, ale nie przypadkiem. Luce nie spojrzała na niego, tylko szła dalej. Mężczyzna odprowadził ją wzrokiem, rzucił papierosa na podłogę i ruszył za nią.

Kiedy otworzyła drzwi do damskiej toalety, wsunął stopę między drzwi a framugę. Chwyił Luce za ramię i odwrócił do siebie.

Z twarzą przy jej twarzy, zionąc szkocką, zapytał:

– Luce, dlaczego ten twój facet rozpytuje o mnie w okolicy?

Luce nie wiedziała, o co mu chodzi, ale wystarczyło jej jedno spojrzenie, aby się domyślić, z kim ma do czynienia. Bud zamrugał, porażony jasnym światłem nad umywalką w łazience, ale także zaskoczony, że dziewczyna nie skuliła się ze strachu, tylko zaczęła krzyczeć. Kiedy więc ochłonęła i trochę się uspokoiła, wydawał się zbity z tropu. Złapał jednak sens tego, co powiedziała, coś o tym, że jest mordercą, i dopiero po kilku sekundach odzyskał panowanie nad sobą.

– Ładna panno, masz prawo do własnego zdania, ale sąd wziął moją stronę – powiedział. – Wypuścili mnie. I jestem tutaj.

– Urodziłeś się mordercą i oboje wiemy, że zabiłeś moją siostrę, a dzieci to widziały. Zresztą im też coś zrobiłeś.

Luce zauważyła, że wzrok mu zmętniał, i to ją zaniepokoiło. Potem jednak, jak aktor, który na chwilę wypadł z roli i natychmiast do niej wrócił, Bud odzyskał pewność siebie.

– Po co idziesz w tym kierunku? I słuchasz bzdur, które wygadują te bachory?

– Nie wygadują, bo ledwie mówią.

– A to niespodzianka. Nie znałem ich biologicznego ojca, ale mamusia nie była najbystrzejsza. Czego się więc spodziewasz?

– Nie mam pojęcia, dlaczego jakaś kobieta chciałaby za ciebie wyjść. Wiem jednak, że Lily była dobra i ufna, a ja taka nie jestem. I domyśliłam się po ich zachowaniu, co zrobiłeś.

– Ponosi cię wyobraźnia. Ale proszę bardzo, wymyślaj sobie bzdurne historie, które te dzieciaki ci podsuwają. Mam to gdzieś.

Wściekła, nie myśląc rozsądnie, zawołała:

– Już ja ci się dobiorę do skóry!

– Dobierzesz się? – zapytał. – Co to ma znaczyć?

– A jak sądzisz?

– Hm, zastanówmy się chwilę. To może znaczyć różne rzeczy, na przykład że chcesz mnie zabić.

– Zasłużyłbyś na to.

– Posłuchaj, nie jestem prawnikiem, ale zdaje się, że mi grozisz. Tak by to nazwali, gdybym poszedł do sędziego pokoju po nakaz sądowy. Być może trafiłbym nawet na twojego tatusia.

Luce zaskoczyła ta niespodziewana pogróżka oraz to, że mógłby wystąpić przeciwko niej jej własny ojciec, więc przez chwilę nie wiedziała co powiedzieć.

Bud ciągnął dalej, jakby w ogóle nie zaczerpując powietrza:

– A przy okazji, ładna panienko, kim ty jesteś, żeby mi grozić? Już nie jesteś tą gorącą laską co dawniej. Kiedyś byłaś cheerleaderką. Już to sobie wyobrażam. Lepiej niż ty mnie w tych swoich głupich wizjach. Półbuciki, skarpetki do kostek i plisowana spódniczka za kolanko. Wełniany sweterek z nazwą drużyny na cyckach. Czerwone majtki, żeby robić gwiazdy przed

publicznością. Wtedy tu, na tym zadupiu, cheerleaderka musiała być kimś w rodzaju gwiazdy filmowej. Ale teraz? Wszystko zeszło na psy. Mieszkasz na końcu świata, tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, jak powiadacie wy, prostaczki. W tej starej budzie nad jeziorem. Całkiem sama, tylko z tymi pomyłonymi dzieciakami. A noce są tam naprawdę ciemne.

Luce zaczęła oddychać szybko i płytko. Uświadomiła sobie, że ma uchylone usta. Zamknęła je, zaczerpnęła głęboko powietrza i zapytała:

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? Co wtedy nosiłam? Skąd mnie znasz?

– Ogólnie dostępne informacje. Czyli mieszanka faktów i pogłosek. Żadne groźby. W tym kraju na szczęście nie mogą nic człowiekowi zrobić za powtarzanie ogólnie dostępnych informacji. Jeszcze nie.

– To ty spaliłeś mój strój cheerleaderki? – zapytała. – Byłeś w moim domu.

– Spokojnie. Jedyne, co zrobiłem, to przejrzałem jakieś pożółkłe gazety w bibliotece. Nieźle wyglądasz na tych starych zdjęciach z piątkowych wieczorów.

Piosenka się skończyła, więc Stubblefield wstał i ruszył do baru, rozglądając się za Luce. Kiedy stanął w progu sali za barem, zobaczył jakiegoś mężczyznę w drzwiach damskiej toalety, a nad jego ramieniem czubek głowy Luce.

– Co się tu dzieje, do diabła? – zapytał.

Bud odwrócił się, chwycił go za koszulę, szarpnął i wepchnął do łazienki. Pękło lustro. Wszyscy troje znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. Bud zablokował za Stubblefieldem drzwi zasuwką.

Ze względu na małą przestrzeń Luce i Stubblefield stanęli obok siebie przy klozecie. Nad umywalką znajdowała się goła żarówka, jej światło odbijało się w pajęczej sieci lustra. Na ścianie wisiał pojemnik z chusteczkami higienicznymi, umieszczony na tym samym kołku co automat z prezerwatywami po drugiej stronie ściany, w męskiej toalecie. Na białym uchwycie tkwiła rolka papieru toaletowego.

– To Johnson – rzuciła Luce do Stubblefielda.

Bud stanął naprzeciwko niego, przyjrzał mu się i zapytał:

– To ty jesteś tym dupkiem, który o mnie rozpytuje?

Ten odparł:

– Sprawdzalem tylko, czy plotki są prawdziwe.

Bud smutno pokręcił głową.

– Nie pogrywaj ze mną – odpowiedział. – Nie lubię, gdy ktoś dobiera mi się do tyłka.

– Chciałem tylko wiedzieć, co tu porabiasz.

– Hm, jak mówią filozofowie, każdy musi gdzieś być. Nawet siostra Luce przyznaje, że mogę mieszkać, gdzie mi się tylko podoba.

– Czego chcesz? – zapytała Luce.

– Chyba nie masz gdzieś sprytnie ukrytej forsy, co? – zagadnął Bud. – Nie wygląda na to. Ale zdaje się, że twój facet może ją mieć.

– Więc o to ci chodzi?

– To byłoby za proste. Chcę tylko odzyskać to, co moje.

– Czyli dzieci? – spytała Luce.

Bud spojrzał na nią niedowierzająco. Odwrócił się do Stubblefielda.

– Może jest ładna, ale jeśli taka z niej upierdliwa dziwka jak jej siostra i nawet w połowie

jest tak głupia jak ona, to moje najgłębsze wyrazy współczucia.

Stubblefield zamachnął się na niego nieporadnie. Ale zajęło mu to tyle czasu, że Bud cofnął głowę i pięść Stubblefielda ledwie musnęła jego czoło, wytracając całą siłę.

Do czasu, gdy Stubblefield się pozbierał, Bud sięgnął do cholewki swoich robociarskich butów. Wyjął z niej srebrno-czarny nóż sprężynowy z imitacją jelca, jak przy mieczu. Otworzył go jednym ruchem i z rękojeści wyskoczyło tanie chromowane ostrze, budząc się do życia. Miało rynienkę na krew wzdłuż krawędzi i rzucało ząbkowane odbicie.

Bud ugiął nogi i przyjął postawę nożownika, skupiając wzrok.

– Wskazówka prawna. To robi złe wrażenie w sądzie, gdy atakujesz pierwszy. Wygląda na to, że sam sprowokowałeś dalszy ciąg.

Stubblefield podniósł ręce na wysokość ramienia i wyciągnął ręce w geście policjanta z drogówki, który zatrzymuje nadjeżdżające samochody. Bud machnął nożem i przeciął mu wnętrze lewej dłoni do żywego mięsa.

Drepcząc w miejscu jak bokser, patrzył, jak Stubblefield blednie, a po jego ręce spływa krew. Luce nigdy w życiu nie krzyczała i teraz też tego nie zrobiła.

Na stare białe linoleum przy białym klozecie zaczęła kapać ciemna krew. Stubblefield próbował zadać kolejny cios pięścią, ale Bud zablokował go wolną ręką. Stubblefield zgiął się wpół, chwycił zdrową ręką zranioną dłoń i włożył je sobie między kolana. Jego twarz przybrała barwę podłogi.

Bud tymczasem się wyprostował i zostawił Stubblefielda bez żadnego komentarza, jakby ból i strach ofiary były dla niego bez znaczenia. Spojrzał na Luce, powoli wytarł z obu stron ostrze noża o džinsy, a potem wcisnął guzik, aby zwolnić sprężynę, i palcem wskazującym lewej ręki schował ostrze do rękojeści. Powiedział szybko:

– Lepiej dobrze się zastanów, zanim komuś się coś stanie. Mam gdzieś bachory tej dziwki, twojej siostry. Cieszę się, że się ich pozbyłem. Jedyne, co robiły, to krztusiły się przy obiedzie, srały w gacie i przeszkadzały mi się do niej dobrać, gdy miałem ochotę, bo do niczego innego się nie nadawała.

– Ty dupku, nie pozwalala ci się tknąć – odparła Luce.

– Głupia suka, myśli, że jej nie potnę tak jak ciebie – powiedział do Stubblefielda. – Macie zająć się swoimi sprawami i zostawić mnie w spokoju. A jeśli zgłosicie to na policję, dam wam popalić. To, co tu się dziś stało, to nic. Nie chciałem zrobić mu krzywdy. Wyjdzie z tego.

– Ale po co tu przyjechałeś? – zapytała Luce, gdy Bud odwrócił się plecami do wyjścia.

Zatrzymał się i obejrzał.

– Mówiliśmy o faktach i przypuszczeniach. Oto jedno z nich. Z tego, co widziałem, gdyby ktoś tam, nad jeziorem, zaczął wyc, nikt by go nie usłyszał.

Trudno było nie opuścić wzroku, ale Luce wciąż patrzyła mu prosto w oczy i wyrzuciła z siebie:

– Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do mojego domu i tych dzieci, zabiję cię. Możesz pójść z tym prosto do Lita, nie będę się wypierać.

Bud uśmiechnął się szeroko.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale słowo „wyc” znaczy nie tylko krzyczeć z bólu, mam rację?

Odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Stubblefield wciąż stał pochylony, z dłońmi między kolanami. U jego stóp tworzyła się kałuża

krwi. Luce pomogła mu się wyprostować i kazała mu włożyć zranioną rękę pod kran. Ktoś chciał wejść do łazienki, ale wystawiła stopę i zablokowała drzwi.

– Później – rzuciła i zamknęła zasuwkę.

Pociągnęła za papier toaletowy, ale się skończył. Opadająca końcówka wydała jej się brudna. Luce zadarła więc spódnicę i zdjęła halkę koloru rtęci, tak samo błyszczącą, z koronkowym rąbkiem. Nie próbowała nawet podrzeć jej na pasy. Owinęła ją całą wokół ręki Stubblefielda, zaciskając jak najmocniej. Potem oboje wyszli przez tylne drzwi, które kiedyś, gdy trzymano konie, prowadziły do stajni.

Luce prowadziła hawka, którego światła przebijały się przez mgłę na jakiś kilometr, a potem nikły w ziarnistych ciemnościach. Stubblefield siedział pochylony, z bladą twarzą, niemal opierając czoło o deskę rozdzielczą. Krwawiącą dłoń wciąż trzymał między kolanami. Kiwał się na fotelu i powtarzał:

– Cholera, cholera, cholera.

W pewnej chwili wykręcił się i prawą ręką zaczął manipulować przy wewnętrznym oświetleniu u sufitu. Odwinął srebrny pasek ze zranionej dłoni i podniósł ją do światła. Po wewnętrznej stronie przedramienia pociekła krew i zaczęła kapać z łokcia. Stubblefield pochylił głowę i przyjrzał się plamie. Na czarnej koszuli wyglądała jak tłusty zaciek, a na beżowej tapicerce jak to, czym była. Zaraz potem wyłączył światło.

– Trzeba ci będzie założyć szwy – odezwała się Luce.

– Wyglądam jak przeklęta ofiara sekcji zwłok.

– To tylko przecięcie na dłoni. Zrobimy coś z tym.

– Widziałem kości – stwierdził. – Myślałem, że będą białe. A są niebieskawe.

– To ścięgna – orzekła Luce. – Są właśnie takie niebieskie.

– Kości – nie ustępował Stubblefield.

– Poruszaj palcami. Dotknij każdym z nich kciuka.

Zrobił, jak powiedziała, i wszystkie palce miał sprawne. Ale krwawienie nie ustawało.

– Zawiąż mocno z powrotem – poleciała. – Trzeba ci będzie założyć kilka szwów.

– O nie. Tylko nie szpital.

– Właśnie tam jedziemy.

– Nie – zaprotestował.

Luce zwróciła głowę w jego stronę i spojrzała na niego pytająco.

– Jeśli tam pojedziemy, Lit się dowie. Twój ojciec zawsze dowiaduje się o wszystkim.

– No i co z tego?

– Może być niedobrze. Z tego, co słyszałem, on z nim trzyma. Kupuje od niego prochy.

A słyszałaś, co ten facet powiedział. Nie mogę cię narażać.

– Cholera, cholera, cholera.

Luce zatrzymała wóz, kierując reflektory na dom Maddie i wydobywając go z płataniny dzikich kwiatów. Na wpół uschnięte brązowe łodygi, nóżki i źdźbła gięły się łukiem ku ziemi, a ich gęstwinę przecinała wąska ścieżka prowadząca do schodków. Na ganku ani w oknach nie było światła.

Żeby nie przestraszyć Maddie, ze strzelbą wiszącą nad drzwiami na dwóch hakach wyciętych z widelcowatych gałęzi drzew, Luce powiedziała:

– Może posiedźmy tu chwilę z włączonymi reflektorami, a potem zatrąbmy klaksonem.

Stubblefield wyciągnął zdrową rękę i nacisnął klakson, wydając nim przeciągły dźwięk.

W oknie po prawej stronie drzwi frontowych zapaliło się żółte światło. Niemal w tym samym czasie Maddie otworzyła drzwi i stanęła w jasnym prostokącie. Miała na sobie bladą koszulę nocną, która sięgała do nagich stóp. Siwe włosy opadały jej na ramiona. W rękach trzymała strzelbę, opuszczoną pod niewielkim kątem w stosunku do linii horyzontu.

Luce otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i zawołała:

– Maddie, to ja, Luce! Potrzebujemy twojej pomocy.

Maddie opuściła dwururkę, oparła ją o drewnianą ścianę ganku i osłoniła dłonią oczy przed światłem.

– Wyłączcie te przeklęte reflektory i wejdźcie do domu. Tylko pobudzicie dzieci.

Na stosie gorących węgli płonął ogień. Maddie dorzuciła do niego garść szczap oraz świeżo urąbane polano z czerwonego dębu i podpałka natychmiast stanęła w płomieniach. Stubblefield usiadł przy stole w głębi kuchni, a wtedy Maddie włączyła światło, obmyła mu rękę i obejrzała ranę.

– Przeżyjesz – oświadczyła. – Nie jest głęboka. Chyba jest jakiś powód, że nie pojechaliście z tym do szpitala?

– Uhm – potwierdził Stubblefield. – Pewnego dnia, kiedy to stanie się anegdotą, opowiemy ci wszystko.

Maddie przypaliła płomieniem zapalki czubek igły. Polizała koniec czarnej nitki, skrzyła go i pewnym ruchem przeciągnęła przez ucho, a potem odwinęła kawałek nitki ze szpulki i odcięła. Złożyła nitkę w pół i splotła. Położyła rękę Stubblefielda na blacie i kazała mu się nie ruszać. Rana była otwarta, jej brzegi nie chciały się zejść, więc gdy Maddie próbowała je złączyć, Stubblefield wydał dziwny dźwięk, przypominający piskliwie kaszlnięcie.

– Dać ci kawałek drewna do przygryzienia jak na westernach?

– Szyj dalej – rzucił.

Maddie robiła, co mogła, aby zaszyć krwawiące rozcięcie i szybko założyła trzynaście ciasnych szwów, poczynając od mięsistej części dłoni u nasady kciuka aż po mały palec. Potem powoli wylała na rękę pół brązowej buteleczki wody utlenionej. Na ściągniętej linii szwów pojawiła się piana, a krew na blacie stołu wniknęła w słoje drewna.

– Wróżki nie będą już mogły przepowiedzieć ci przyszłości z dłoni – zauważyła Maddie. – Popatrz na tę nową postrzępioną linię miłości. Wszystko zaciera.

– Cha, cha – powiedział Stubblefield, patrząc na swoją poharataną rękę.

– A dzieci? – zagadnęła Luce.

– Niech śpią – odparła Maddie. – Zabierz go do domu, zanim mi tu zemdleje.

Stubblefield siedział w środku nocy przy stole, przy którym jadał śniadanie. Trzymał ranną dłoń powyżej serca, daremnie starając się złagodzić ból. Na blacie z formiki niczym martwa natura stały na w pół opróżniona butelka smirnoffa i pełna szklanka z kolorowym wzorem na szkłe, spoczywająca w kałuży różowej cieczy. Stubblefield zbliżył dłoń do światła. Wciąż sączył się z niej płyn surowiczy. Czarna nitka wyglądała paskudnie na woskowej skórze, jeszcze bledszej niż blat stołu.

Luce osunęła się na fotelu. Nastawiła w radiu swoją nocną bluesową stację. Olśnić kogoś. Przeżyć oświecenie. Tylu muzyków było ślepych albo półślepych. A potem reklama sklepu płytowego i brylantyny do włosów marki Royal Crown.

– On jest biały, wiesz? – zapytała.

– Kto taki?

– DJ. Widziałam go na zdjęciu. Śpiewa jak czarny, ale jest biały, jak my. Jego głos wyraża stan umysłu, facet tak bardzo kocha muzykę.

Przerwała na chwilę i odezwała się znowu:

– Nie powiedziałaś mi.

– Czego?

– Że on tu jest.

– Pogłoski. Musiałem pojechać do biblioteki, w której znajdują się dokumenty z Południa, i dopiero tam się dowiedziałem, że go wypuścili. Nie chciałem cię niepokoić, dopóki nie będę miał pewności.

– Tak na przyszłość, niczego przede mną nie ukrywaj.

Wysłuchali kilku piosenek i zadzwonił telefon. Przysadzisty, czarny, stał na stoliku przy końcu kanapy. Luce szybko podniosła słuchawkę. Stary nawyk.

Usłyszała głos Buda, trzeszczący na linii jak cykanie świerszcza:

– To nie twoje bachory, Luce. Zajmij się swoimi sprawami, zamiast oglądać się wstecz. I pamiętaj, co ci powiedziałem. Trzymaj buzię na kłódkę, bo nie żartowałem.

– Skąd znasz ten numer? – Kiedy wypowiedziała pierwsze słowo, po drugiej stronie linii zapanowała już cisza.

Odłożyła słuchawkę na widelki i spojrzała na Stubblefielda.

– To był on? – zapytał.

Godzinę później Luce wyciągnęła się na kanapie i zasnęła z głową na prawym ramieniu, bez butów. Dziewczęca sukienka, poplamiona krwią, przekręciła jej się w pasie.

Linia jej biodra, uda i łydki wydała się Stubblefieldowi boleśnie ładna i jakoś dziwnie współgrająca z pulsującym rwaniem w jego ręce. Siedział z dłonią nad stołem aż do rana, przy wódce i płynącej z radia niesamowitej muzyce Luce, patrząc na nią, gdy spała. Trzymał rękę jak do przysięgi i wyobrażał sobie dalekie granice, które byłby gotów dla niej przekroczyć.

Ze strachu, a także wyobrażając sobie, jak by się zachował, gdyby miał do czynienia z normalnymi ludźmi, Stubblefield podzwonił w różne miejsca. W ciągu jednego dnia znajomy z Jacksonville zdobył dla niego adres matki Luce.

Jeśli się potrzebuje bezpiecznej kryjówki, to czy jest coś bardziej naturalnego niż wyjazd za rzekę, przez las, do babcinego domku nad morzem na Florydzie? Taki miał plan. Zabrać Luce i dzieci z orbity Buda. Namówić Lolę, żeby wzięła ich do siebie na kilka tygodni. A samemu wrócić i przekonać Lita albo nawet szeryfa czy kogo tam, żeby mieli oko na to, co się dzieje. Usunąć Buda z ich życia.

Luce prawdopodobnie od początku wiedziała, że to zły pomysł, ale też się bała i chciała uwierzyć, że zwykły dystans może ochronić dzieci. Poza tym argument Stubblefielda, aby postępować naturalnie, brzmiał dość przekonująco. Większość ludzi w kłopotach zwraca się przecież do rodziny.

Stubblefield zabrał zalatujący stęchlizną kapokowy materac z ganku i położył go na tylnym siedzeniu hawka. Luce uprażyła popcorn na kuchence i napełniła nim brązową papierową torbę ze sklepu spożywczego, zostawiając brązowe plamy od masła do wysokości jednej trzeciej. Pod wieczór ruszyli na południe. Dzieci, pobudzone, jadły popcorn garściami i chłoneły wzrokiem mijane krajobrazy, mrużąc ciemne oczy przed coraz niżej stojącym słońcem. A potem, po zmierzchu, weszły pod koc i zasnęły kamiennym snem niewiniątek.

Luce przez większość czasu kręciła gałką przy radiu, odnajdując dziwne stacje, jak ta z małego miasteczka, w którym znajdował się na tyle duży dworzec autobusowy, aby reklamować zarówno własny kiosk z gazetami, jak i restaurację, znaną szeroko ze swoich steków, chili dogów i deserów lodowych z bananami.

– W tym samochodzie całkiem nieźle by się żyło – zauważyła. – W ruchomy cel trudno trafić.

Byli już daleko od domu; kiedy wjeżdżali na równiny Georgii, na niebie świecił księżyc w pełni. Kolację zjedli już jakiś czas temu. Cheeseburgery, frytki i koktajle waniliowe zamówione przez głośnik w restauracji dla zmotoryzowanych, które przybyły na aluminiowej tacy przez do połowy otwarte okno po stronie Stubblefielda. Luce nigdy wcześniej nie jadła w tak nowoczesny sposób. Dzieci nawet się nie obudziły, ale na wypadek gdyby zgłodniały, zostawili dla nich pudełko cheerio i kilka puszek z potrawką wołowo-ziemniaczaną. Chętnie jadały płatki śniadaniowe bez mleka, a potrawkę najbardziej lubiły na zimno. Wystarczyło tylko otworzyć oba końce puszek, wepchnąć jedno denko do szarego cylindra, aż wyskoczyła z jakby nietkniętymi brzegami, a potem drugim, o ostrych krawędziach, podzielić zawartość na dwie równe porcje. Luce pomyślała, że przy najbliższej okazji udusi jarmuż z białą fasolą, pomidorami i wędzoną kielbasą, żeby uzupełnić niedobór składników odżywczych.

Jechali przez centrum Milledgeville, akurat gdy kończył się drugi wieczorny seans filmowy. Ucieczka w kajdanach.

– Widziałem ten film – odezwał się Stubblefield.

– I jaki jest? – zapytała Luce.

– Taki, jak można się domyślać – odparł, wskazując ruchem głowy duże plakaty filmowe w podświetlonych szklanych gablotach po obu stronach kasy. Tony Curtis i Sidney Poitier zakuci razem w kajdany, zamierzający rzucić się na siebie wzajemnie, a za nimi, w oddali, przedstawiciele prawa z psami gończymi rwącymi się na smyczach.

– Coś w rodzaju wyścigu w parach, ze związanymi nogami? – zapytała Luce.

– Uhm. Mniej więcej. – Potem, żeby coś powiedzieć, Stubblefield oznajmił: – W tym mieście znajduje się stanowe wariatkowno. A niedaleko stąd mieszkał facet, który napisał Królika spryčiułę. Jakiś czas temu.

Luce, będąc pod wrażeniem jego wiedzy, nie wiedziała, co powiedzieć, a chwilę później Stubblefield jeszcze dorzucił:

– To historyczne miasto.

– Wiedziałam.

Przez południowy kraniec miasta wyjechali na prowincję. Luce manipulowała przy radiu, ale wydobywały się z niego tylko trzaski, z rzadka przerywane zanikającą muzyką. Daleko wśród ciemnych terenów nizinnych, nie wiadomo gdzie, odezwała się nagle:

– Kiedy się zbliżasz do trzydziestki, wciąż będąc samotnym, ludzie zaczynają się zastanawiać, co jest z tobą nie tak. Jakbyś był im winien historię swojego życia miłosnego. Inni w twoim wieku są już przeważnie po ślubie. Dlaczego do tej pory się nie ożeniłeś?

– Kiedyś prawie to zrobiłem.

– Czyli co, byłeś zaręczony?

– Przez krótki czas – odparł. – To nieciekawa historia.

– Może, ale chętnie posłucham.

Stubblefield przedstawił to jako komedię, młodzieńczą głupotę, popełnioną przed kilkoma laty. Choć wtedy sprawa była dla niego dość bolesna. Jego niedoszła żona była córką dealera Cadillaca, co w małym miasteczku dawało pozycję iście królewską. Miała na imię Alice i zainteresowała się nim niedługo po tym, jak się przeniósł na wyspę, gdy był jeszcze w miasteczku tajemniczym nieznanym. Alice była całkiem ładna, miała długie rudawe włosy i zgrabne nogi. Kuszące piegi na nosie i ramionach. Uważała się za nie wiadomo kogo, do tego stopnia, że choć była już w pewnym wieku, nie wyszła jeszcze za mąż i wciąż rozglądała się za kimś, kto wkroczyłby w jej życie.

Jej wszyscy poprzedni chłopcy chodzili w mundurkach i koszulkach polo, jakby należeli do jakiejś żalosnej jednostki paramilitarnej o surowej dyscyplinie. Stubblefield natomiast jeszcze nie wyszedł z krótkiej fazy bitnikowsko-motocyklowej. Czytał małe kwadratowe czarno-białe tomiki wierszy o niepokojących tytułach i nosił kozią bródkę, czarny golf i czarne skórzane spodnie. Ten strój sprawił, że pewnego dnia na Main Street jakaś kobieta spytała go, co takiego podoba mu się w tych nietypowych skórzanych spodniach. Odparł wtedy: „To, że nie trzeba ich prać, wystarczy przetrzeć”.

To był głupi romans, ten z Alice, i dałby początek kilkudziesięcioletniemu nieszczęśliwemu małżeństwu, gdyby miesiąc przed ślubem dziewczyna nie zmieniła zdania. Trafił jej się lepszy kandydat. Ktoś poważny, a nie przelotny kaprys jak Stubblefield. Dawny przystojniak ze szkoły średniej czy golfista, przydupas ojca. Powiadomiła o tym Stubblefielda przez telefon.

Brylant jednak został zwrócony osobiście. Dokładniej mówiąc, Alice rzuciła mu go w twarz,

jakby to on z nią zerwał. Pierścionek uderzył go w brew, a potem upadł na betonowy podjazd przed drzwiami frontowymi. Odbił się i iskrząc w słońcu, poszybował w krzaki.

Surowy ton na koniec rozmowy był z pewnością wymysłem nowego narzeczonego, który zrobił na Stubblefieldzie wrażenie wspaniałomyślnego i stanowczego. Nie chciał zostawić za sobą żadnego śladu, który by mu przypominał, że nie był pierwszym, który zatknął flagę na tym bladym pograniczu.

Tydzień później Stubblefield zamieścił ogłoszenie w miejscowej gazecie: „Sprzedam: jeden (1) pierścionek zaręczynowy z 1,5-karatowym brylantem. Stan: dobry, ze śladami używania. Do kompletu obrączka ślubna. Stan doskonały, nieużywana. Brylanty są wieczne, a złamane serce się zagoiło. Cena: 1 dolar za każdy”.

To przekreśliło jego szansę na korzystne kupno nowego cadillaca, ale zdobyło mu kilku nowych przyjaciół w miasteczku i okolicy. Przez tydzień postawiono mu w nadmorskim barze niejednego tanqueraya. Fundatorzy, młodzi i starsi, wznosili toasty, witając go serdecznie w stowarzyszeniu porzuconych kochanków.

Gdy Stubblefield skończył odpowiadać na jej pytanie, Luce zagadnęła:

– Blade pogranicze?

– To tylko taka metafora.

Później w nocy Luce zaczęła przysypiać, więc Stubblefield objął ją zdrową ręką i przyciągnął do siebie, tak że jej głowa spoczęła na jego nodze, a ciemne włosy rozsypały mu się na kolanach.

Jechał pustą drogą przez jałowe tereny z sosnowymi szkółkami leśnymi, prowadzące na Florydę, i czuł się szczęśliwy, ponieważ w tej chwili wszystko odpowiadało jego wyobrażeniom o tym, jak powinno wyglądać życie. W hawku panowałyby zupełne ciemności, gdyby nie blask lampek na desce rozdzielczej i nachodzące na siebie światła reflektorów. Późną nocą, kiedy zrobiło się mglisto, zatrzymał wóz w zakolu z miejscem piknikowym przy drodze i przespał się godzinę czy dwie z prawą ręką we włosach Luce, a potem ruszył dalej. O świcie w lusterku wstecznym pojawiły się oczy dzieci. Rozjaśnione ciekawością, jaką budziły nowe nieznane krajobrazy.

Wczesnym rankiem okrążyli bagna Okefenokee. Przez trójkątne okienka wentylacyjne wpadało wilgotne powietrze, ciężkie i nagłące. Luce na chwilę otworzyła oczy.

– Co tak śmierdzi? – zapytała.

– Aligatory – wyjaśnił Stubblefield.

– Aha – odparła i z powrotem położyła głowę na jego udzie, a on opowiedział jej o historii i kulturze Florydy. Na przykład mieli tu farmy, na których hodowano węże. Żeby założyć taki interes, no naprawdę... Floryda była pierwszym dzikim zachodem, zanim zrodził się prawdziwy Dzik Zachód. Nie było tutaj żywej duszy z wyjątkiem Indian i Hiszpanów, a potem od razu pojawili się tacy kowboje rewolwerowcy jak John Wesley Hardin. I wciąż jest tu dość dziko, przynajmniej jeśli chodzi o przestrzeganie prawa. Dobry Boże, tu ujdą człowiekowi na sucho różne szachrajstwa. Nawet politycy to przestępcy. Oczywiście, gdzie indziej jest tak samo, ale tu tak się z tym nie kryją, że często kończą w więzieniu federalnym.

Gdzieś w tym miejscu Luce ponownie zasnęła.

Lola mieszkała we Flagler, w ocienionym domku z pustaków, trzy ulice od plaży. Rynny i starego, wysłużonego i pordzewiałego olds rocketa 88, który stał na piaszczystym podwórku, zaścielały liście dębu.

Stubblefield podszedł do drzwi i zapukał. Luce, Dolores i Frank zostali w samochodzie.

Na progu stanęła Lola w brązowym kostiumie kąpielowym i narzuconej na niego rozpiętej kwiecistej tunice. Była boso, palce u stóp miała pomalowane na różowo. Piegowaty rowek między opalonymi piersiami był biały, poniżej rysował się cał kremowej skóry. Mokre włosy opadały jej na ramiona. W ustach trzymała papierosa.

Stubblefield pomyślał, że się pomylił, przyjechał nie tu, gdzie trzeba. To nie była ta babcia, którą sobie wyobrażał. Przedstawił się i powiedział, kogo przywiózł. Jej córkę Luce i dzieci zamordowanej Lily.

– Coś mi to mówi – odparła Lola suchym tonem, z papierosem w ustach. – Jak mnie znalazłeś?

– Zadzwoniłem w pewne miejsce.

– Nie, żebym się ukrywała czy co.

– Oni potrzebują pani pomocy – powiedział.

A ona na to:

– Taaa?

Luce przyjrzała się Loli z samochodu. Jej matka. To słowo przywoływało jedynie mgliste wspomnienia. Krzyków. Szorstkich uścisków. Przystawionej blisko twarzy, która zalatywała wild turkey i składała pocałunek na jej czole, zostawiając na nim cukierkowy ślad barwy czerwonego jabłka.

I coś tu się nie zgadzało. Matka musiała być... Stara, co najmniej. Luce dokonała w głowie pospiesznych obliczeń. Wynik ją zaskoczył: niespełna czterdzieści pięć lat. W dodatku Lola wyglądała młodo jak na swój wiek, bo przede wszystkim była bardzo ładna i wydała na świat tylko dwie córki, jedną po drugiej, jeszcze jako nastolatka. Poza tym udało jej się uniknąć kłopotów i trosk związanych z ich wychowaniem. Miała więc mały przebieg, i to po dobrej drodze, nie po wybojach. Jeśli do tego dodać piersi na widoku, potargane włosy i plażowy strój, prawdopodobnie w każdym bardziej korzystnym świetle niż południowego słońca mogłaby uchodzić za starszą siostrę Luce.

Wysiadła z samochodu, przesunęła oparcie fotela i wypuściła dzieci, które natychmiast zaczęły eksplorować nowe otoczenie, znowu niczym dwójka różdżkarzy, śledząc niewidzialne linie sił pola magnetycznego, dzieląc powierzchnię na kwadraty, zginając się, szukając czegoś jeszcze innymi zmysłami niż pięć tradycyjnych. Wreszcie zatrzymały się w odległości trzech metrów od siebie i stanęły, nie patrząc na nic w szczególności, ale nadal czujne.

Nie nastąpiło typowe powitanie matki z córką. Uścisk byłby przesadą, a podanie ręki nie wchodziło w grę. Lola odrzuciła głowę do tyłu i kącikiem ust wydmuchnęła dym z papierosa, a Luce od razu przeszła do rzeczy.

– Mąż Lily, Bud. Robił z dziećmi różne rzeczy. A potem ją zabił. I niedawno przyjechał do miasteczka. Grozi nam. A Lit nic w tej sprawie nie robi, bo kupuje od niego prochy.

– A niech mnie. Ciekawe, dlaczego stamtąd wyjechałam? – rzuciła Lola.

Stubblefielda zabolala obandażowana ręka. Spojrzał na całą czwórkę, dostrzegając pewne rodzinne podobieństwo w kształcie skrzydełek nosa, układzie oczu. Ale Lola i dzieci nie rwały się do siebie. Bliźnięta patrzyły na babkę jak na ducha, który ukazał im się w innym wymiarze.

– Nie nadaję się na babcię – stwierdziła Lola.

– Ani na matkę – zauważyła Luce.

– A to dopiero nowina, Luce. Ty też się nie nadajesz. Jesteśmy z tej samej gliny. Tylko Lily była inna.

– Nic o mnie nie wiesz – odparła Luce. – Nie jestem taka jak ty. A jeśli nawet kiedyś byłam, to się zmieniłam.

– Ludzie się nie zmieniają – orzekła Lola. – Może jesteś jeszcze na tyle młoda, aby sobie wmawiać, że tak nie jest. Ludzie są, jacy są, i trzeba się z tym pogodzić albo odejść.

– Ja nie odeszłam. Tak jak żadne z nas.

– Ale ja to zrobiłam. Nie mogłam z wami wytrzymać ani dnia dłużej.

Stubblefield stał z boku i milczał, ale w końcu się odezwał.

– Wielki Boże.

Lola spojrzała na niego, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

– To moje ostatnie słowo – zakończyła. – Nie pomogę wam. Może zresztą trochę przesadzacie. Słyszałam, że go wypuścili. Czasami przysięgli się nie mylą. Co nie znaczy, że nie jest mi przykro z powodu Lily. Ale kiedy odchodzę, to odchodzę. Nie oglądam się wstecz. I nie potrzebuję rodziny. Zrobię wam kanapki z szynką i pogadam z wami o starych dobrych czasach, jeśli chcecie. Ale potem będziecie musieli zapakować się z powrotem do samochodu i wrócić do domu.

– Do diabła, możemy zjeść hamburgera gdzieś po drodze – powiedziała Luce. – Nie musimy słuchać twojego bredzenia.

– Cóż – włączył się Stubblefield. – To chyba wszystko. Dolores i Frank, uściskajcie serdecznie babcię na pożegnanie.

Dzieci nie zareagowały na to wezwanie, tylko wymieniły spojrzenia.

Lola po raz ostatni zaciągnęła się papierosem, rzuciła petem w Stubblefielda i weszła z powrotem do domu. Niedopałek odbił się od jego piersi, siatkowe drzwi uderzyły kobietę w ciągle ponętny tyłek, a potem się zamknęły.

Zanim zdążyli wsiąść do samochodu i odjechać, Lola wystawiła głowę za próg i wykrzyknęła:

– Nigdy nie kochałam żadnego z was!

W drodze powrotnej na północ Stubblefield pojechał A1A, żeby Luce i dzieci zobaczyły ocean. Od wielu dni się nie wysypiał, był zupełnie pozbawiony adrenaliny, więc przerzucił się na kawę z restauracji dla zmotoryzowanych. Wzrok, słuch i tryb myślenia miał jakby zapiaszczone.

W okolicach St. Augustine przyciągnął Luce do siebie.

– To był błąd z mojej strony – powiedział. – Myślałem, że zabiorę was w bezpieczne miejsce. Nie spodziewałem się, że tak to się potoczy.

– Ja powinnam była to przewidzieć. Ale uległam nadziei. To moja wina.

Jechali jakiś czas w milczeniu, z prawej strony mieli Atlantyckie, a po lewej kępy palmatek. Stubblefield próbował uporządkować myśli.

– Są ludzie, którzy próbują przerzucić swoje problemy na kogoś innego. Jeśli im się na to pozwoli, robią tak stale, a potem odchodzą, bez poczucia winy, nie oglądając się za siebie. A jeśli się nie pozwoli, zwalają je na inną osobę, która się na to zgadza. Ty i Lily nie miałyście wyboru, musiałyście brać na siebie to, co zrzucała na was matka. Wszyscy inni byli głupcami, bo pod wrażeniem jej urody przestawali być sobą.

– Jest ładna, prawda?

– Po kimś musisz to mieć.

Przebyli promem St. Johns, przejechali wyspę Little Talbot, a potem dostali się na Amelię. Gdy przejeżdżali niskim drewnianym mostem, latające ryby wyskakiwały z wody aż na wysokość okien samochodu.

Stubblefield zajrzał do portfela i dokonał pewnych obliczeń. Mogli zatrzymać się na jakiś czas w nadmorskim miasteczku, w którym kiedyś mieszkał, z fortem, latarnią morską i łodziami do połowu krewetek. Nie byłby to ten wymarzony wypad nad Zatokę, jaki sobie wyobrażał. Żadnych ostryg w barach na plaży, tańców do muzyki z szafy grającej ani nocnych kąpiei w morzu. Nie mogli być tam młodzieńczo beztroscy. Raczej przestraszeni i niepewni, co dalej.

Ale korzystając z pięknej jesiennej aury, odpoczywali i spacerowali po plaży. Dzieci biegały brzegiem morza, rzucały w siebie muszelkami i brodziły w zimnej wodzie, a potem padały na piasek zmęczone i zadowolone. Pozwalały się Luce owijać rącznikami i ścisnąć przez chwilę, po czym znowu się od niej odcinały.

Któregoś popołudnia, przed zachodem słońca, Stubblefield rozpałił ognisko z małych kawałków drewna, wyrzuconych przez morze, i dzieci były zachwycone. Siedziały spokojnie i patrzyły w płomienie. Dolores po jakimś czasie wstała, zebrała na wydmach wyschnięte trawy i podeszła z nimi do Stubblefielda, siedzącego z Luce przy ognisku. Trzymanymi w dłoni czterema długimi źdźbłami lekko uderzyła go w oba ramiona. Było to bardzo ceremonialne, jak pasowanie na rycerza. Potem rzuciła trawy do ognia i cofnęła się, patrząc nad nim w dal swoimi ciemnymi oczami. Zatrzymała się w pewnej odległości, jakby czekała, aż coś się zdarzy.

Stubblefield podszedł do linii przyływu, pozbierał wstążki wodorostów i korzystając ze swoich skautowskich umiejętności, skrzył je i splótł. Związał końce, żeby zrobić z nich wianek, który włożył Dolores na głowę. Ona natychmiast zrzuciła ozdobę, ale po chwili ją podniosła i nałożyła z powrotem, a następnie powędrowała w stronę piaskowców, drepczących nad samą wodą. Frank siedział przy ognisku i przyglądał się temu wszystkiemu, a potem podszedł do Luce i stanął nad nią.

– Jeśli też taki chcesz, powiedz: „poproszę” – rzekła.

– Powiedz poproszę – odparł.

Więc Stubblefield zrobił wianek i dla niego.

Co wieczór podczas pobytu nad morzem jedli krewetki – była to dla Luce nowość i nie mogła się nimi nasycić. Dzieci, wykończone, kładły się wcześniej do łóżka i przy kojącym szumie fal spały aż do świtu. Luce i Stubblefield siedzieli w domku na sofie, słuchali radia i przytuleni do siebie całowali się jak nastolatki. Każda piosenka była jakąś wersją Oh Baby, Baby. Ale gdy tylko Stubblefield przekraczał pewną granicę, Luce wstawiała, szła do sypialni i zasypiała z dziećmi. Robiła to uroczo, jakby z żalem, ale odchodziła. Stubblefield, zostawiony sam sobie, czytał i próbował podchodzić do sprawy z galanterią, aż w końcu zasypiał.

Jednak pewnej nocy, pod koniec pobytu, Luce wróciła. Stubblefield drzemał na sofie, z książką ze swojej samochodowej biblioteki na piersi. Obudził się, czując na twarzy dłoń, która następnie zsunęła się za kołnierzyk jego koszuli na ramię. Luce wbiła mu palce w mięsień nad obojczykiem i przyciągnęła go do siebie, co było trochę bolesne. Pocałowała go namiętnie i powiedziała: „Byłoby cudownie któregoś z tych dni”.

Zanim Stubblefield zdążył oprzytomnieć i poprosić, żeby została, Luce odeszła i już drzwi się za nią zamknęły. Później leżał bezsennie długo w noc, z nędzną namiastką poezji, słuchając pierwszej czterdziestki przebojów radiowych.

Z każdym dniem ubywało pieniędzy. Ostatniego wieczoru, gdy siedzieli na sofie przed pójściem spać, Stubblefield opowiedział Luce bajkę o tym, jakby to było, gdyby nie wrócili nad jezioro. Ruszyliby w drogę i zanim by się zorientowali, mknęliby o świcie dwupasmową asfaltówką do Nebraski. Przed sobą mieliby zachodzący księżyc, za sobą wschodzące słońce. Piłiby kawę kupowaną w czynnych całą dobę zajazdach dla kierowców ciężarówek, a na śniadanie jedliby na spółkę pączki, po trzy na głowę. Za Red Cloud słuchaliby stacji radiowych informujących o cenach pszenicy, a potem Spade'a Cooleya i Sons of the Pioneers, oddających w zaledwie dwóch piosenkach bujność i melancholię słynnych samotnych prerii, z ich nagłym świtem, jak zapalenie zapałki, i nocnym niebem, przepastnym niczym umysł Boga. Luce stanowiłaby najwyższą sylwetkę na przestrzeni ciągnących się milami połaci trawy. I żeby to życie stało się snem, siedzieliby na kocach w polu pszenicy i patrzyli na gwiazdy oraz planety, wędrujące ku zachodowi po kopule nieba, aż wszyscy z nich by zasnęli.

– Cudownie – powiedziała Luce. – Zrobimy tak. Któregoś dnia.

Wyjechali dopiero późnym popołudniem. Zanim przebyli posępne lasy sosnowe na granicy stanu, zapadł już zmrok. Dzieci spały z tyłu na materacu, zmęczone po dniu spędzonym na plaży. Luce kręciła gałką przy radiu, tam i z powrotem, przez różne częstotliwości. Od czasu do czasu pojawiały się jakieś głosy albo fragmenty muzyki, przerywając trzaski i szumy interferencji. Nie odzywała się ani słowem. Nie płakała, ale z każdą przebytą na północ milą w samochodzie narastał w niej strach, niczym podnoszący się poziom wody.

Stubblefield próbował przyciągnąć ją do siebie. Ona jednak jakby zamieniła się w jeden wielki napięty mięsień, stawiający opór. Gdy tylko cofał rękę, rozluźniała się i pochylała w jego stronę.

– Pytałam cię, dlaczego się nie ożeniłeś, ale ty nie zapytałeś mnie, dlaczego nie wyszłam za mąż.

– Bo jestem z tego zbyt zadowolony.

– Hm. Jest może ze dwadzieścia powodów, ale może chciałbyś poznać jeden z nich.

– Jeśli tylko chcesz mi powiedzieć.

– Nieważne, czego ja chcę. Powiedzieć ci czy nie?

– Tak, powiedzieć.

Opowiedziała mu więc w skrócie tę historię. O pokoiku nad drogerią obok kina. O bibliotece z drobną bibliotekarką. O centrali telefonicznej w dawnym hotelu z ciemnymi korytarzami. Ścianie z bakelitowymi gniazdkami, łóżku polowym i kocu. Panu Stewarcie i medaliku ze świętym Krzysztofem. Bez złości, bez emocji. Przedstawiła same fakty.

Kończąc, wyjaśniła:

– Przeżyłam to jakoś, więc jeśli nie możesz tego słuchać, zawieź mnie do domu i idź do diabła. Mężczyźni czasami bywają dziwni.

Stubblefield prowadził samochód, zastanawiając się, co powiedzieć. Jakby to miało być zaklęcie. Kilka cudownych słów, które sprawiają, że spełnia się marzenie. Ale nic nie przychodziło mu na myśl. W końcu wyrzucił z siebie wszystko naraz:

– Przykro mi, kocham cię, zabiłbym tego drania.

– On ruszył dalej – wyjaśniła Luce.

– Znalazłem Lolę. Mógłbym znaleźć i jego.

– Miła propozycja, ale to już przeszłość.

Znowu zaczęła manipulować przy radiu, a potem je wyłączyła, obróciła się na fotelu i położyła na plecach, kładąc głowę Stubblefieldowi na kolanach i patrząc przez przednią szybę na znikający za sosnami półksiężyc, raz jasno świecący, raz zachodzący za chmury, dopóki nie zasnęła.

To powinna być zwyczajna nocna przejażdżka, jak wszystkie inne, ale gdy tylko zadziałały prochy w połączeniu z piwem, gwiazdy zaczęły tańczyć i wirować, Lit wrócił do pytań, które zadawał mu latem, kiedy potrzebował pobudzaczy. Różnica polegała na tym, że teraz drzewa były już prawie łyse, a wtedy odpowiedzi tak naprawdę nie miały dla niego znaczenia.

Lit nie mógł mieć żadnego konkretnego tropu, którym mógłby pójść, tylko plotki z sali bilardowej i chrzaniony instynkt przedstawiciela prawa, jak dotąd zmącony potrzebą pigulek. A jego podejrzenia wynikały z działań samego Buda, bo gdy się upijał, gadał z niewłaściwymi ludźmi. Sam był sobie winien, no może nie w przypadku tej suki, siostry Lily, gdyby zignorowała jego ostrzeżenie i poszła do Lita, wstawiając mu sentymentalną gadkę o zamordowanej córeczce albo tych głupich wnuczętach. Tu Bud się zatrzymał, bo nigdy do tej pory nie myślał o Licie jako dziadku, który mógłby mieć coś do niego. Był jednak głęboko rozczarowany, że nawet najlepszy kumpel zaczął się zachowywać dziwnie.

Lit próbował zbadać przeszłość Buda, ale nie wspominał przy tym o Lily. Ani o podejrzeniach Luce dotyczących dzieci. Niemniej wszyscy oni należeli do historii, która tak ciekawiła Lita. Choć Bud starał się udzielać wymijających odpowiedzi, zmieniać temat, gdy tylko się dało, Lit nie odpuszczał. Wszystkie jego pytania wiązały się z tożsamością Buda. Jak się właściwie nazywał? Gdzie mieszkał przez całe swoje życie? Czy był kiedykolwiek żonaty? Czy w swoim poprzednim życiu spotkał kogoś, kto się tu wychował?

Buda męczyły już wysiłki, żeby na prochach i po piwie zachować wobec Lita zimną krew. Próbował kłamać i unikać pytań, ale kiepsko mu szło. Wiedział, do czego to wszystko zmierza. Lit usiłował zapędzić go do rogu. A Bud nie mógł kłamać w nieskończoność. Zapominał, co mówił wcześniej, i po kilku dniach, gdyby Lit znowu wrócił do tematu, powiedziałby coś, co przeczyłoby poprzednim kłamstwom. Człowiek zawsze na tym wpadał. I już go mieli.

– Daj spokój, chrzanić to – powiedział teraz. – Kogo obchodzą stare dzieje? Myślałem, że jesteśmy kumplami.

– Chyba jesteśmy – odparł Lit. – Ty wiesz dużo o mnie i o moim życiu, a ja o tobie niewiele. Chcę, żebyś był ze mną szczery.

Budowi zalatywało to wyrachowaniem. Lit martwił się, że może stracić źródło benzedryny, gdyby jego pytania zaprowadziły ich nie tam, gdzie trzeba.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał. – Żebym był szczery? A tak dobrze się tu bawiłem. Myślałem, że kumple jeżdżą na przejażdżki po okolicy, mówiąc sobie kłamstwa, piją piwo i biorą prochy.

– To też. Ale ludzie pytają mnie o ciebie i muszę znać prawdę.

– Nie wstawiaj mi kitu – odrzekł Bud. – Już dawno się przekonałem, że jeśli ktoś zaczyna gadać o prawdzie, chce cię wystawić. Prawda nie leży w naturze ludzkiej. Cokolwiek sobie mówimy, ty mnie albo ja tobie, to tylko wymiana wrażeń i gówna wartych opinii. Prawdziwa prawda jest dla ludzi niedostępna. Widzimy tylko jej przebliski w oddali, bo tak zostaliśmy

stworzeni.

– Nie. To wcale nie tak.

– Tak, tak. Ludzie kochają słowo „prawda”, ale używają go jak pałki, żeby dać ci w łeb. Gdybyśmy nabili sobie głowy prawdą, nie moglibyśmy z tym żyć. Ale ponieważ jesteśmy kumplami, chętnie wysłucham twoich wrażeń i opinii, a może nawet wyrażę własne, jeśli będziemy nazywać rzeczy po imieniu.

Bud zamilkł i spojrzał przez okno na niewiarygodnie wielki księżyc. Patrzył przed siebie, z podniesioną głową. Panika, jaką czuł w trzewiach, zmalala, gdy zaczął się zastanawiać, ile by kosztowało ściągnięcie tu siwowłosego adwokata. Facet żywcem zjadłby w sądzie tych wieśniaków. Rozprawiliby się z nimi w dwie godziny.

Lit jechał dalej w góry. Po kolejnym piwie znowu zaczął wypytywać go o różne miejsca, daty, nazwiska.

– A gdybym zadzwonił do stolicy stanu i zapytał, czy mają tam w rejestrach coś na niejakiego Johna Gary’ego Johnsona? Poprosiłbym, żeby wsadzili to do koperty i przysłali. Zwłaszcza zdjęcie. Miałbym to wszystko za kilka dni. Czego bym się dowiedział? Nic do ciebie nie mam, ale powiedz mi coś o sobie. Ludzie gadają.

– Jacy ludzie? Twoja zwariowana córka z tymi swoimi wymysłami?

– Nie.

I wtedy do niego dotarło. Kogo się właściwie bał? Miał już jeden proces i nic mu nie zrobili. A ostatnim razem podczas rozmowy telefonicznej adwokat powiedział, że chłopcy z prokuratury okręgowej podwinęli ogony pod siebie po laniu, które im spuścił, i bez nowych dowodów raczej nie wrócą do sprawy. Więc Luce mogła wygadywać o nim i dzieciakach, co tylko chciała, dopóki nie miała świadka. Od jakiegoś czasu Bud miał wrażenie, że wrze jak powierzchnia wody tuż przed zagotowaniem. Ale teraz się uspokoił i odzyskał pewność siebie.

– Przypuśćmy, że twoje podejrzenia i plotki krążące po miasteczku są prawdziwe. Masz problem, bo sąd mnie uniewinnił.

Lit jechał przez chwilę w milczeniu, a potem spojrzał na Buda z ukosa. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Jedną jej połowę oświetlały zielone wskaźniki na desce rozdzielczej, a druga połowa była pogrążona w mroku.

– To dla mnie żaden problem. Nie mówię o prawie. O procesach, sędziach ani przysięgłych. Ani o adwokatach. Mówię o sprawiedliwości.

Być może Bud powinien był ciągnąć dalej swoją fanfaronadę, ale wpadł w panikę, widząc minę Lita. Widział go już w akcji. A wiedział z doświadczenia, że walka wręcz rzadko bywa najlepszym wyjściem. Poza tym nie dałby Litowi rady, chyba że dopisałoby mu wyjątkowe szczęście. A przeważnie się od niego odwracało.

Więc musiał zaatakować pierwszy. Załatwić sprawę brutalnie. Była to stara mądrość, pochodząca jeszcze od Stonewalla. Pewnego razu jego wojska zostały otoczone przez przewyższających ich liczebnie i pod względem uzbrojenia Jankesów. Podwładny zapytał go, co mają robić, a on odpowiedział: „Zabić ich wszystkich”. Podobno było mu z tego powodu przykro.

I tak właśnie poczuł się Bud, gdy nagle, podczas jazdy ku czterystumetrowemu podjazdowi, bez żadnej zapowiedzi wbił Litowi w pierś nóż sprężynowy. Wepchnął go głębiej tam, gdzie znajdowały się najważniejsze organy wewnętrzne, tłuste i ciemne. Przy każdym jego ruchu rana stawała się szersza i głębsza.

Lit stracił panowanie nad samochodem, który zaczął zjeżdżać z drogi.

Bud pochylił się i jedną ręką złapał kierownicę. Przerzucił nogę nad osłoną skrzyni biegów i kopnięciem zepchnął stopę Lita z pedału gazu. Samochód wyrównał kurs, zwolnił i stanął. Potem, przy zgrzycie biegów, skacząc w miejscu, powoli zaczął się staczać do tyłu, dopóki Bud nie wcisnął lewą stopą hamulca.

Zatrzymali się ukosem pośrodku stromej czarnej drogi, z reflektorami skierowanymi w drzewa. Lit żył, ale było z nim kiepsko. Obiema rękami trzymał się za ranę w boku. Nie panował jednak nad ruchami głowy.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – spytał Bud.

Litowi spomiędzy palców wypłynęła krew. Był blady.

– Co? – nie zrozumiał.

– Myślałem, że jesteśmy kumplami.

Lit otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Lepiej ja poprowadzę – oświadczył Bud.

Wysiadł po stronie pasażera i obszedł samochód.

Zanim stracił przytomność, Lit zobaczył księżyc w pełni, świecący nad wierzchołkami drzew, i Buda przechodzącego w blasku reflektorów za przednią szybą.

Bud pchnął Lita, tak że jego głowa spoczęła na oparciu fotela dla pasażera. Wrzucił jedynekę i wjechał po stoku na górę. Gdzieś po drodze Lit wyzionął ducha.

Potem, po drugiej stronie jeziora, na wąskiej drodze gruntowej, Bud wyciągnął Lita z wozu i zawlókł go głęboko do lasu. W dzicz. Być może w dalekiej przyszłości, epoce latających samochodów, jakiś siwowłosy myśliwy natknie się na tajemniczy kredowobiały szkielet, objedzony z mięsa przez jeżozwierze i szczury drzewne.

Bud zajechał wozem patrolowym na koniec jeziora, za tamę, gdzie piętrzyła się woda. Znalazł stromy brzeg i zepchnął z niego samochód. Wcześniej opuścił szyby, podniósł maskę i otworzył bagażnik. Na powierzchnię wody wydobyły się wielkie srebrne w blasku księżyca bąble. Potem czekała go długa wędrówka do domu. Szedł przez wiele kilometrów, wypatrując zbliżających się reflektorów samochodowych, ale oczywiście w środku nocy żadne się nie pojawiły. W miasteczku na trzech skrzyżowaniach błyskały żółte światła, a ulice były zupełnie puste. Aby przekonać samego siebie, że jest nieustraszony, kroczył środkiem chodnika.

– Powinien pan sprawdzić tego bimbrownika – oświadczyła Luce.

Szeryf zapytał z za biurka:

– Kogo sprawdzić i po co?

– Johnsona. Zamordował moją siostrę, a teraz pewnie i Lita. Boję się o dzieci. Może im coś zrobić, jeśli go nie powstrzymam. Zaopatruje w bimber większość hrabstwa, a pan nie wie, kim on jest?

– Wiem, kto tu jest bimbrownikiem, ale nie słyszałem o żadnym Johnsonie. Ludzie nazywają go Bud. Doceniam twoje zaangażowanie, ale takie są fakty. Chcesz, żebym cię poklepał po plecach czy odpowiedział szczerze?

– Jasne, że wolę szczerść.

– Wobec tego tamto oskarżenie o zabójstwo zostało oddalone. A jeszcze nie wiemy, czy Lit rzeczywiście nie żyje. Wiemy tylko, że zaginął. Być może rzucił wszystko i przeniósł się gdzieś do Teksasu albo Maine. Nie jest z tych, co składają dwutygodniowe wypowiedzenie. Poza tym narobił sobie wrogów w czterech czy pięciu hrabstwach. Dobrze o tym wiesz.

Luce poczuła zmęczenie.

– Wiem, że to robota Buda – odparła. – I że bardzo skrzywdził dzieci.

Szeryf zrobił taką minę, jakby stać go było na pobłażliwość.

– Skąd możesz to wiedzieć, Luce? – zapytał.

– Wzięłam je do siebie i widzę. Ktoś zrobił im coś okropnego.

– Tak mówią?

Luce już miała odpowiedzieć: „Może nie słowami”. Ale natychmiast się zorientowała, że to nie jest odpowiednia pora, aby się trzymać prawdy. Zamknęła więc usta i spojrzała szeryfowi w oczy.

On zamilkł na chwilę jak aktor udający, że się zastanawia, a potem odpowiedział:

– Będę miał Johnsona na oku. Zależy mi na odnalezieniu Lita jak wszystkim innym. Ale nade wszystko bardzo mi cię żal. Widuję cię w miasteczku od czasu, gdy byłaś ciemnowłosą dziewczynką, porzuconą przez matkę. Wiele przeszłaś. Potem straciłaś siostrę i wzięłaś do siebie dwójkę pokręconych dzieciaków. A teraz jeszcze zaginął Lit, który i tak był kiepskim ojcem. To naturalne, że szukasz winnego. Jednak życie to nie bajka i zrzuca na ciebie ciężary, gdy jesteś już tak przywalona, że nie możesz zrobić kroku dalej. Mozolne stawianie stopy za stopą i posuwanie się naprzód to jedyna przyjemność, na jaką możesz liczyć po wyjściu z okresu młodości.

– Posuwanie się naprzód w jakim celu?

– Bez celu. Przestań doszukiwać się powodów. Lit codziennie szukał wrażeń, jak wtedy gdy miał osiemnaście lat, i tylko ściągął na siebie kłopoty. Nie popełniaj tego samego błędu.

Luce przejrzała swoje nieliczne pamiątki z poprzedniego życia, aż znalazła ostatni piękny ojcowski prezent dla niewinnej szesnastoletniej córki. Zgrabną brzytwę z połyskującą perłową rączką. Ostrze stanowiło długi prostokąt z błękitnej stali, z zakrzywionym czubkiem służącym do

otwierania go, i było tak cienkie, że zniszczyłaby je już pierwsza próba zaostrenia na najlepszej nawet osetce. Do tego celu można było użyć jedynie grubego natłuszczonego skórzanego pasa.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział wtedy Lit. – Dźgnij tym faceta gdziekolwiek, a będzie miał duży kłopot z zatamowaniem krwawienia. To ostrze samo dąży do kości.

Nastoletniej Luce taki podarunek wydał się czymś nieskończenie głupim, a sam ojciec – idiotą. Nie wzięła sobie do serca jego sugestii, że zło czai się wszędzie. Wtedy jeszcze sądziła, że żyje w cudownym świecie. Sielskim i spokojnym.

Schowała więc brzytwę na dno pudełka po butach, w którym trzymała różne drobiazgi. Obsadki zużytych szminek, złamane szylkretowe klamerki do włosów, pojedyncze kolczyki, rozciągnięte gumki do włosów, suszone kwiaty z połamanymi płatkami, starte kawałki szmergla, pordzewiały klucz do kościoła, żółty plastikowy krążek do nakładania na talerz adaptera, żeby odtwarzać czterdziestki piątki, pierścionek od chłopaka z drużyny sportowej, który przez miesiąc nosiła na łańcuszku na szyi.

Gdyby potraktowała prezent od ojca poważnie i nosiła go cały czas przy sobie, mogłaby poderżnąć panu Stewartowi gardło. Trysnęłaby krew, która polałaby się na jego białą koszulę i klapy tweedowej marynarki. Podniecony, wykonujący pchnięcia biodrami pan Stewart daremnie próbowałby zaczerpnąć powietrza przez tchawicę wystającą mu z gardła niczym koniec węża ogrodowego. I załatwiłaby go.

A więc, patrząc z perspektywy czasu, być może jednak Lit wiedział coś niecoś o życiu. Historia stara jak świat. Dzieci, dorastając, odkrywają mądrość rodziców. Pod warunkiem że mądrze jest nosić przy sobie tak ostre narzędzie, bo jeśli się nim kogoś zrani, ten wykrwawi się na śmierć.

Stubblefield był z kolei posiadaczem starego pistoletu. Zaraz po pożarze domu przeszukał zabudowania, żeby znaleźć jakąś pamiątkę. W wędzarni trafił na kolta kalibru 32–20, rdzewiejącego w drewnianym pudle z innymi narzędziami. Ostrzem siekiery, przebijakiem, różnej wielkości dłutami, heblem. Z tego, co pamiętał, tego pistoletu używano do zabijania węży na podwórku albo łasic czy lisów, próbujących dostać się do kurnika. To więc logiczne, że skończył w pudle na narzędzia. Nie był dla dziadka symbolem męskości, żadnym tam kaprysem. Był to zwykły kolt, bez ozdób z niklu czy masy perłowej, podniszczony, z rysami na rękojeści. Ale, oczywiście, był to pistolet i to jego, nie hebel, Stubblefield postanowił zabrać na pamiątkę. Wyczyścił go, naoliwił i położył obok adapteru jako dzieło sztuki. Teraz udał się do Western Auto, żeby zapytać, czy mają tam pociski do tego typu broni.

Facet za ladą odpowiedział:

– Jasne, że mamy. Staruszkowie z wąwozów wciąż ich używają.

Stubblefield kupił więc pudełko remingtonów, ale przy drzwiach się zatrzymał i dokupił jeszcze trzy.

– Wybiera się pan na wojnę? – spytał sprzedawca.

Po powrocie do domu Stubblefield postanowił przenieść się do Chaty, czy Luce się to podobało się, czy nie. Spakował najważniejsze rzeczy. Trochę ubrań na zimniejszą pogodę, adapter, Kind of Blue, no i pistolet.

Gdy po przyjeździe do Chaty zaczął to wszystko wypakowywać, nie było dyskusji. Nawet dzieci pomagały przynieść rzeczy z samochodu.

Tamtej nocy wszyscy spali razem w salonie. Dzieci w swoich łóżkach przy ogniu. Stubblefield i Luce w pozycji półleżącej, na ławie ze skrzynią, trzymając stopy na otomanie, on ze zdrową ręką we włosach dziewczyny. Nie dokładali do ognia i ściszyli radio, żeby słyszeć odgłosy z zewnątrz. Pistolet leżał pod ręką, a drzwi zostały zamknięte na klucz.

Pierwszy dzień zimnego wiatru, nawet z czapami śniegu wysoko na szczytach gór, gdy przeszedł front atmosferyczny. Potem zimna pogodna w nocy i o poranku, w który jeszcze ze dwie godziny po wschodzie słońca, gdy prawdziwe cienie już zniknęły, widać było na trawie wymalowane przez szron fantastyczne zarysy Chaty, wędzarni i szopy nad źródłem. Późnym popołudniem jednak zrobiło się na tyle ciepło, żeby można było usiąść na ganku.

Luce rozlała do dwóch kieliszków resztę czerwonego wina z butelki ze zbutwiałą francuską etykietą. Było jak dawniej, sielsko i jesiennie w ten listopadowy zachód słońca, z brązowymi, pokąsanymi już przez mróz rajskimi jabłkami na łysych gałęziach w sadzie i żółtym sierpem księżycy, wąskim jak paznokieć, podążającym za słońcem po horyzoncie. Trawę zaścielały liście. Z lasu dobiegł jakiś śpiew: amerykańskiego konika polnego, a może ostatniej żaby. Powietrze było ostre, a na niebie ani jednej chmurki. Nad zachodnimi szczytami rozciągały się łagodne pasma barw. Brzoskwiniowe, morelowe i sepiowe, przechodzące w ładne odcienie błękitu, a potem indygo. Ekspresyjne jak dzieła sztuki, kolory te wydałyby się na płótnie zupełnie nienaturalne i ckliwe, a jednak tak właśnie wyglądało wiele jesiennych wieczorów.

Dzieci bawiły się na końcu ganku w układanie stosów z podpałki, wprowadziwszy nową zasadę: ten, kto przegrywał, dostawał trzy razy w dłoń jedną z gałązek. Działo to do chwili, gdy któreś z nich uderzyło za mocno; wtedy podeszła Luce, która przerwała zabawę i skierowała dzieci do adaptera.

Usiadłszy z powrotem na bujaku, Luce wyciągnęła rękę do Stubblefielda. Tak nastroiło ją wino. Było to tylko przeczucie, ale miała pewność, że Lit nie żyje. Nie popadła jednak w rozpacz. Ona i Lit nigdy nie byli ze sobą blisko, lecz ogarnęło ją popogrzebowe otepienie. Mimo że pogrzebu nie było, bo nie odnaleziono ciała.

Kiedy wino się skończyło, Stubblefield puścił jej dłoń i nalał dwie szklanki szkockiej, pamiętającej jeszcze epokę filmu niemego.

– Nie znałem go. Rozmawiałem z nim tylko dwa razy i za każdym razem wyszedłem na głupka. Więc nie bardzo wiem, co czujesz.

– Wojna. To było najważniejsze wydarzenie w jego życiu.

By upamiętnić Lita, opowiedziała Stubblefieldowi, jak to w czasach jej dzieciństwa niewielu mężczyzn z miasteczka chciało rozmawiać o wojnie. Woleli milczeć; pławiąc się w chwale zwycięzców, założyć rodzinę i zdobyć dobrą pracę, mieć dom i nowy samochód, żeby nie wdychać pomady do włosów, używanej przez poprzedniego właściciela. Lit jednak chciał o niej mówić i jego audytorium stanowiły ona i Lily, bo Lola twierdziła, że wszystkie jego opowieści to bujdy, i za każdym razem, gdy zbierało mu się na wspominki, wychodziła z pokoju.

I Lit opowiadał dziewczynkom kolejno o wszystkich tarapatkach, w które wpadał. Najpierw był D-Day, inwazja na Normandię. Jednak ta spektakularna operacja przeszła w niezliczone drobne brutalne potyczki, bez udziału wielkich generałów w tle, dowodzących przebiegiem walki gdzieś ze wzgórz. Bez przerwy krew, mnóstwo krwi, z drastycznymi szczegółami. Całe dni prawie bez snu i jedzenia. Gromadki zagubionych ludzi o pustych oczach, z wyczerpania i ze strachu. Francja, od początku do końca, to była jedna forsowna wędrówka i nieustająca

strzelanina. Wreszcie następowwała dramatyczna opowieść o postrzeleniu przez niemiecki czołg na zmarzniętym polu z kalarepą, już dalej na wschodzie.

Lit i tuzin głodnych ludzi próbujących jeść kalarepę jak jabłka, twardą, ze skórą, nie zadając sobie trudu, żeby oczyścić ją z czarnej ziemi. Wykopywali je gołymi rękami, sztywnymi z zimna jak zęby brony. Niebo było szare, wiał lodowaty wiatr, zapowiadający śnieg. Jeden chłopak, niejaki Codfelter, obiekt żartów i kpin, nie tylko z powodu nazwiska, trafił na wielką kalarepę. Wtedy obok niego walnął pocisk czołgowy i jego odłamek urwał mu nogę na wysokości uda, która jednak trzymała się na kawałku skóry. Pod wpływem siły odrzutu ta noga zaplątała się w drut kolczasty. Drut owinął się wokół niej kilka razy. Mimo to chłopak próbował się odczołgać, krwawiąc straszliwie. Ale nie pozwalał mu na to ten kawałek skóry.

W niektórych wersjach tej historii Lit zastrzelił Codfeltera, żeby oszczędzić mu cierpień. W innych przeciął skórę, na której trzymała się noga, założył opaskę uciskową i odciągnął go na bok, z dala od czołgów, tylko po to, by patrzeć, jak biedak umiera za żywopłotem, cały blady i zakrwawiony. Czasami zostawał schwytywany na tym tragicznym polu, a czasami nie, dopiero później. Jedyne elementy opowieści, które nigdy się nie zmieniały, były pogoda, pole kalarepy i czarna ziemia, czołg i ta okropna noga Codfeltera.

Wzięcie do niewoli rozpoczynało historię wyzwolenia z niemieckiego obozu jenieckiego pod koniec wojny. Wiedząc, że zbliżają się duże siły radzieckie, komendant zarządził zbiórkę jeńców i niemieckich strażników. Jedni i drudzy stanęli w szeregach naprzeciwko siebie. Lit sądził, że zostaną rozstrzelani. Jednak gdy na najbliższym wzgórzu stanęli Rosjanie, komendant dobył lugera i strzelił sobie w usta. Lit szybko rzucił się przed siebie i złapał pistolet w locie. Potem wszyscy zaskoczeni i przerażeni Niemcy złożyli broń i kiedy chwilę później zjawili się Rosjanie, aby wyzwolić obóz, Lit już przejął w nim dowodzenie.

Ta historia miała mnóstwo wątków pobocznych, awanturniczych epizodów, jak wędrówka z Rosjanami na wschód. A potem następowwał koniec wojny. Tamtej nocy, siedząc wokół ogniska, wszyscy upili się wódką na umór. O świcie, na kacu, Rosjanie uściskali mu rękę i życzyli wszystkiego najlepszego, bo musieli ruszać w przeciwną stronę niż on. Lit nawet nie wiedział, w jakim jest kraju. Wszystkie wtedy wyglądały podobnie. Przez całe tygodnie wędrował więc na zachód, przemierzając całą spustoszoną Europę, ze wszystkimi jej okrucieństwami i kulturą, żeby dołączyć do oddziałów amerykańskich. Po drodze napotykał mnóstwo młodych kobiet ze Wschodu, świeżo owdowiałych. Nieszczęśliwych i w potrzebie, gotowych udzielić mu schronienia na kilka dni. Potrafił rozwodzić się długo o ich dobroci i chłopskich wdziękach. Cudach, jakich potrafiły dokonać, mając garnek wody, szczyptę soli i jednego ziemniaka.

Kiedy kończyła swoją relację, w jej oku nadal nie zakręciła się łza z powodu śmierci ojca. Lit nie był jednak tego rodzaju tatą, a ona tego rodzaju córką.

Zimny listopadowy dzień, błękitne niebo, słońce słabe, stojące nisko, nawet w południe. Topole już zupełnie łyse, tylko dęby wciąż jeszcze z jędrnymi, czerwonawobrązowymi liśćmi na gałęziach.

– Dobry dzień, żeby się przejechać na kucu – mówi Luce.

Stubblefield patrzy na nią pytająco, spod uniesionych brwi.

– Nie możemy w nieskończoność siedzieć w zamknięciu – odpowiada Luce. – A ponieważ zostaniesz tu na jakiś czas, podwieź nas do Maddie, a sam jedź do miasteczka. Weź resztę swoich rzeczy. Wszyscy do zmroku wrócimy. – Zwraca się do dzieci i mówi: – Spakujecie lunch. Nie będziemy jeździć na kucu Maddie i jeszcze prosić się o obiad.

Stubblefield zastanawia się, gdzie schować pistolet. Zatknąć go za pasek spodni to dość niebezpieczne. Wkłada kolta do kieszeni kurtki, ale broń jest za ciężka i obciąża materiał, więc dla równowagi wsuwa do drugiej kieszeni książkę.

Dzieci tłuką się po kuchni, ale Luce pozwala im robić, co chcą, a w każdym razie, co umieją. Już dawno przestała się zastanawiać, jak powinien wyglądać prawdziwy posiłek. Patrzy tylko na bliźnięta i wymienia nazwy tego, co wybierają, a następnie każe im powtarzać za sobą. Jeśli to, co pakują do siatki, nadaje się do jedzenia, nie ma problemu. Gdy więc ich wybór pada na tłuczone ziemniaki z poprzedniego wieczoru i domowe frytki ze śniadania, macha ręką. Wypowiada nazwy i chce tylko, żeby dzieci je powtarzały. Dla niej też biała breja i chrupkie brązowe patyczki to wcale nie te same ziemniaki. Może trochę trudniej zachować jej stoicki spokój, gdy bliźnięta uważają, że na lunch doskonale nadają się kanapki z piklami i keczupem. Albo słoik buraków cukrowych. Ale jest zdania, że jeśli człowiek zacznie się skupiać na nieistotnych szczegółach, straci z oczu cel. A chodzi przecież o to, żeby dzieci nauczyły się mówić i jakoś sobie radzić. Jeśli pakują na lunch pikle i śliwki, ale umieją je nazwać, jedyne, co można zrobić, to wystawić kciuki i powiedzieć: „Dobra robota”.

Cienie pod wielkimi sosnami nad brzegiem są ciemniejsze niż pod innymi drzewami. Miękką ściółka z igieł pachnie intensywnie. Ma właściwości odkażające. Po to są te zielone odświeżacze w pisuarach, ale to zupełnie nie to samo.

Bud czeka i obserwuje. Odpala jednego lucky strike’a od poprzedniego. Co to ma być? Tkwi tu już trzy tygodnie. Zaczyna się martwić, że jego forsa jest jak ukryty skarb Czarnobrodego. Kiedyś całkiem realna, a teraz tylko miraż.

Po jakimś czasie Luce, jej facet i dzieciaki idą do samochodu i odjeżdżają. Dziesięć minut później Bud podchodzi do domu. Nie ma już letnich siatkowych ekranów ze zwykłymi haczykami. Potężne drewniane drzwi zostały zamknięte na klucz. Spodziewał się tego. Wyjmuje mały młotek i cienkie dłuto. Kilka wprawnych uderzeń i drzwi stają otworem.

Bud nie ma konkretnego planu, listy miejsc do przeszukania. Przestał snuć domysły, które z kryjówek te dwie szurnięte siostry mogły uznać za sprytne. Zagląda tam, gdzie mu przyjdzie do głowy. Ogląda z tyłu oprawione obrazki. Podnosi rogi wełnianych dywaników. Kładzie się na

podłozie i zagląda pod stoliki do kawy, stoły i skrzynie. Obmacuje podstawy mosiężnych lamp z kloszami z miki na stołach i zerka do większych porcelanowych naczyń, w większości bezużytecznych.

Wędrówka korytarzami, wzdłuż identycznych drzwi prowadzących do pokoi gościnnych na górze jest jak gra w ciemno. Bud wystawia czujki nadziei i czeka na jakiś znak. Wchodzi do tych pomieszczeń, które do niego przemawiają. Z zaśniedziałymi mosiężnymi numerami, zbieżnymi z jego datą urodzenia albo jakimś mniej gównianym rokiem niż wszystkie inne. Pod 218 otwiera szuflady biurka, podnosi rogi materaca w niebiesko-kremowe pasy, z dużą tajemniczą brązową plamą o podobnym kształcie co jezioro za oknem. Kładzie się na nim. Ma teorię: trzeba działać spokojnie i pozwolić, by pieniądze przemówiły, one same się odezwą.

Zasypia, co początkowo jest przyjemne, bo śni mu się forsa. Ale jakby od niego odlatywała, najpierw korytarzami tego domu, a potem między rzędami zakratowanych cel, ciągnących się w dal. Jasnym tunelem światła reflektorów samochodowych skierowanych w czarną noc. I wreszcie między drzewa, ciemne pnie, w całkowitą ciemność. Ten sen się nie kończy, ale nie ma przesłania.

Budzi go trzask drzwi kuchennych, odgłosy kroków. Drzwi trzaskają znowu, po czym na podłogę kuchni pada naręczce drewna ze stosu na tylnym ganku. Po chwili robi się ciszej. Bud skrada się na palcach korytarzem, przystaje u szczytu schodów i nasłuchuje. Wszystkie dźwięki dochodzą z kuchni. Schodzi bezszelestnie po schodach i przebiega przez sień w stronę wyjścia. Już prawie jest na zewnątrz, gdy widzi dzieci siedzące na jednym z wyblakłych dywaników. Bawią się ogniem, jakby zamierzały spalić cały dom. W skupieniu opuszczają głowy. Bud robi dwa kroki w stronę drzwi, a wtedy pod jego stopami trzeszczy jedna z desek podłogowych. Dzieciaki patrzą wprost na niego.

– Hej – szepcze do nich. – Już wychodzę.

Dolores wstaje i pociąga za sobą Franka. Oboje wycofują się powoli w mrok. Patrzą na Buda zmartwiałym wzrokiem. Nie krzyczą, nie płaczą, nie odwracają się do ucieczki. Dochodzą do jadali i dziewczynka bezbarwnym tonem wypowiada słowa matki: „Zabiję cię, ty skurwysynu, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu”.

Frank powtarza to za nią jak echo.

Zbiegają po stopniach ganku i pędzą przed siebie. Tupot ich stóp się oddala.

Bud rusza za nimi. Wypada za drzwi, biegnie trawnikiem w stronę jeziora, a potem brzegiem, do miejsca, gdzie zostawił samochód. Wzbierają w nim panika i mdłości. Nie może oddychać. Przekręca kluczyk w stacyjce i tak szybko wciska pedał gazu, że zalewa gaźnik, i musi odczekać chwilę. Nagle wymiotuje, nie otworzywszy nawet dobrze drzwi, a jego rzygowiny obryzgują zeschnięte liście topoli.

Ociera usta i wciąga powietrze, czując ból w piersi. Atak serca, taka jest jego pierwsza myśl. Trudno. Tylko niech to będzie szybko. Chrzanić wszystkich, chrzanić jutro.

Czeka i czeka, ale jakoś nie umiera.

Przekręca kluczyk ponownie i silnik zaskakuje. Wciska gaz do dechy i chwilę później pędzi jak szalony zwirową drogą, bierze ostro zakręt, ale pustym tyłem wozu zarzuca i samochód obraca się na zwirowe jakby w zwolnionym tempie. Bud wciska hamulec, ale to tylko pogarsza sprawę. Samochód w końcu zatrzymuje się gwałtownie w chmurze pyłu.

Bud siedzi na drodze i oddycha głęboko. Chwyta naszyjnik, kaleczy kciuk o jego ząbkowaną

krawędź, a potem smakuje krew. Pamięć potrafi płatać figle. Te małe dranie nie zapomniwały i w dodatku mówią.

Kiedy Luce wychodzi z kuchni, Bud już ucieka po trawniku i znika między drzewami, ot, jeszcze jedna ciemna sylwetka na tle lśniącej metalicznie powierzchni wody. Luce rusza na poszukiwanie dzieci, woła je głośno, chociaż wie, że nie odpowiedzą, jeśli nie będą chciały. Przechodzi szybko przez parter i stwierdza, że muszą być na zewnątrz, mimo że ostatnio dogadała się z nimi w tej kwestii. Widzi, że drzwi frontowe są otwarte, i wypada przez nie.

Dzieci nie ma ani przed, ani za domem, nie widać ich też w pobliżu dymnych sygnałów. Biegnie więc brzegiem jeziora, kilkaset jardów w jedną i drugą stronę, potem wraca do Chaty. Tym razem przeszukuje ją dokładniej, woła dzieci, zagląda do sypialni na piętrze, do piwnicy i na strych; otwiera drzwi i wypowiada ich imiona rzeczowym tonem, jak gdyby nigdy nic. Poddaje się w końcu i rusza do Maddie, najpierw biegnąc, a potem, gdy nie ma już sił, idąc szybko.

Ale Maddie ich nie widziała. Obie myślą o tym samym, o Budzie, ale żadna tego nie mówi. Maddie wybiera się do wiejskiego sklepiku, żeby zadzwonić do szeryfa, choć nie wiadomo, czy coś to da. Luce wraca do domu, wciąż wołając dzieci. Raz idzie, raz biegnie w padającym z ukosa żółtym jesiennym świetle. Jezioro jest niebieskie, małe fale rozbijają się o skały na brzegu.

Wszędzie panuje cisza i pustka: w pozbawionym okien, klaustrofobicznym labiryncie pokoiów dla służby, wąskich korytarzy, pomieszczeń wielkości szaf, drewnianych łóżek, wąskich jak trumny. Dzieci siedzą przytulone do siebie w ciemności, pod dolnym łóżkiem, tak daleko, jak tylko udało im się wcisnąć. Po dłuższym czasie tej ciszy i pustki ostrożnie wylażą z kryjówki, schodzą cicho po dwóch odcinkach schodów i zaczynają się pakować. Zawijają garść zapalek w woskowany papier. Drzazgi na opał, których niedawno używały do zabawy. I skórzany rzemień, żeby zrobić łuk, na wypadek gdyby doszło aż do tego. Wierzą w swoją znajomość materiałów do rozpalania ognia, ich właściwości. Wiedzą, jak zachowuje się sucha podpałka w pogodny dzień, a jak wilgotna podczas mżawki. Co potrafi wilgoć, jak powoli przez lata trawi rzeczy materialne, powodując, że butwieją, podczas gdy człowiek chce je jak najszybciej zapalić. W tym Dolores i Frank są dobrzy, to ich prawdziwy talent.

Następnie przychodzi kolej na czerwone pudełko rodzynek, podłużny walek rudej suszonej kielbasy, trójkątny kawałek żółtego sera. Brzoskwinie w puszcze, groszek zielony i pomidory. Słoik masła orzechowego. Opakowanie krakersów Ritz w kolorze ciała, słoje ciemnego miodu z kawałkiem plastra.

Z tylnego ganku zaś biorą dużą czerwoną puszkę nafty używanej do rozpalania pod kuchnią. Jest już prawie opróżniona, ale na dnie puszki jeszcze coś chlupocze. Och, to niebezpieczne, jak mówi Luce. Lepiej trzymać się od tego z daleka. Ale co tam, zabierają i puszkę.

Potem do wędzarni, po pudło z rzeczami Lily. Frank przytula twarz do jednego z płaskich lisów i głęboko wciąga w płuca zapach matki, a potem odkłada etolę z powrotem. Potrzebują suchej podpałki, tych plików kartek. Wreszcie ostatnie klepnięcia po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy są w nich kasztany, też dobrze się palą.

Wiedzą, że muszą się trzymać z dala od dróg. Dla uciekinierów najlepsze są lasy. Niosąc tobołki z rzeczami, przechodzą przez wzgórze pod dom Maddie, sadowią się wśród uschniętych zarośli przed padokiem i patrzą w okna, wypatrując ruchu. Potem wkradają się do stodoły, biorą

uzdę i garść ziarna, wkładają je do tobołków i otwierają bramę. Sally wychodzi im na spotkanie i podczas gdy Dolores wyjmuje uzdę, ta przyzwalająco pochyla łeb, a wtedy dziewczynka zakłada jej paski za uszy i ściąga podpinkę. Oboje z Frankiem swobodnie mieszczą się w zagłębieniu na grzbiecie kuca, nie potrzebują więc siodła. Wsiadają na zwierzę, wspinając się po ogrodzeniu jak po drabinie, i wyjeżdżają za bramę.

Nie wiedzą, dokąd się udać, chcą tylko uciec jak najdalej od ludzi, w góry, na najwyższe szczyty. Patrzą więc tam, gdzie zamierzają jechać, dźgają Sally piętami, a ona rusza przed siebie, stawiając uszy. Wkraczają między sosny i znikają wśród ich cieni.

Dopiero po kilku piwach w ciemnej przystani sali bilardowej Bud zaczyna porządkować myśli. Powraca do niego obraz tego, kim chce być. Bo tam, w pamięci dzieciaków, jest kimś, o kim chciałby zapomnieć, nawet jeśli one pamiętają. Ale jedno jest pewne: najgorsze w tej chwili to ulec mdlącemu strachowi. Nie w sytuacji, gdy potencjalni świadkowie są na wolności.

Kiedy człowiek działa pochopnie, wpada w bagno. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie da się zmienić przeszłości. I nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Ani przepowiadać przyszłości, zresztą jak wiadomo, nie należy oczekiwać, że będzie łaskawa. Próbując ją kształtować, człowiek tylko ściąga na siebie nieszczęście. Więc co robić? Na razie być cierpliwym, może rozegrać kilka partii bilardowych i poczekać, aż przyjdzie do głowy jakiś pomysł.

I pomysł przychodzi. Późnym popołudniem pojawia się jeden ze stałych bywalców, który mówi, że na parkingu za biurem szeryfa pakuje się do samochodów grupa ochotników. Jadą na poszukiwanie dwójki dzieciaków, które zaginęły po drugiej stronie jeziora. Facet podnieca się w trakcie opowieści, rozwodząc się nad niebezpieczeństwami czyhającymi w okolicy, zwłaszcza na takie maluchy. Biedactwa czeka tam, w górach, pewna śmierć.

Ludzie od razu się wzruszają, gdy mowa o dwójce zaginionych bachorów. A tymczasem ucieczka tych gówniarzy stwarza nowe możliwości. To byłoby dla niego wybawienie, gdyby zginęły. Ale czy należy liczyć na szczęście? Lepiej nie.

Jakie są szanse, że kilka mroźnych ranków tam, w górach, załatwi dzieciaki na amen? Małe albo wręcz żadne. Może więc trzeba pomóc wyprawić smarkaczy na tamten świat? Jeśli ich ciała nie zostaną odnalezione, wszyscy pomyślą, że bachory spadły w przepaść albo zabrnęły w wawrzynowe piekło i zginęły.

O zachodzie słońca Bud podchodzi do swoich najbliższych klientów i informuje ich, że bierze urlop na parę tygodni, może nawet na miesiąc. Więc lepiej, żeby złożyli większe zamówienie. Płatność w całości, z góry, jak zwykle. Tylko że ceny podskoczyły. Nie tłumaczy dlaczego, nie wdaje się w wyjaśnienia, że benzyna zdrożała albo coś w tym stylu. Ci, którzy starają się być nadmiernie mili, na ogół źle kończą. Bo ludzi nie można zadowolić, nawet w raj. Za bardzo lubią psioczyć.

Kończąc rundę po sali bilardowej, Bud ma już kilka zwitków, na których powinien ujechać całkiem daleko. Na koniec świata. Tam wytrze do czysta tablice rejestracyjne i zacznie od nowa. Nowe miejsce, nowi ludzie. Żadnych świadków, którzy mogliby zeznawać przeciwko niemu. Co tam przeszłość. Minęła i już. Pojedzie aż nad wielką wodę, której nie da się przebyć. Może do Kalifornii. Albo na południe Florydy, tego odpływu amerykańskiej wanny. Do Meksyku, gdzie kiedyś udawali się wyjęci spod prawa kowboje. Tam, pod palmami, na ostatnim skrawku lądu, będzie wieść całkiem inne życie, jak nowo narodzony.

Kto jednak stoi mu na drodze do nowego życia? Tylko ta dwójka, i już. Albo czwórka, jeśli źle pójdzie. Ale jedno jest pewne: krew zmywa wszystko do czysta.

Kiedy Stubblefield wraca do Chaty, wioząc swoje ubrania, płyty i książki z mieszkania nad warsztatem samochodowym oraz torbę z zakupami, słońce zachodzi już za grzbiety gór. Jeszcze nie jest na tyle ciemno, żeby włączyć reflektory, chociaż na niebie od zachodu pojawiają się pasma w kolorze fioletu i stali. Pokonawszy ostatni zakręt, widzi, że drzwi domu są otwarte. Przez okna widać, że palą się wszystkie światła. Przejeżdża przez trawnik aż do stopni ganku i wbiega do domu, wołając Luce. Nie słyszy odpowiedzi, a kiedy przystaje w holu i nasłuchuje, od razu pojmuje, że w środku nie ma nikogo. Wraca na ganek, znowu się zatrzymuje i słyszy Luce, daleko nad jeziorem nawołującą Dolores i Franka. Jej głos jest piskliwy i pełen strachu.

Stubblefield bierze latarkę zza drzwi. Biegnie do samochodu i wyjmuje spod fotela kolta oraz dodatkową garść nabojów z jednego z pudełek, niszcząc ich precyzyjny układ. Wsuwa pistolet do kieszeni i rusza wzdłuż brzegu, co jakiś czas przystając, żeby pochwycić głos Luce. Kiedy do niej dobiega, ta stoi oszołomiona i otepiała na skraju wody.

Stubblefield przyciąga ją do siebie, a ona przytula się do niego na chwilę, jest jej ostatnią opoką. A potem odsuwa się od niego, bo trzeba coś zrobić. Podjąć poszukiwania. Obwiniając się jednocześnie.

– Co takiego? Miałaś je związać? – powtarza Stubblefield, gdy idą razem brzegiem jeziora.

Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Sally zna tajemne ścieżki w ciemnym lesie. Ale ona tylko czuje na grzbiecie jeźdźców, więc idzie wolno, spokojnie, żeby utrzymać ciężar w równowadze. Nie dając się zwieść grubej warstwie świeżo opadłych liści, wyczuwa pod nimi śliskie kamienie. I wcale nie podąża prosto przed siebie. Idzie szlakiem wytyczanym przez ukształtowanie terenu, więc najkrótszą drogę między dwoma punktami stanowią łuki i zakola.

Wspinają się wąską mokrą ścieżką wzdłuż bystrego potoku płynącego wąwozem. Cały czas idą pod kopułą choin i klonów, w ciemności niczym o północy. Potem obchodzą suchą grań górską porośniętą dębami i hikorami, ich gałęzie są na tyle łyse, że przeświecają przez nie gwiazdy i plasterek księżyca, ukazujący się między chmurami. Wystarczy spojrzeć w górę i pojawia się Orion z mieczem u pasa oraz uciekające przed nim Plejady.

Podążają dalej dookoła góry. Pochylając głowy, wjeżdżają do kolejnego wąwozu, znowu z potokiem oraz kopułą klonów i choin. Następna grań, ponownie powolna wędrówka przez wilgotny mrok i znowu na suche światło. Jednak cały czas wyżej i wyżej.

Dolores i Frank kiwają się godzinami, czerpią ciepło od siebie nawzajem i od Sally, która aż paruje w blasku księżyca. Trochę drzemią, ale przeważnie starają się czuwać, bo muszą patrzeć, dokąd idą. Jak najwyżej i jak najdalej.

Luce i Stubblefield trafiają na biało-niebieskiego de soto, zaparkowanego przy bitej drodze nad jeziorem. Brzeg jest tam płaski i łagodny, woda ma odcień nocnego nieba. Okna samochodu są zaparowane i mętne, ale Luce go zna. W środku znajdują artystę, który uczy muzyki w kilku rozsianych po górach szkołach, wiele kilometrów od krętych dróg. Jest jak wędrowny metodysta sprzed dwustu lat, przemierzający zbuntowane wzgórza na zmęczonym wałachu. Pewnie ten muzyk ma własny kąt w mniej oddalonym punkcie swojej stałej trasy. Ponieważ jednak jest kiepsko opłacany przez państwo, czasami musi przenocować w samochodzie nad jeziorem, razem ze swoimi dwoma garniturami, granatowym i ciemnoszarym, trzema już nie białymi koszulami i jednym czerwonym krawatem. I sprzętem. Instrumentami w futerałach, małymi

fiolkami oleju do oliwienia tłoków i suwaków w instrumentach dętych, białymi plastikowymi fletami, aby uczyć młodsze dzieci podstaw palcówki. A także zgniecionymi paczkami papierosów i kilkoma butelkami taniej szkockiej, opróżnionymi w różnym stopniu.

Luce stuka w szybę po stronie kierowcy i robi krok w tył. Nauczyciel opuszcza szybę i wystawia ponad nią głowę. Jego ciemne włosy i zaspane oczy mówią wszystko.

– Tak? – rzuca pytająco, z rozdrażnieniem w głosie jak ktoś, kogo w środku nocy obudził dzwonek telefonu.

– Małe dzieci – wyjaśnia Luce. – Dziewczynka i chłopiec. Takiego wzrostu. – Wykonuje ruch dłonią na wysokości biodra. – Z jasnymi włosami – dodaje. – Być może mają kuca. Widział je pan?

– Co mają?

– Ciemnego kucyka. Białe skarpetki na przednich nogach.

– Kiedy je miałem widzieć?

– Od popołudnia aż do teraz.

– To nie. Nie widziałem o tej porze żadnych dzieci.

– Jak długo pan tu parkuje?

Zamiast w odpowiedzi pokazać środkowy palec, nonszalancko macha ręką pod szpakowatą brodą. Kiedy zasuwa z powrotem okno, po wewnętrznej stronie zaparowanej szyby zostają równoległe linie.

Potem Luce i Stubblefield godzinami wędrują po lesie, oświetlając słabą latarką czarne pnie i przygarbione skały, płosząc małe zwierzęta, które umykają wśród opadłych liści. Luce co chwila woła Dolores, rozbijając jej imię na trzy coraz wyższe sylaby, a Stubblefield wyrzuca z siebie szczekliwe „Frank”. A po jakimś czasie słyszą daleko w wąwozach i na graniach innych szukających, którzy powtarzają te same dwa słowa niczym dobre duchy zamieszkujące zielony świat. W ciszy z oddali dochodzi ciche szczekanie coonhoundów, które przemierzają wysokie góry w zupełnie innej misji.

Miasteczko jest ciemne i opustoszałe, na trzech skrzyżowaniach błyskają żółte światła. Bud skrada się uliczkami, starając się jakimś magicznym sposobem odgadnąć, którzy z mieszkańców mogą być myśliwymi, wędkarzami, letnimi biwakowiczami. Gdy chce coś zobaczyć, włącza latarkę, przesłaniając palcami szkło, więc jedyne światło, jakie uzyskuje, to czerwonawy blask.

Szczerście dopisuje mu dopiero w trzecim garażu. Znajduje tam mały namiot z nadwyżek wojskowych i równie mały śpiwór, ciasno zwinięty i cuchnący drobiem oraz stęchlizną. A nawet brązowy zatłuszczony plecak z czasów drugiej wojny światowej, zapadnięty jak truchło kozy czy małego jelenia, zdanych na łaskę żywiołów przez kilka pór roku. I nieoczekiwaną nagrodę w postaci maczety, zardzewiałej od czubka ostrza po uchwyt. To wszystko potwierdza, że rozważa i namysł popłacają.

Uświadomiwszy sobie, że będzie potrzebował ekwipunku na wyprawę w góry, Bud najpierw skierował się do sklepu spożywczego. Potem zamierzał się udać do Western Auto, żeby kupić gruby ciepły śpiwór, kilka pudełek zapalek i jeden z tych fantastycznych małych zestawów turystycznych do gotowania, nie większy od małego kołpaka, który, jak się okazuje po rozpakowaniu, zawiera kilka błyszczących garnków i patelni. A w samym środku jeszcze niezbędny metalowy kubek do kawy, taki ze składanym drucianym uchem. W pewnej chwili uświadomił sobie, że te zakupy mogą mu wyjść boki. Tym razem, inaczej niż wtedy gdy

kupował wędkę, nie powinien zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza jako początkujący amator górskich wędrówek. Ale jak zdobyć to, czego mu potrzeba, zachowując anonimowość? Po chwili znalazł odpowiedź i mimowolnie zauważył, jak bardzo stępniał umysłowo w fachu bimbrownika. Dlaczego nie wpadł na ten pomysł od razu?

Po powrocie do domu pakuje do plecaka żywność i sprzęt. Stwierdza, że lepiej będzie zostawić wóz w miasteczku, więc skrada się uliczkami, przez puste parkingi i nad jezioro, trzymając się blisko drzew. Kradnie kajak i płynie nim niepokojąco czarnym jeziorem do wąskiej zatoczki. Wyciąga kajak z wody i ukrywa między drzewami, aby później go wykorzystać. A potem rusza w góry.

Sztuka przetrwania. Do tego to się sprowadza. Jak w czasopiśmie „Argosy” i „True”. Co miesiąc, obok zdjęć z babkami w kostiumach kąpielowych, nowa historia przygodowa. Gubisz się w Arktyce albo Amazonii i nagle nie wiadomo skąd wyskakuje na ciebie niedźwiedź polarny albo jaguar, który rzuca się na ciebie z pazurami i otwiera monstrualnie wielki pysk, żeby zmiażdżyć ci czaszkę jak garść popcornu. Ale ty szybko wsadzasz mu lufę swojej czterdziestki piątki do rozwartej różowej paszczy, naciskasz spust i wtedy jego zakrwawiony mózg bryzga na śnieg czy poszycie dżungli. Albo dzieje się to na rafie koralowej, z udziałem wielkiego białego rekina i jakiejś podwodnej kuszy. Na jedno wychodzi.

Jest tam zimno i sucho. Wszędzie zeschnięte liście. No i ciemno, jak na razie. Ale podobno niedźwiedzie w zimie śpią. Tak samo jak węże. Po pierwszych mrozach w lesie jest równie bezpiecznie jak w kościele. Tu Buda nachodzi refleksja. Na pewno bezpieczniej niż w kościele. Teraz w lesie nie widać żadnych oznak życia, krwawe jatki muszą się tu odbywać tylko w lecie, a krew Chrystusa zalewa świat codziennie, przez okrągły rok.

Szlak pnie się stromo w górę, a ponieważ jest środek nocy, Bud wkrótce się zatrzymuje i próbuje rozbić obóz. Lasy są takie ekspansywne w ciemności. Jednak Bud celowo rezygnuje z ognia, to znaczy postanawia oszczędzać malejący zapas zapalek, który szybko zużywa, próbując podpalić odporne patyki. Najlepiej by było zachować ich przynajmniej tyle, ile ma papierosów. I chyba porzucić próby rozstawienia namiotu. Ponieważ, oszczędzając też baterie w latarce, ledwie widzi własną dłoń przed twarzą. Siada w ciemnościach i zjada połowę opakowania czerwonych frankfurterek, a resztę chowa na śniadanie.

Kiedy kładzie się spać, wszystkie dźwięki stają się głośniejsze i bardziej złowrogie. Świsł wiatru wśród drzew i szum potoku na kamieniach. Wszędzie wokół konspiracyjne przeciwko niemu głosy. Bud kuli się w śpiworze na zimnej ziemi, która go przyciąga, a przynajmniej tak mu się wydaje. Ciepło jego ciała wnika w grunt jak woda.

Jak to możliwe, że w ogóle dotarło tu przekłete życie? Nie widać nawet gwiazd, które rozjaśniałyby trochę mrok. Z nogami ściśniętymi w wąskim śpiworze czuje się uwięziony, jak nieboszczyk w trumnie.

Druga w nocy, kępa wysokich dębów czerwonych na półwyspie lasu wcinającym się w wielką łąkę. Ciemność pod drzewami nagle się rozjaśnia. Na gałęzi zawisa lampa naftowa, która rzuca białe światło na ziemię, pnie i brązowe zeschnięte liście w górze. W jego kręgu stoi grupa mężczyzn niczym aktorzy na scenie, oczy mają ukryte pod rondami kapeluszy. Na ziemi kładą się długie cienie ludzi i drzew.

Luce staje z boku, skulona i zmartwiała.

Stubblefield jest w grupie mężczyzn. Patrzą na zielony brezent przykrywający niewielkie

ciało.

Szeryf mówi:

– Nie trzeba jej tego pokazywać. Mamy jego portfel. Był w kieszeni.

– Jak go zabito?

– Jeszcze nie wiadomo. Ratownicy znaleźli go, gdy było już ciemno. Dużo tu zwierząt. Ciało jest poszarpane. Zabierzemy go rano i poczekamy, co powie koroner.

Stubblefeld wyciąga do światła zranioną rękę i patrzy na bandaż.

– Założę się, że to będzie rana cięta.

– Zobaczymy. Tak jak jej mówiłem, jest wielu podejrzanych. Nie możemy niczego zakładać z góry.

– Rozmawiał pan z nim od zaginięcia Lita?

– Oczywiście. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Powiedział, że byli sobie bliscy. W całym życiu nie miał lepszego przyjaciela. Ani przez chwilę nie wierzył, że Lit się stąd wyniósł bez pożegnania. Twierdził, że coś się musiało stać. Uwierzyłem mu.

– Uwierzył mu pan? I to koniec?

– Nie jestem taki głupi, jak sądzi Luce. Facet ma alibi na tę noc, której Lit zaginął. Paru ludzi widziało go w Zajeździe, był tam do późna.

– Dla pijaków, którzy siedzą w jakiejś knajpie, jedna noc niczym nie różni się od drugiej.

– Nie wszystko musi być z sobą powiązane. Na świecie dzieją się różne rzeczy. Zwykle prawdziwe okazuje się najprostsze rozwiązanie. Mam oko na tego gościa. Ale najpewniej okaże się, że to sprawa kogoś, kto miał coś do Lita. Nie brakuje takich w okolicy. Na pewno nie robota przyjaciela. A przy okazji, to nie jakaś tam knajpa. To pańska knajpa.

Luce podnosi głowę i podchodzi zagniewana.

– Lit jest martwy. Już od jakiegoś czasu. A dzieci może jeszcze żyją. Dlaczego stoimy beczynnienie?

Ona i Stubblefield jadą w wozie patrolowym jak przestępcy. Śmierdzi w nim chlorem i rzygowinami. W Chacie do świtu jeszcze daleko. Maddie czeka na nich w kuchni i dla zabicia czasu nastawia kawę, podpieka ciastka w piekarniku i topi masło z żółtym serem i czarnym pieprzem. Kiedy tylko Luce, Stubblefield i szeryf stają w drzwiach, smaży jajecznicę z tuzina jaj na wielkiej żeliwnej patelni, jeszcze z czasów, gdy w Chacie przyjmowano letników.

Maddie powtarza, co po południu powiedziała przez telefon. Jeśli dzieci są nadal z kucem, niewykluczone, że zmierzają w góry, ku szczytom i polanom, które Sally może pamiętać z letnich wypasów w wysokiej trawie przed wieloma laty.

– „Jeśli”, „niewykluczone”, „może” – kwituje szeryf. – Moje rozumowanie jest takie: jeśli się zgubi kluczyki do samochodu, to najpierw trzeba poszukać ich na blacie w kuchni albo w kieszeniach kurтки, a dopiero potem w górach. Może to zwykły zbieg okoliczności, że twój kuc zbiegł tego samego dnia, w którym przepadły dzieci.

– Wątpię, żeby Sally, uciekając, zabrała z sobą uzdę – odgryza się Maddie.

– Wezmę to pod uwagę. Być może pójdziemy tym tropem, jeśli tu na żaden inny nie trafimy. Zwykle odnajdujemy zaginione dzieci w ciągu sześciu, ośmiu godzin. O tej porze roku, w drugą noc na mrozie, staramy się już tylko odnaleźć ciała, żeby rodzice mieli co pochować.

– Dobry Boże – mruczy Maddie.

– Luce nie lubi owijania w bawełnę – odpowiada szeryf.

Po zachodzie księżycy są już daleko w górach. Strumienie stają się tak wąskie, że Sally pokonuje je, nie mocząc kopyt. Bory powoli przeszły z dżungli w alpejskie lasy. Jodły i sosny balsamiczne, pierzaste krzewy płomiennych różaneczników i jagód.

Później zatrzymują się i zsiadają z kuca, zmęczone i zagubione na łysej polanie na górskim szczycie. Wszędzie wokół tylko niesamowicie oszronione kępy traw.

Sally zgina przednie nogi, a potem opada na zadnie, jakby kiwając się w przód i w tył, aby się położyć. Wypuszcza trzy obłoczki pary i zasypia. Dolores i Frank opierają na niej głowy i leżą zwrócenii ku niebu. Jedzą rodzinę i patrzą na blednące gwiazdy.

Śpią przez krótki czas. Budzą się ponad światem, w żółtych promieniach słońca, rozświetlających mgłę w dolinach, tak głęboką, że z litej srebrzystej tafli wystają jedynie najwyższe szczyty, niczym wyspy na morzu. I jakby jedna z nich stanowiła ich własność i tylko z nią musieli się liczyć.

Gdy jednak słońce wspina się nad wschodnie szczyty, morze opada ku ziemi, aż daleko między pasmami górskimi widać już tylko małą podłużną połąć mgły, kryjącą jezioro. Krajobraz odzyskuje wszystkie elementy, a dzieci na szczycie swojej góry nie mają już żadnej władzy.

Pod nimi na poduszce powietrznej przelatuje jastrząb i oboje go obserwują. Słońce odbijające się od końców rozpostartych skrzydeł i brązowe pióra lśniąca niczym z brązu to dla nich fascynujące nowości. Później ptak dwoma machnięciami skrzydeł wznosi się i przefruwa nad nimi, na tyle blisko, że słyszą świst przecinanego przez niego powietrza i lekki szum piór.

Sally wstaje i na sztywnych nogach robi kilka kroków na polanie. Zaczyna skubać długą trawę, suchą i brązową, tworzącą za sprawą szronu gładkie żłobkowane faliste formy. Każde z dzieci bierze garść ziarna z torby i podsuwa zwierzęciu. Chichoczą, gdy jedwabiste wargi Sally łaskoczą wnętrza ich dłoni.

Żadnych narad ani planów na nadchodzący dzień, ledwie wymiana spojrzeń i gestów, a może i niewidzialnych fal magnetycznych, które odbierają jedynie bliźnięta. Jedno jest dla nich oczywiste. Nie wrócą. Będą szły dalej. Przez góry, lasy i strumienie, które zdają się ciągnąć w nieskończoność. Starymi drogami dla furmanek, ścieżkami dla wozów, przecinkami, szlakami zwierząt. Tam, gdzie zmierza słońce, tak daleko, jak się da. Na razie nie ma sensu martwić się o to, co będzie dalej.

Tryb życia od jakiegoś czasu nie pozwalał Budowi cieszyć oczu światem. A teraz, gdy wyrzał z dziury w śpiworze, spotkało go rozczarowanie. Wszystko było ziarniste i bezkształtne. Znowu przenikliwy chłód w powietrzu, niebo mgliste, barwy zastygłego tłuszczu z bekonu.

Za drzew wychodzi gruby dziadkowaty niedźwiedź, który jeszcze nie udał się do swojej zimowej nory, i zaczyna ryć wokół plecaka. Na łbie ma blizny po różnych walkach z przeszłości i jakby warstwę pyłu pod długą błyszczącą sierścią. Robi pobieżny przegląd. Jak zawodowiec. Kilka wprawnych ruchów wielkimi łapami o długich zakrzywionych pazurach i z plecaka, a potem też i namiotu zostają strzępy; ekwipunek Buda wala się po ziemi.

Niedźwiedzia najpierw przyciąga zapach frankfurterek, który można wyczuć w lesie z odległości kilkuset jardów. Potem w trzech kęsach zjada cały bochenek chleba, łącznie z foliowym opakowaniem. Siada na okrągłym zadzie i jak żarłok z kreskówki pochłania wszystkie zapasy Buda, z wyjątkiem konserw. Interesuje go wszystko, co tylko nadaje się do jedzenia. Także zamszowe rękawiczki z kozuszką w środku.

Bud, któremu ze śpiwora wystaje tylko fragment twarzy, od brwi po dolną wargę, patrzy na to i myśli, że zaraz przyjdzie kolej na niego. Próbuje usiąść i jednocześnie odnajduje suwak, ale drżą mu ręce. Nie jest w stanie uchwycić jego wewnętrznej końcówki, a nie może precyzyjnie przycisnąć ręki przez otwór na twarz. Udaje mu się wstać w śpiworze i usiłuje w podskokach oddalić się od niedźwiedzia, ale upada na bok. Nie może złapać oddechu i czuje palenie w przeponie. Zwierzę podchodzi do niego blisko, węsząc i mrugając małymi ślepiami. Potem prychnie i w zimnym powietrzu unosi się obłok pary. Niedźwiedź płoszy się i znika w wawrzynowej gęstwinie.

Doszedłszy do siebie, po kilku próbach rozsunięcia zamka, Bud wydobywa się ze śpiwora jak pasta do zębów z tubki i zjada zawartość kilku puszek, ocalałych z niedźwiedziego śniadania. Anchois, parówki, mielonkę Red Devil. Jego obozowisko wygląda, jakby rozbił się tu samolot.

Zanim ruszy w drogę, musi wybrać kierunek. Ma ochotę zawrócić i powędrować do domu, więc musi przemówić sobie do rozumu, żeby iść dalej i zrobić, co konieczne. Załatwić sprawę do końca. Zamknąć przeszłość i zacząć wszystko od nowa.

Kuca nad potokiem i połyskującym piaskiem z brzegu zeskrobuje rdzę z maczety. Potem próbuje ją naostrzyć. Spluwa na płaski kamyk i rozprowadza po nim ślinę. Spluwa drugi raz i odwraca kamyk. Jedyne, co wie o ostrzeniu noży, to, że trzeba ustawić ostrze pod takim kątem, jakby się chciało odkroić cienki plasterk kamyka. Trze nim więc i trze, aż wokół jego głowy tworzy się chmura pary. Myśli przy tym: gdy już załatwię tę sprawę, zakopię to świństwo głęboko w ziemi, żeby gniło rok po roku. Kiedy będę stary, zostanie z niej już tylko czerwona plama tam, na dole.

Zimne światło poranka. Grupa mężczyzn w średnim wieku, z podpuchniętymi oczami, którzy nie palą się, żeby ruszyć dalej i wznowić poszukiwania. Z zadowoleniem dorzucają do ognia, dolewają do kubków z kawą wild turkey i black jacka, który przeważnie kupili bezpośrednio od Buda albo za jego pośrednictwem.

Szeryf wygląda na szczególnie zmęczonego po paru godzinach snu na ziemi. Ale wyborcy mogliby mieć mu za złe, gdyby wrócił do domu, zamiast poświęcić noc w łóżku, aby odszukać dwójkę zaginionych dzieci. Nawet włosy go bolą, gdy próbuje je uładzić. Wciąż zdejmuje kapelusz i pocierając skórę głowy, zagląda do niego, jakby to on był winny.

Zaszli w las niedaleko, na odległość dźwięku od samochodów, które pozostawili przy drodze nad jeziorem. Częściowo z lenistwa, ale także dlatego że nie wyobrażają sobie, aby dwoje dzieci, nawet jadących na kucu, mogło zawędrować daleko. Tak jak oni sami, gdy wybierają się w listopadzie na polowanie. Poza tym góry stają się dziwne, niebezpieczne i przerażające, kiedy się w nie zagłębić, zwłaszcza jeśli się jest kierownikiem sklepu czy pracuje się przy bieżnikowaniu opon w warsztacie samochodowym.

Szeryf mówi w końcu, że może powinni ruszyć dupy i wznowić poszukiwania tych biednych dzieci. Potem jednak zwraca się do swojego największego przydupasa:

– Carl, pożegnaj się z chłopakami, wracamy do wozu. Nie możemy być wszyscy w lesie.

On i Carl przez cały rano jeżdżą wozem patrolowym po okolicy. Zatrzymują się przy domach na skraju borów. Carl siedzi w samochodzie, na nasłuchu radiowym, podczas gdy szeryf puka do drzwi, zdejmując kapelusz, wchodzi do środka i pyta:

– Nie widzieliście dwójki niedorozwiniętych dzieciaków bez opieki? Mogły być z koniem.

Przed południem szeryf zajeżdża do Chaty, żeby sprawdzić, czy dzieci nie wróciły i czy nie można by tam czegoś zjeść. No i żeby zobaczyć, co u Luce.

Nie podejrzewał jej ani tego jej faceta, choć przyszło mu do głowy, że być może to oni stoją za zniknięciem smarkaczy. Nie wierzy w to, ale przecież najpierw trzeba wziąć pod lupę najbliższe otoczenie. Jeśli znika żona, w pierwszej kolejności sprawdza się męża. Może Luce odziedziczyła po ojcu piętno szaleństwa. Nie ma podręcznika dla przedstawicieli prawa, a szeryf nie chodził do żadnej szkoły policyjnej. Urzędnik wyznaczany przez wyborców nie musi mieć przygotowania ani kwalifikacji. Ani nawet rozumu. Musi jedynie wiedzieć, jak budować drogi na podstawie fingowanych kontraktów państwowych. I jak postępować z wyborcami, żeby byli zadowoleni albo niezadowoleni, spokojni albo podekscytowani, zależnie od potrzeby.

Po zjedzeniu dużego talerza przyrządzonej przez Maddie fasoli pinto z chlebem kukurydzianym i jarmużem szeryf nie ma już żadnych teorii. Luce wydaje się naprawdę załamana zniknięciem dzieci, a jej facet nie jest typem zabójcy. Szeryf mówi im więc, żeby byli cierpliwi i zdali się na zawodowców. Wszyscy robią, co tylko mogą, żeby sprowadzić dzieci do domu, całe i zdrowe. Oboje powinni czekać przy telefonie.

Luce odpowiada rzeczowo, że nie mają telefonu. Podaje więc numer Stubblefielda i do sklepiku przy drodze.

– Ale w domu przeważnie nas nie ma, bo sami ich szukamy – zauważa Stubblefield.

– Ja będę – odpowiada Maddie.

Kiedy zostają sami, Stubblefield usiłuje przekonać Luce, żeby wróciła z nim do miasteczka i czekała u niego, pozwoliła działać szeryfowi i jego ludziom. Ale rozmowa kończy się po pięciu sekundach.

– Szuka ich grupka myśliwych polujących na jelenie – kwituje Luce.

– Więc znajdą lasy.

Kiedy wkładają kurtki i ruszają przez trawnik nad jezioro, żeby kontynuować poszukiwania, Luce pozbawia go złudzeń, mówi szybko, z goryczą, chaotycznie. Lepiej uważać na myśliwych

w lesie pod koniec jesieni, zwłaszcza na tych polujących na jelenie. To opoje, z bronią dużego kalibru i wydaną przez państwo licencją za dwa dolary. Ci, którzy wyprawiają się na niedźwiedzie i szopy, są znacznie mniej niebezpieczni. Na szopy poluje się w nocy, a na niedźwiedzie wysoko w górach. Szczekanie ich psów słychać z odległości wielu kilometrów. Natomiast tych polujących na jelenie należy się bać. Siedzą ukryci, przeważnie po dwóch, na stanowiskach strzeleckich, w małych domkach na drzewach, wielkości podwójnego łóżka, nad miejscami, w których od tygodni zostawiali na przynętę kukurydzę i sól – to taki sam sport jak strzelanie do wieprzków z łbami w korytach. Tkwią tam stłoczeni razem, szepczą do siebie i przez cały dzień popijają jacka albo colę w oczekiwaniu na jakikolwiek ruch tam, w dole. Późnym popołudniem, już na wpół pijani, nie mogąc się niczym popisać, zaczynają się niecierpliwić. Strzelają więc w spadające liście, cień chmury sunący po ziemi. Za wypadek na polowaniu nie skaże ich żaden sąd. Kto mógł wiedzieć, że jakaś kobieta idąca samotnie przez las to nie jelen? Luce jednak nie przejmuje się tym za bardzo, gdy już oddali się od najbliższej drogi o milę. Polujący na jelenie rzadko oddalają się od samochodów, bo przecież mają w nich lodówki na piwo. To wyjaśnia popularność jacklightingu. Czasami nie muszą nawet wysiadać z wozu, tylko odsuwają szyby i naciskają spust. Nie wiedzą nic o lesie; zapuszczają się do niego na niewielką odległość od drogi, bo nie chciałoby im się ciągnąć z daleka zabitej łani.

Kiedy kończy tę tyradę, Stubblefield mówi:

– Przyznaję się do błędu.

Luce zwija dłoń w pięść, zamachuje się jak w zwolnionym tempie, i muska jego brew.

Oboje przed południem i po nim przeczesują na piechotę okolice jeziora i starych torów kolejowych. Wracają do Chaty, a potem jadą do Maddie, żeby sprawdzić, czy Sally nie wróciła, i do sklepu, żeby zapytać, czy nie ma dla nich żadnych wiadomości. Przejeżdżają przez pasy przeciwpożarowe, zatrzymując się często, żeby trąbić klaksonem, nawoływać w głąb borów i nasłuchiwać odpowiedzi.

Na graniach zima w pełni, drzewa o łysych gałęziach przypominają sterane szkielety, rozpadające się na przedramiona i dłonie, klatki piersiowe i stopy. Niektóre pogodziły się już ze śmiercią, inne jeszcze próbują się podnosić. Dzieci jadą po zimnych stokach coraz dalej w góry, ale teraz, kiedy są już tak wysoko nad światem, już nie z takim pośpiechem jak poprzednio.

Zatrzymują się często, żeby odpocząć i coś zjeść, i za każdym razem rozpalają ogień. Wybierają odpowiedni materiał i odwołują się do swoich umiejętności. Czasami jest to małe kowbojskie ognisko, nie większe niż pokrywka garnka. A czasami znacznie większe, ze strzelającymi w górę płomieniami, jeśli mają pod ręką coś, co się dobrze pali.

Po południu, gdy już w powietrzu wisi mgła, natykają się na zwaloną sosnę balsamiczną, z suchymi brązowymi igłami na gałęziach. Kiedyś królewskie drzewo, a teraz gigantyczny stos szczotek.

Piramida suchych patyczków, ostatni kubek nafty i sosna staje w ogniu jak wielka pochodnia. Strzela płomieniami w niebo na wysokość dziewięciu metrów, ryczy i powoduje taki wiatr, że zawiewa im włosy na twarze. Dolores wydaje okrzyk jak dawni wojownicy, Czirokezi albo żołnierze Południa w bitwie pod Gettysburgiem. Sally odchodzi na bok kilka kroków i staje. Frank zbliża się z wyciągniętymi rękami, wystawiając wewnątrz dłoni do ognia, aż nie może znieść gorąca, więc się cofa i przykłada dłonie do twarzy. Później powtarza wszystko od nowa.

Ogień szybko gaśnie, tak jak szybko się rozpałił, i na ziemi pozostają tylko tłące się końce

gałęzi. Setki małych płomieni jak świece na ołtarzu. Potem gasną także one i ku chmurom wznoszą się z kolei setki smużek dymu, w tym samym odcieniu szarości.

Dolores i Frank obserwują wszystko od początku do końca, to ich ulubiony film. Przez cały czas wręcz nie mogą się nagadać, jeśli to nie wymaga konstruowania zdań złożonych z powszechnie zrozumiałych wyrazów na podstawie przyjętych reguł gramatycznych. Poza światem ludzi, do których jako gatunku nie żywią szczególnego przywiązania, są całkiem gadatliwe.

Szlak pnie się stromo w górę, wzdłuż potoku, i pod każdym względem sprawia wrażenie głównej miejscowej arterii komunikacyjnej. Uciążliwa wspinaczka, od której bolą uda i tyłek, wśród różnej dziwnej roślinności, nawet o tej martwej porze roku. Wawrzynów, choin i innych tego rodzaju roślin, najwyraźniej wiecznie zielonych i długowiecznych. Być może największe choiny kielkowały jeszcze w czasach, kiedy po ziemi chodził Jezus. Rosną z dnia na dzień, nie zważając na symboliczny roczny cykl życia i śmierci. Przez cały czas szczęśliwe. Szczęśliwe i szczęśliwe. A potem pewnego dnia pewnie padają martwe na ziemię. Co za wspaniały plan na życie, w porównaniu z dębami, klonami i innymi frajerskimi drzewami, które każdej jesieni ku naszemu zachwytowi umierają wielobarwną śmiercią. Nadgorliwców nigdy nie spotyka nagroda, która by choć w małej mierze rekompensowała ich wysiłki. To jedna z głównych zasad w życiu. Która, niestety, ma dobrą i złą stronę. Pierwsza: zawsze musisz dostać swoje. Gdyby na tym się skończyło, byłoby pięknie. Ale jest i druga: zawsze musisz za to zapłacić.

Pozbawiony przez niedźwiedzia plecaka, Bud wsadził pozostały ekwipunek do kieszeni spodni oraz skórzanej kurtki, a resztę zawinął do śpiwora, który czasami niesie na ramieniu jak strażak bezwładne ciało, a czasami w ramionach jak matka niemowlę. Po długiej wędrówce pod górę bolą go stopy. Po wewnętrznych stronach dużych palców zrobiły mu się pęcherze, a z obu pięt wilgotnymi białymi płatami schodzi mu skóra. Pod nimi ma żywe mięso. Traci więc dużo czasu za dnia, siedząc wśród liści bez butów oraz skarpet i obskubując stopy.

Po kilku godzinach wspinaczki sceneria traci na urodzie. Bud widzi już tylko ziemię i liście pod obolałymi stopami. Jest znużony i snuje myśli o przemocy, choć stara się tego nie robić, bo przemoc najlepiej stosować spontanicznie. Dać się ponieść. Bo inaczej człowiek zamienia się z działającego pod wpływem afektu rzeźnika w zimnego mordercę. Jeśli gra się czysto – jakby nie było przeszłości ani przeszłości, tylko świecące tu i teraz czerwone światło – jest w tym pewna niewinność, niezależnie od tego, jak ohydny i krwawy byłby końcowy efekt. I nie tylko on tak kombinuje. Państwo także stosuje tego rodzaju rozróżnienie. Działaj z premedytacją, a załatwię cię na szaro.

Premedytacja to pojęcie prawne, myśląco podobne do tego, o czym tak lubił gadać tamten psycholog w więzieniu dla młodocianych. Odraczania gratyfikacji. Można by pomyśleć, że to coś złego, a przynajmniej okropnie nudnego. Tyle że jest w tym haczyk. W codziennym gównianym życiu premedytacja ma swoje zalety. Jeśli nauczysz się nad sobą panować, jesteś na prostej drodze do sukcesu. Nie rób niczego w tej chwili, w której masz ochotę to zrobić, i zawsze zastanawiaj się nad skutkami swoich działań. Wstrzymuj się aż do grobu, a dostaniesz przepustkę do rajy czy coś takiego. Z tym jednym zdumiewającym wyjątkiem. W rzadkich chwilach, gdy dochodzi do spontanicznego użycia przemocy, sprawa ma się odwrotnie. Tego, kto rzuca się na główkę i ulega wściekłości, nie myśląc o przyszłych konsekwencjach, spotka wspaniała, niespodziewana nagroda. Kto by pomyślał?

W górze strumienia od szlaku odchodzą dwie albo trzy ścieżki, prowadzące nie wiadomo dokąd. Po dłuższej chwili tępego niemyślenia, uległszy ponurej monotonii otaczającego go świata, Bud zauważa, że znajduje się na czymś, co chyba nie jest już drogą. Wszystko wokół brązowe albo szare, gdzie tylko sięgnąć okiem łyse drzewa. A jeszcze zaczyna padać deszcz. Ziemię zaścielają suche liście, po kostki, jak brudny śnieg. Szlaku nie widać. A gdy stanie się bez ruchu, można usłyszeć szum kropli wśród liści i własny oddech.

Rozgląda się wokół za pustą przestrzeń wśród pni drzew, która by sugerowała ścieżkę. Ale wszystko zależy, w którą stronę się obrócić. Zimą w lesie, wśród tysięcy łysych drzew, ciągnących się w dal, można odnieść wrażenie, że ścieżka może biec wszędzie.

– No to jestem załatwiony na cacy – mówi Bud głośno.

Problem polega na tym, że góry obejmują znacznie większy teren, niżby przypuszczał, bo nigdy po żadnych nie chodził. Z daleka, gdy się patrzy na nie z miasteczka, stanowią prostą zwartą formę na tle niebie. Żadna sprawa – przebyć je i trafić na dzieciaki. W praktyce okazuje się jednak, że to całkiem duża przestrzeń i o wiele bardziej trójwymiarowa, niż Bud sobie wyobrażał. Ukształtowanie powierzchni wcale nie ułatwia sprawy. Prawie pionowe stoki wiodące na granie, a potem opadające ku niezliczonym wąwozom. Bud podnosi ząb rekina od ust i go ssie, a potem liże ząbkowaną krawędź, aż czuje smak żelaza. Nawet idiota wie, że jeśli się chce wspiąć na szczyt, trzeba iść w górę.

Czas płynie, ale Bud prze dalej. Na większych wysokościach dają mu się we znaki wszelkie odmiany najgorszej jesiennej pogody. Deszcz, potem deszcz marznący. Późnym popołudniem deszcz ze śniegiem, który szumi i zacina w zamrożone drzewa i ścięte lodem liście na ziemi. Wreszcie, przed zmrokiem, sam śnieg. Leczące prosto w dół duże mokre płatki, których przybywa dwa i pół centymetra na godzinę.

Nie mając namiotu ani sprzętu biwakowego, Bud uparcie idzie w ciemności, okryty przemokniętym śpiworem, który spoczywa ciężko na jego ramionach. Mokre pierze śmierdzi. Równie dobrze mógłby nieść trupa przez zalany kurnik. Odrzuca więc śpiwór.

Jego ekwipunek ogranicza się już tylko do skórzanej kurtki i jednego mokrego wełnianego koca, maczety i latarki. Bud drży w sposób nieopanowany i musi przyznać sam przed sobą, że zupełnie się zgubił. Śnieg sięga mu już do kostek i nie przestaje padać.

Ponieważ baterie są na wyczerpaniu, postanawia przebyć w ciemnościach jeszcze pięćset kroków, badając grunt stopami, pragnąc, marząc i modląc się, żeby po włączeniu latarki zobaczyć przed sobą ścieżkę. Robi to raz po raz i za każdym razem staje zdumiony i dezorientowany, bo w snopie światła widzi tylko czarny las i własne ślady, niknące szybko pod śniegiem. Nic, tylko samotny dąb i pnie topoli, ani śladu ścieżki, szlaku ani innych znaków, które by wskazywały kierunek.

Opadają mu ramiona i patrzy ze zdumieniem na krąg światła u swoich stóp. Ta symetria go fascynuje, ale nagle białe światło zamienia się w żółte, nadając śniegowi osobliwy odcień, jak stare fotografie. Potem staje się jeszcze ciemniejsze i gaśnie. Potrząsanie latarką nic nie daje.

Już po nim. Mógłby paść trupem, twarzą w śnieg, i nigdy by się o tym nie dowiedział. W końcu zostałby po nim tylko omszały szkielet, kręgosłup i czaszka, spoczywający na ziemi jak zastrzelony wieprzek. Myśląc o tym, Bud zwiesza głowę w ciemności, zastanawiając się, czy ma jeszcze siły, żeby iść dalej i szukać schronienia, może jakiegoś nawisu skalnego. Gdzie przesiedziałby całą noc skulony, jedząc anchois. To dałoby mu jedynie nadzieję, bo rano byłby

martwy.

Kiedy jednak podnosi głowę, wydarza się cud. Przed sobą na przełęczy widzi światełko, przeblyskujące zza drzew. Dzięki ci, Jezu.

Rozpalanie ognia to sztuka, trudna, ale cudowna. Z konieczności pierwsze ruchy są delikatne, materiały cienkie jak włos i okrawki paznokci. W chwili, gdy uda się skrzesać iskrę, czy to za pomocą łuku, krzemienia czy paru zapalek, trzeba się nachylić i tchnąć w nią, jakby się wzdychało. Jeśli się ściągnie usta i dmuchnie, iskra zgaśnie.

Przy zachowaniu ostrożności i odrobinie szczęścia płomyk, nie większy niż czubek palca, żyje zaledwie kilka sekund. Potem, gdy zapala się suchy liść, starzec o długich włosach, które stają w ogniu, trzeba dołożyć jeszcze kilka suchych liści i umieścić nad płomieniem gałązki. W razie czego należy podnieść patyczki. Jeśli się popełni błąd, piramidka się zapada i gasi płomień. Jeżeli zrobi się to dobrze, płomień staje się większy, choć wciąż delikatny. Potem następuje gałązki i małe połamane gałęzie. A kiedy zajmuje się i ta warstwa, można ściągnąć usta i dmuchnąć. Robi się to raz po raz, aż spojrzawszy w niebo, widzi się jedynie ciemność, ziarnistą jak sadza, ze srebrnymi iskierkami tańczącymi w polu widzenia. Teraz idzie już łatwo. Nic, tylko architektoniczne konstrukcje z połamanego drewna. Weź odpowiednie kawałki i układaj w kwadraty, prostokąty, rozki. Kładź je na tyle blisko, żeby zajmowały się od siebie, ale nie za blisko, żeby nie odciąć dostępu powietrza.

Dzieci kucają tuż obok siebie w wydrążonym pniu drzewa. Rozświetlający ciemność ogień u ich stóp wymaga nieustannej uwagi. Uznają, że patyczki i gałązki nie wystarczą na całą noc, więc od razu zaczynają je racjonować. Pada tak gęsty śnieg, że nie chce im się wychodzić na zewnątrz, żeby zebrać w mroku więcej drewna. Dokładają do ognia tylko tyle, żeby nie zgasł.

Sally, tuż przy ognisku, zasypia na stojąco. Zewnętrzna warstwa zimowej sierści pokrywa jej grzbiet jak strzecha. Niżej znajduje się druga warstwa, gruba jak filc, po której spływa topniejący śnieg i kapie z brzucha na ziemię, nie przenikając głębiej. W dawnych czasach Sally przeżyła niejedną taką noc. Na grzywie i ogonie wisiały jej sopolki lodu. Była zmarznięta i drżała. Ale o świcie zawsze stała na nogach.

Podobnie bliźnięta. To nie są wydelikaczone dzieci. Przeżyły już wiele cierpień. Zimno to dla nich jeszcze jedna niewygodna, do zniesienia. Trzeba się skulić, oddychać płytko i czekać, aż zrobi się cieplej. A potem iść dalej. Żadnych łez, żadnych życzeń.

Dorzucają do małego ogniska gałązki niewiele większe od ołówka i tulą się do siebie, nie myśląc o tym, co było ani co będzie. Niech ta noc przeminie, a rankiem podejmą ucieczkę. Ale to nie od Luce uciekają. W Chacie żyło się dziwnie, ale dobrze. A Luce była trochę jak Lily, z tego, co pamiętają. Jednak nie oczekują już od nikogo matczynej miłości. Chcą tylko spokoju, żeby wszystko toczyło się gładko. Nie miłości ani nienawiści, przyjemności ani bólu, nadziei ani strachu, bezpieczeństwa ani zagrożenia. Nikogo, kto by całował je na dobranoc, aż w brzuchu rozchodzi się miłe mrowienie, ani nikogo, kto biłby do krwi. Jeśli się zgodzą na jedno, będą musiały przystać i na drugie, na tym polega umowa. Nie można panować nad wszystkim, co się dzieje. Można jedynie zapanować nad własnym umysłem. Starać się, żeby był jak jezioro w pogodny bezwietrzny dzień. Jeśli się da, nie wychodzić do innych. Ufać tylko sobie nawzajem. Pielęgnować wzajemną miłość i wyrażać gniew jak to, co pragnie spłonąć.

Tak dobrze im to szło, dopóki nie pojawił się Bud, nie wiadomo skąd. Wtedy złamały wszystkie zasady. Zareagowały, pozwalając się znowu wystraszyć. Nie tylko wystraszyć. To nie

byłoby nic takiego. Lęk towarzyszył im stale. Niezmienny jak oddychanie, choćby człowiek starał się z całych sił go stłumić. Gorzej, wpadły w panikę. A to daleko wykracza poza granice umowy.

Budowi nie udaje się zapowiedzieć swojego nadejścia. Drżący, potykając się, wypada z ciemności prosto do obozowiska. Dobrze, że nikt do niego nie strzelił. Wśród myśliwych krąży wiele opowieści o dzikich bestiach i duchach, które w nocy krążą po lesie, spragnione ludzkiej krwi. Zresztą są zbyt pijani, żeby strzelać. Kiedy pojawia się Bud, jeden z nich właśnie wznosi toast kolorową szklanką.

Nikt specjalnie się nie przejmuje, że Bud jest bliski śmierci. Nawet nie oferuje suchego koca. Siadaj przy ognisku, napij się kawy albo białawego trunku, na więcej troski ich nie stać.

Choć Bud jest przekonany, że to noc, podczas której można się otrzeć o śmierć, gromada siedzących przed nim siwych facetów, w tych samych górach i przy tej samej pogodzie, znajduje się w zupełnie innej rzeczywistości. Urządzili sobie przyjęcie. W tych zabójczych warunkach pogodowych jest im ciepło i miło. Rozpalili sobie wielkie ognisko z pociętych piłą łańcuchową kawałków jodły, hikory i dębu. Pomiedzy pniami drzew rozwieszony brązowy brezent, na wypadek, gdyby zaczął padać gęstszy śnieg, ale na razie siedzą pod gołym niebem, niektórzy w koszulach z krótkimi rękawami, i niech wielki ogień topi spadające płatki, zanim do nich dotrą.

Świat skupia się wokół ogniska, tworząc mały przyjemny krąg. Ciepły i jasny, z czerwonymi węglami w zagłębieniu ziemi, żółtymi płomieniami strzelającymi w górę. Iskry wzbijają się w czarne niebo, mijając spływające ku światłu śnieżynki. Woń pieczonego prosiaka. Granicę zewnętrznego świata wyznaczają słabo oświetlone kolumny drzew, które nikną w ciemności.

Starsi panowie nie mają w planach spania. Nie spali od wielu dni, jeśli nie liczyć krótkich drzemek. Będiesz spał, kiedy umrzesz albo po powrocie do domu, do żony. Tu, w górach, siedzą do rana przy ognisku; dorzucają do niego drewno i piją biber własnej produkcji, z ostatnich dni. Opowiadają sobie historie z polowań, snują opowieści o duchach i przechwalają się zmyślonymi podbojami miłosnymi sprzed lat. Opowiadają stare dowcipy i dogadują sobie wzajemnie na temat swoich fiutów i psów, tak samo do niczego. Przechwalają się, jak to nie można utrzymać żadnego psa przy sobie z wyjątkiem własnego. Zdarzają się też chwile nabożnego milczenia i nasłuchiwanie odgłosów wydawanych w oddali przez coonhoundy.

Trudno znaleźć radość w tych czasach, ale starsi panowie znajdują ją tutaj. Czują się młodzi. Odzyskują wigor, choćby tylko na tych kilka godzin po zmroku. O świcie obozowisko skacowanych sennych sześćdziesięciopięciolatek będzie przypominać zjazd mumii. Ale nie ma co myśleć o poranku. Dopiero północ i wszyscy czują się wspaniale, tak jak przed czterdziestu laty.

Bud nalewa sobie do kubka kawy i przysiadła na piętach tak blisko ogniska, że po kilku oddechach oddala się od niego dwa kroki, żeby płomienie nie opaliły mu brwi. Nie da się ukryć maczety, nie mając na sobie długiego płaszcza. Bud zatknął swoją za pas, wystaje ona spod skórzanej kurtki i szoruje po ziemi, gdy jej właściciel kuca.

Jeden z mężczyzn wskazuje ją i mówi:

– Ktoś tu był na zakupach w sklepie z nadwyżkami wojskowymi. Wydaje mu się, że przedziera się przez dżunglę na Borneo.

A potem podejmuje wątek, który przerwało mu pojawienie się Buda, i narzeka na swoją żonę jako gospodynię.

– W domu zwykle jest taki chlew, że nie zjadłbym nawet orzecha, gdyby upadł na podłogę.

Wkrótce ubranie Buda zaczyna z przodu parować. Ściąga więc buty i ustawia je rozsznurowane przy ogniu. Żałosne zwierzątka z wywalonymi językami. Skarpety kleją mu się do stóp, zakrwawione na palcach i piętach, a kiedy je zdejmuje, z pięt wciąż schodzi mu skóra, płatek po płatku, a spod niej sączy się różowy płyn. Widać sieć czerwonych nitek, cienkich naczynek krwionośnych, gotowych popękać. Bud wyciąga nogi do ognia. Dwa paluchy już czernieją.

Dowcipniś, którzy rzucił uwagę o Borneo, dodaje:

– Odpadną ci, możesz mi wierzyć.

Bud dopija kawę, nalewa sobie pełen kubek białawego trunku i powoli zaczyna dochodzić do siebie.

W kółku, niedaleko niego, siedzi stary Jones, poprzedni bimbrownik, który się nie odzywa, jakby czekał, aż Bud go rozpozna.

Bud go widzi, ale zachowuje spokój. Jones nie żywi do niego wielkiej urazy. Pewnie nie tęskni za długimi kursami po towar i kłopotami z prawem. Całym tym gównem jak z Thunder Road. Zresztą jest za stary, żeby zagiąć tych z FBI. Teraz żyje mu się lepiej. Pogodnie, miejscami zachmurzenie umiarkowane, odkąd Bud przejął interes. Regularna dola, choć rzeczywisty procent jest znacznie mniejszy od kwoty, na którą umówili się latem.

Przypuśćmy jednak, że jakiś dupek w typie Elvisa siada z krzywym uśmiechem u ciebie na ganku i zaczyna ci mówić, co masz robić, grozi, że wysadzi cię z interesu, a później, szczęśliwym zrządzeniem losu, ten sam frajer ląduje przed tobą bezbronny, zdany na twoją łaskę. Co wtedy? Nawet Jezus, dobry i wyrozumiały, mógłby pomyśleć o rewanzu.

I, faktycznie, niedługo potem Jones pyta:

– Synu, co ty tu robisz, do cholery?

Bud osłania dłonią oczy, przez chwilę udaje, że widzi w blasku ognia jedynie kolejną nieznaną twarz.

– Zgubiłem się – odpowiada. – O mało nie straciłem życia.

Wszystkich to śmieszy, oprócz niego.

– Nie mów, Sherlocku. A dokąd to się wybierałeś? Do Atlanty?

Znowu rechoczą, a wtedy Jones dodaje:

– Może nie wszyscy mieli okazję cię poznać. To nowy bimbrownik – przedstawia Buda.

Cisza.

Bud spogląda na zebranych i przytyka palec wskazujący do brwi.

Jones zwraca się do kumpli:

– Czegoś tu nie rozumiem. Góry to nie najlepsze miejsce, żeby sprzedawać księżycówkę. Sami ją pędzimy. Więc pytam jeszcze raz. Co on tu robi, do licha?

Bud był zbyt zajęty walką o przetrwanie, żeby wymyślić dobrą historyjkę. Próbuje więc improwizować.

– Widzieliście parę dzieciaków? – pyta. – Chłopca i dziewczynkę? Takie blondasy? Należą do ekipy poszukiwawczej. Smarkacze zaginęły ze dwa dni temu. Więc pewnie, przy tej pogodzie, szukamy już tylko ciała.

– Ekipy poszukiwawczej? – dziwi się poprzedni bimbrownik.

– Jakiś czas temu odłączyłem się od reszty. Nad jeziorem.

– I szedłeś w górę sam? Ile? Sześć, osiem godzin?

– Naprawdę chciałbym znaleźć te dzieci.

– Uhm – mruczy Jones. – Wyglądałeś mi na takiego, kiedy latem usiadłeś na moim ganku.

Na gościa, który przebiłby samego Jezusa, gdyby trzeba było ratować zbłąkane owieczki.

Ale ton, który Jones próbuje przybrać wobec Buda, nie znajduje oddźwięku. Ta sprawa nikogo nie interesuje. Zebrani wracają do zabawy.

Bud zaś jest zbyt szczęśliwy, że niespodziewanie uszedł z życiem, aby martwić się czymkolwiek. Jeśli będąc na skraju śmierci, człowiek ląduje w ciepłym bezpiecznym miejscu, powinien się położyć i radować.

Nie trzeba mu wiele czasu, aby się zorientować, że ci oldboye mają z sobą wszystko, czego potrzebują. Przywieźli to na koniach, które stoją na skraju kręgu światła, każdy z podwiązaną zadnią nogą. Żarcia wystarczyłoby im na kilka tygodni, i to nawet gdyby sobie nie żalowali. Żeliwne patelnie o średnicy czterdziestu centymetrów, półka z lodówki służąca za kratę do grillowania, mały piecyk, gdyby potrzeba było ciastek czy chleba kukurydzianego. Piła łańcuchowa, drewniany młot i klin do drewna, żeby podtrzymywać ogień. Duże ilości wołowiny, bekon, ale także wspaniałych kiełbas i wędzonych domowych szynek. Syrop w czterolitrowych puszkach. Tuziny jaj w workach z mąką. Wszyscy rano mają ochotę na naleśniki. Dużo suchej białej fasoli do potrawki z golonką, gdyby ktoś zatęsknił za warzywami.

No i, przynajmniej teoretycznie, wszystkie te szopy i oposy, które upolują psy. Tylko że, niestety, niewiele z nich mięsa. Daleko poza zasięgiem światła psy myśliwskie z przewężeniem pod żebrami mieszają się z tymi z grzbietem wygiętym w łuk. Na ich pyskach maluje się niepewność. Wokół ogniska opowieści o ich porażkach. Najpierw jeden z tych dupków podnosi głowę i coś mówi, potem następny. Twarze zwrócone do ognia, oświetlone jego blaskiem, a potem kiwające się w ciemności.

Ktoś się odzywa:

– Nigdy nie wierzyłem za bardzo w te wasze blueticki.

– Możemy ograniczyć do niezbędnego minimum gadki o naszych lokalnych sprawach? – pyta Jones.

A potem rzuca do Buda:

– Czyich to dzieci szukałeś?

– Tej Luce – odpowiada Bud. Próbuje się dostosować sposobem mówienia do słuchaczy.

– Córci Lita – wyjaśnia ktoś.

– Nie jej. To dzieciaki jej siostry – dorzuca ktoś inny.

Z przeciwległego krańca koła dobiega słaby głos, który trudno usłyszeć wśród trzasków ognia:

– Tyle ciosów dla jednej rodziny. Kiepska sprawa. Najpierw Lily, potem Lit, a teraz to.

– Może znajdziemy dzieci, a Lit pojawi się któregoś dnia – stwierdza Bud, próbując zmienić temat. – Może wyskoczył na plażę z jakąś babką.

– Tak czy siak – odzywa się ktoś inny – dzieci są upośledzone czy coś takiego, więc chyba się zgubiły.

– Ale w sumie to dziwne – zauważa Bud. – Może dziewczynie znudziło się matkowanie szurniętym dzieciakom. Pewnie nigdy się nie odnajdą.

Niektórzy z pijanych myśliwych, którzy znaję Luce od dzieciństwa, stają w jej obronie, drudzy

którzy nigdy nie lubili Lita, orzekają, że wszystko jest możliwe. Potem ktoś przypomina, jak to spłonęła szkoła, kiedy Luce wyszła z pracy, i wtedy prawie wszyscy kiwają z powagą głowami.

Zebrani powracają do wspólnych wspomnień i innych bzdur. Opowiadają o jakichś rozgrywkach bejsbolowych po drugiej wojnie światowej, gdy ktoś zmarnował fly ball czy zaliczył wszystkie bazy i zdobył punkt w dziewiątej rundzie. Pośmiewisko i chwała. Ci, którzy nie brali udziału w poszczególnych meczach, przysypiają na siedząco, a potem się budzą. Późno w nocy śnieg powoli przestaje padać, już tylko jeden czy dwa mokre płatki unoszą się w kręgu światła i topnieją.

Pierwsza w nocy, kiepska pogoda. Stubblefield jedzie wzdłuż jeziora, aż dociera do asfaltu, a potem skręca w kierunku miasteczka. W blasku reflektorów widać, jak zacina zimny deszcz, który spływa po przedniej szybie na granicy zamarznięcia.

Luce była już wyczerpana brakiem snu i bezskutecznymi poszukiwaniami, ledwie mogła mówić, tak zdarła sobie gardło wołaniem dzieci w czarnych borach. Oboje trzymali się na nogach tylko dzięki kolejnym kubkom gorzkiej paprochowatej kawy, zaparzonej przez Maddie. O północy Stubblefield zaprowadził Luce na kanapę i zaczął przemawiać do niej uspokajająco, aż zasnęła z głową na jego kolanach. Mówił te wszystkie frazesy bez znaczenia, że wszystko będzie dobrze. Gładził ją po ramionach, głaskał po twarzy od czoła po brodę, przeczesywał palcami włosy aż do karku, wsuwając czubki palców pod kołnierz bluzki.

Potem położył jej głowę na poduszce i przykrył Luce kapą, narzucił kurtkę z koltem w kieszeni i poszedł do kuchni. Maddie siedziała z kubkiem kawy przy stole. Spojrzała na niego pytająco, więc wyjaśnił:

– Zasnęła.

Nagle uzmysłowił sobie, że Maddie nie była u siebie w domu od czasu zaginięcia dzieci.

– Gdzie spędziłaś ostatnią noc?

– Luce ma czterdzieści pokoiów, z których nie korzysta. Więc ja skorzystałam.

– Dziękuję ci – powiedział i ruszył do tylnych drzwi, biorąc po drodze latarkę.

Teraz jedzie przez tamę i dalej brzegiem, jak w tunelu, bo z jednej strony wznosi się ciemna ściana lasu, a z drugiej rozciąga się ledwie widoczne jezioro, w deszczu pusta przestrzeń. Stubblefield boi się następnych paru godzin, nie spodziewa się wcale, że znajdzie dzieci i zostanie bohaterem. Stale powraca do niego wspomnienie tamtej nocy w Zajeździe. Buda, który najpierw go zlekceważył jako zagrożenie, a potem nagle ciachnął nożem. Luce przestraszonej, ale patrzącej Budowi prosto w twarz. Zranioną dłoń wciąż ma owiniętą muślinowym bandażem, brudnym i niezmiennym od kilku dni w tym szaleństwie. Pod nim znajduje się szeroko różowa blizna z cienkim brązowym strupem.

Jeżeli zostanie Buda w domu, samego, to pewnie będzie oznaczało, że dzieci nie żyją. I co wtedy? Pierwsze stracie z Budem nie skończyło się dla niego dobrze i na wspomnienie tamtej chwili wciąż zapiera mu dech w piersiach. Ale tłucze mu się w głowie powiedzenie dziadka. Kieruj się hukiem dział. To budzi nostalgię, tyle że dziadek nigdy nie służył w wojsku. Co można by potraktować jako wymówkę, żeby zawrócić i pojechać z powrotem do Chaty. Stubblefield jednak jedzie hawkiem przed siebie.

Przez krótką chwilę podczas jazdy wokół ciemnego jeziora udaje mu się zachować w głowie jasny obraz, punkt jasnego brylantowego światła. Przekonanie, że rządzi nami nadzieja, nie strach. Ale za tablicą z nazwą miasteczka to światełko gaśnie. W jego miejsce pojawiają się

krew i mrok, który widział w ranie na dłoni. Mimo to wjeżdża do miasteczka i parkuje wóz. Idzie w deszczu dwie przecznice. Na chodniku leżą mokre liście, okna domków są ciemne. Wokół latarni ulicznych z ząbkowanymi kloszami widać przymglone kręgi światła.

W mieszkaniu Buda nie palą się światła. Ale zielony pick-up na podjeździe budzi nową falę strachu. Stubblefield wyjmuje z kieszeni kolta i pokonawszy boczne podwórko, podchodzi do tylnych drzwi. Kręci ostrożnie gałką, bez efektu. Ale zamek to nie problem, poza tym Stubblefield wziął z Chaty duży śrubokręt z drewnianą rączką. Jedno szarpnięcie i drzwi się otwierają, czemu towarzyszy ciche skrzypnięcie starego drewna. Stubblefield opiera się plecami o zewnętrzną ścianę budynku i czeka. Długo nasłuchuje. Ale nic. Nie słychać ani dzieci, ani Buda, wychodzącego z nożem, żeby sprawdzić, co to za hałas.

Stubblefield wkracza do środka i co jakiś czas włącza na krótko latarkę, żeby się zorientować, gdzie jest. Kuchnia, nieumyte naczynia w zlewie i na blacie. Salon, brudna koszulka na podłodze, para białych skarpet z dwoma czerwonymi paskami u góry. Łazienka, szafka na lekarstwa, a w niej buteleczka z aspiryną.

Ostrożnie wchodzi do sypialni, na wypadek, gdyby spał w niej Bud. Ale widzi jedynie niezaścielone łóżko i następne brudne ubrania. Żadnych książek, płyt. Niczego, co mówiło cokolwiek o gospodarzu, o jego upodobaniach. Nie ma w kogo wycelować broni. W szafie pusto z wyjątkiem pary nowych beżowych mokasynów. Otwiera po kolei szuflady. Tak mało ciuchów, że nie zapełniłyby nawet walizki. Ale w szufladzie biurka znajduje zwitek banknotów, przewiązanych gumką recepturką. Potem w szufladach nocnych szafek i pod materacem – następne, identyczne. A także mały brązowy skórzany notes.

Zabiera to wszystko do salonu, siada na kanapie i stawia zwitki banknotów na stoliku do kawy. Zastłania światło latarki popielniczką z bursztynowego szkła i przegląda notes. Strona po stronie numery telefonów i zamówienia na alkohol. Zdejmuje gumkę ze zwitka banknotów i przelicza je. Dokładnie pięćset dolarów. Nie zadaje sobie trudu, żeby związać ponownie pieniądze ani przeliczyć pozostałe zwitki. Notes i gotówka mówią wszystko. Cokolwiek Bud robił przez dwa ostatnie dni, nie zniknął na zawsze.

Stubblefield siedzi w ciemnościach i czeka z koltem w ręce, usiłując przywołać brylantowe światło. Jeśli Bud się tu pojawi, on wyceluje w niego z pistoletu i zada kilka pytań. A potem się zobaczy.

Po dwóch godzinach Stubblefield odwija brudny bandaż. Kładzie go na pieniądzach i na notesie. To będzie wiadomość. Rusza do drzwi i wychodzi na dwór. Wielkie płatki śniegu padają na ziemię i od razu topnieją, wszędzie z wyjątkiem trawy. Gdy dojeżdża do tamy, śnieg sypie już na potęgę, jasny i oślepiający w blasku reflektorów.

Stubblefield wysiada przed Chatą i po chwili ma śnieg na włosach, ramionach, brwiach. Trawnik jest zupełnie biały i żaden, nawet nikły blask w chmurach nad wschodnimi szczytami nie zapowiada świtu. Maddie siedzi przy stole w kuchni i pije kawę. W pobliżu stoi blacha z ciastkami, trzeba tylko wstawić ją do piekarnika. Kobieta nawet nie czeka na pytanie.

– Wciąż śpi – mówi. – Potrzebuje snu, ale na pewno by się wściekła, gdybyś jej nie obudził.

Stubblefield siada na kanapie, licząc, że zanim ją obudzi, uda mu się zastąpić poduszkę pod jej głowę swoim kolanem. Ale ugina się pod nim siedzenie i Luce wyciąga rękę, dotyka jego nogi, a potem siada i odgarnia włosy z twarzy. Całuje Stubblefielda w policzek.

– Gdzie byłś?

– Słucham?

– Pachniesz świeżym powietrzem.

– Och, wyrząłem tylko na dwór. Ale bez skutku.

Luce przesuwa rękami po jego mokrych włosach.

– Deszcz?

– Śnieg.

Luce odwraca dłonie wierzchem do góry i patrzy na nie dłuższą chwilę.

– Tak, zła noc – mówi Stubblefield. – Zjedźmy coś i w drogę.

Świt, zimna mgła, blade metaliczne barwy. Szarość, żółć, błękit. Potem różne stopnie natężenia porannego światła, kiedy słońce przebija się przez mgłę. Każda gałązka i sosnowa igła ma własną gablotkę z lodu. Słońce odbija się od tych kryształków we wszystkich kierunkach, tylko nie w tym, co zwykle. Na ziemi leży gruba warstwa śniegu, uginają się pod nim nawet konary roślin wiecznie zielonych. Światło tańczy, porażając oczy. To dziwne i ekscytujące.

Frank unosi ręce nad głowę i porusza palcami. Dolores z uśmiechem dźga go łokciem.

Na śniadanie mają marynowaną okrę ze słoika, to pokrzepiający początek nowego dnia. Rywalizują z sobą, kto zje największe sztuki, i miażdżąc białe nasiona tylnymi zębami, mrugają zawzięcie powiekami. Dolores podnosi słój do ust i wypija dużymi łykami słoną zieloną octową zalewę, potem podaje Frankowi, który robi to samo. Oboje śmieją się z tego swojego mrugania i krzywych min. Na ogonie Sally wiszą paciorki lodu, gdy ją dosiadają i ruszają w dalszą drogę.

Trudniej byłoby im poruszać się w terenie, gdyby mieli pojęcie, gdzie się znajdują i dokąd zmierzają. Zgubienie się nie stanowi problemu. Zwłaszcza że woleliby nie zostać znalezieni. Są, gdzie są, a podążają do przodu, żeby znaleźć się gdzieś indziej. Patrzą więc przed siebie, a Sally prze naprzód.

Frank gubi kapelusz. Uszy robią mu się czerwone, a potem sine. Dolores zdejmuje swój, z opuszczonym rondem, w kształcie sanek, i rozciera nim skronie brata, a potem nasadza mu go na głowę, aż po oczy. Od tej chwili na podstawie koloru uszu decydują, które będzie go nosić. To świetna zabawa; podczas następnego postoju rozbierają się do naga i zamieniają ubraniami. Po godzinie znowu zmiana.

Śnieg smakuje całkiem nieźle, ale tylko po łyżeczce, nie w większych ilościach. Ułamane i rozszczerzone na końcach gałązki brzozy absorbują na pięć minut kubki smakowe, jeśli zmiażdży się zdrewniałe części zębami i dziąsłami, a potem trzyma je pod językiem. Gałązka sosny balsamicznej też jest ciekawa, ale jeżeli człowiek przygląda jej się za długo, symetria i powtarzalny układ igieł wywołują u niego ciarki tak samo jak łuski węża, lepiej więc włączyć w głowie hamulce i zatrzymać ten wibrujący obraz.

W pewnym momencie Sally przestaje zwracać uwagę, na co patrzą. Ze wszystkich możliwych skrętów wybiera te, które prowadzą z powrotem do stodoły Maddie, i zaczyna zataczać wielkie koło.

W południe słońce świeci ostro, więc śnieg i lód szybko topnieją. Wracają codzienne szarobure powodzie. Dla podróżnych to dobrze. Choć trochę szkoda, po tej krótkiej przemianie świata w to coś białego, lśniącego i nowego. Teraz błoto staje się jeszcze bardziej błotniste i kopyta Sally przy każdym kroku wydają jakby mlaśnięcia, podczas gdy wcześniej był to czysty czterotaktowy stukot. W porze lunchu dzieci nawet nie zapalają ogniska. Jedzą masło orzechowe, podając sobie słoik i wybierając zawartość dwoma palcami.

Listopadowa pogoda w górach. Najpierw, bez zapowiedzi, sypie śnieg i można zamarznąć na śmierć, a dwadzieścia cztery godziny później świeci słońce i trzeba nieść płaszcz na ramieniu.

Idzie się ciężko, bo szlak jest błotnisty, grzęźnie się w topniejącej brei. To prawda, każda podróż jest męcząca, ale trzeba ją odbyć. Stawiając jedną stopę za drugą.

Starsi panowie wyprawili Buda w drogę z wysuszonymi przy ogniu ciuchami i kocem, sporym tobołkiem żywności, dużą kwadratową płachtą brezentu i czterema długościami nylonowej liny, żeby mógł zbudować sobie schronienie. No i z mapą wyrysowaną na wewnętrznej stronie worka po mące kukurydzianej. A także zapewnieniami, że co najmniej przez trzy następne dni pogoda będzie dobra, i życzeniami powodzenia w poszukiwaniu dzieci.

Zaproponowali bez szczególnego zapału, że wyślą z nim kilku ludzi, ale Bud nie chciał o tym słyszeć. Uratowali mu życie i to w zupełności wystarczy. Musi się zbierać i iść szybko, żeby nadrobić stracony czas. Staruszkowie zaczęli mamrotać coś o bolących plecach i biodrach, strzykających kolanach. Jak się jest w pewnym wieku, nie ma gwarancji, że człowiek po drodze nie padnie i zamiast pomóc, tylko sprawi kłopot. Chociaż kiedyś czego to nie dokonali. Jeden z nich jako osiemnastolatek zaniósł na ramionach po dwudziestopięciokilogramowym worku mąki od Wawrzynowej Przełęczy aż do swojej mamy, odciętej od świata w swojej chacie przez wiosenną powódź, która zalała wszystkie okoliczne drogi. Czterdzieści kilometrów i setki metrów po nierównym terenie, w górę i w dół. Zajęło mu to niespełna osiem godzin.

– O rany – Bud na to. – To był dopiero spacer.

– Przez ostatnie osiem kilometrów chciało mi się płakać – odparł bohater opowieści.

Bud zmierza przed siebie, wyężając wzrok. Ale z każdym jego krokiem góry potężnieją, to jak dmuchanie w balonik, tyle że balonik stanowi jedynie zwiniętą w kulę płachtę gazety. Wszędzie ciemne zakamarki i szczeliny. Po przebyciu kilku kilometrów Bud się zatrzymuje i zjada zrolowane naleśniki z warstwą ciemnego masła jabłkowego i parówką. Słońce pali, niebo jest błękitne i czyste, ale w zagłębieniach liści wciąż utrzymuje się śnieg, który leży też, głęboki po kostki, po ocienionej północnej stronie drzew i skał. Nie bardzo wie, co dalej z jego misją. Widzieli go starsi panowie. Każdy z nich mógłby w sądzie wskazać na niego palcem.

Ale co z tego? Jeśli załatwi się sprawę, jak trzeba, ukryje ciała i broń, nie będzie żadnych dowodów. Nie ma co myśleć o tej smutnej historii z Litem. Gdy w grę wchodzi emocje, człowiek popełnia błędy. Czuje się zdradzony, zaczyna się trząść ze strachu, bo ma krew na rękach, i w efekcie źle ocenia sytuację. Ale tu to co innego, wszędzie dookoła przepastne lasy. Ciągną się i ciągną, a te głupie dzieciaki zaszły już całkiem daleko. Należy więc zakopać je głęboko i nawet się nie wypierać, że się tu nie było. Próbowaleś pomóc, szukałeś dzieci swojej biednej żony nieboszczki. Ledwie przetrwałeś śnieżycę. Nie znalazłszy ich, wróciłeś do domu z krwawiącym sercem. Potem opuściłeś miasteczko, żeby się przenieść na zieleńsze pastwiska. I koniec pieśni.

Ale jakiś czas po lunchu Bud zaczyna snuć heroiczne wizje. Że odnajduje dzieciaki i sprowadza je do miasteczka. Dochodzą tam późnym wieczorem. Zostawia je całe i zdrowe, nie bardziej oszołomione niż zwykle, na pustej Main Street, w blasku błyskających na żółto świateł sygnalizatorów. A potem jedzie na zachód przez wiele dni do jakiegoś odległego miejsca, niezwiązanego w żaden sposób z przeszłością. Do Galvestonu albo Gallup. I tam zaczyna od nowa. Znajduje sobie cholerną pracę.

Ale to nierealne. Przez cały czas oglądałby się przez ramię.

Bud wędruje przez długie popołudnie bez wiary w przyszłość. I nagle pojawiają się przed nim. Głębokie na trzy cale w grząskim gruncie. Ślady kopyt. Ze stojącą wodą. Łatwo zgadnąć, w którą stronę zmierzają. I ruszyć tym tropem.

Dolores zaczyna śpiewać Back in the Saddle Again. Pamięta cały tekst, chociaż nie zna znaczenia połowy słów. Są dla niej jak wszystkie inne dźwięki, nieniosące większego przesłania niż ruch palców na strunie bandzo. Gdyby dano jej ten instrument, Dolores pewnie zagrałaby piosenkę równie dobrze, jak ją śpiewa. Bo to wyłącznie układ dźwięków. Zapada w pamięć, gdy raz się go usłyszy. Kiedy Maddie śpiewała ten utwór, Frank był zajęty oporządzaniem Sally, ale teraz słucha uważnie i kiedy siostra dochodzi do refrenu, powtarza za nią słowa.

Sally zatacza koło w stronę domu, podąża wokół szczytów, wybiera myśliwskie ścieżki. Idzie naprzód z determinacją i dzieci mają wrażenie, że są już daleko. Skręcając raz po raz, tego popołudnia zeszły w dół ze sto metrów. Pod nimi znowu pojawia się jezioro, poszarpana tafla płynnego srebra, uwieczona między stokami barwy łupków, jak rtęć w zagłębieniu dłoni.

Nie trzeba wielkiej znajomości lasu, gdy przychodzi do wytropienia konia albo kuca w grząskim terenie, gdzie przy każdym kroku zwierzę zapada się po pęciny. Wystarczy podążać za śladami. Robociarskie buciory lepią się Budowi do stóp, zabłocone aż po ostatnią dziurkę na sznurowadła. W ich wnętrzu chlupocze. Bud ma nadzieję, że to nie krew. Ale nie ma co narzekać, bo wbrew wszelkiej nadziei udało mu się przeżyć. To jednak zagadka – jak te małe głupki przetrwały taką bezwzględną zimową noc w górach?

Może nie przetrwały. I Bud podąża za zbłąkanym kucem.

Ta krzepiąca myśl towarzyszy mu przez kilka kilometrów, do czasu, aż na szlaku pojawia się brązowiejący ogryzek jabłka ze śladami ludzkich zębów.

Chyba jednak przetrwały.

Ale nie ma sensu się martwić. Bud zaczyna się zastanawiać, dokąd one podążają. Wyjmuje mapkę na worku po mące kukurydzianej i sunie po niej palcem, próbując ustalić swoje położenie wśród linii i słów. Ale nic z tego. To zupełnie co innego niż mapa kupiona na stacji Esso, złożona w harmonijkę i przypominająca miech. Niezrozumiałe linie i nazwy nagryzmołone tępy młotkiem stolarza. Świńska Przełęcz, Potok Kąpiącego Się Niedźwiedzia, Dziobi Nos.

Te cholerne wiejskie głupki. Jeśli chcą, żeby ich ziemie były cokolwiek warte, a nie tylko spajały razem resztę świata, lepiej by wymyślili takie nazwy jak Motyla Grań czy Polana Dzikich Kwiatów. Wyimaginowane miejsca, w których duszki spijają rosę z kwiatów kapryfolium. Wyprzedzam swoje czasy – myśli Bud. Ale co w tym nowego?

Niezwykle ciepłe późne popołudnie, przynajmniej w porównaniu z niedawną zadymką. Bud dla odmiany rozbiera się do pasa. Niech jego blada pierś poopala się w słońcu przez kilka minut.

Dochodzi do miejsca, w którym trop skręca na południe, ku wielkim nasłonecznionym płaszczyznom ciemnych skał, usianych małymi zagłębieniami pełnymi wody. Wszystko tu zwraca się ku słońcu, nagrzewa się jak w lecie. Na łysych skałach plamy bujnego mchu i skarłowaciałe sosny, które z trudem wydobywają się ze skalnych szczelin. A poniżej ostra krawędź i gwałtowny spadek, aż człowiek ściska pośladki, a daleko w dole rzeka, która wygląda jak biała nić.

Pokonawszy zakręt, Bud widzi na płaskich skałach tysiące grzechotników. Grzeją się w ciepłe, łapią słońce. Splątane z sobą, jedno na drugich, leżą nieruchomo, nie wydając żadnych dźwięków. Niektóre mają głowy szerokie jak jego pięść. A ich cielska w najszerszym punkcie osiągają grubość łydki.

To wydaje mu się śmieszne. Wszystkie te grube zwoje wrogiego człowiekowi mięsa. Nagle skręcają mu się wnętrzności. Ma wrażenie, że zaraz się porzyga, ale kiedy się pochyła, przed oczami robi mu się ciemno, widzi tylko połyskujące cząstki światła. Na wpół siada, na wpół się

przewraca. Długie ostrze maczety brzęka o skałę, co przypomina dźwięk dzwonu.

Na ten odgłos kilka węży drga gwałtownie, jakby je postrzelono. Zsuwają się z kamieni, wpełzają w szczeliny i pod nawisy skalne. Pierwsi uciekinierzy dają znak pozostałym i niebawem wszystkie umykają, niczym rozproszona trzoda. Rozwiewająca się gęsta mgła, jakby ich nigdy tu nie było.

Bud próbuje iść dalej, patrząc pod nogi. Ale nie wychodzi mu to dobrze. Raz po raz znosi go ze śnieżki. Siada więc i usiłuje zebrać myśli.

Nasyp kolejowy, po którym biegną wąskie tory, młode smukłe drzewa rosnące w miejscu, gdzie silniki parowe ciągnęły ich gigantycznych przodków, którzy wyszli z ziemi jeszcze przed pojawieniem się białych ludzi. Szlak wiedzie na przeciwnej zasadzie niż płynąca po tych samych stokach woda, która podąża zgodnie z kierunkiem siły ciężkości, tak prosto, jak się da. Szlak tymczasem się wiję w zależności od ukształtowania terenu. Choć nie biegnie stromo w dół, to stopniowo opada, odnajdując najłatwiejszą drogę. W ciągu popołudnia zmienia się roślinność. Nie ma już sosen balsamicznych, jest za to więcej wawrzynów i różdżkokwiatów. Wszystkie te nazwy, które Luce tak lubi.

Sally przejawia większe zdecydowanie niż wcześniej, jeśli chodzi o tempo marszu i kierunek. Dolores i Frank wiercą się na jej grzbiecie, aż w końcu siadają naprzeciwko siebie i zaczynają skomplikowaną grę w pokazywanie palców i skoordynowane klepnięcia w dłoń. Ktoś z zewnątrz miałby kłopot ze zrozumieniem jej zasad, oceną wyników i poziomu rozgrywki: czy uczestnicy grają fair, czy nie. Zabawa kończy się tak, jak zwykle. Jedno uderza za mocno i drugie się wycofuje. Dzieci siadają plecami do siebie i przez jakiś czas są obrażone. Obserwują mijane otoczenie, Dolores patrzy w rozciągającą się przed nimi przyszłość, Frank – w przeszłość, która umyka w tył.

Po zachodniej stronie nieba nad szczytami gór rozsnuwają się popołudniowe smugi światła. Platynowe, brązowe.

Późnym popołudniem, gdy trzeba rozbić obóz, dostrzegają miejsce, które wydaje im się znajome. Stare wygięte drzewo znak. Robią się natarczywe, więc Sally w końcu się poddaje i skręca w gęstwiny, gdzie nie ma ścieżki. Słońce jest już nisko i jego światło wśród suchych brązowych liści staje się złote i jakby wytrawione. Cienie na ziemi się wydłużają.

Godzinę później, o zmierzchu barwy indygo, jakaś duża żółta planeta spada powoli między wierzchołkami drzew. Rozpalają ogień na skraju dziury, używając pniaka obalonej hikory. Jeszcze tylko stos opału wyzebrany od lasu i w górę strzela płomień tak wysoki jak one same. Potem suche gałęzie choiny w ramach natychmiastowej gratyfikacji, razem z większymi konarami, żeby ogień palił się dłużej. Światło wznosi się wysoko, wraz z dymem. Ale na powierzchni wody w głębi czarnej dziury nie pojawia się ani jeden refleks.

Główne jasne punkty nocnego nieba wyraźnie migocą w przejrzystym ostrym powietrzu. Dolores i Frank, dawno już pogodzeni, siedzą po turecku pod jednym kocem i jedzą potrawkę z pomidorów, zagryzając ostatnimi krakersami. Na deser masło jabłkowe, ciemne od brązowego cukru, bez chleba, na którym można by je rozsmarować. Śpiewają następne piosenki, których nauczyli się od Maddie, z trzeszczącego adapteru czy dużego radia. Knoxville Girl. I'll Take You Home Again Kathleen. Oh Baby Don't You Weep.

Liczą Plejady, jak nauczyła je Luce, i rozmawiają z sobą. Używają powszechnie znanych słów i takich, które same wymyśliły. Są jednak jak ostrożni ludzie w obcym kraju, którego język znają

niezbyt dobrze. Dzieci ukrywają się z tym, co wiedzą, są szczerze tylko wobec siebie. Cokolwiek mówi ktoś inny, jedynie patrzą. Nie rozmawiają o miejscu, w którym są. Zalazły się z powrotem tam, skąd wyruszyły. Krążyły wokół Chaty, choć sądziły, że się od niej oddalają.

Nie liczą czasu i czarna dziura nie budzi ich niepokoju. W ogóle ich nie interesuje. Należą do dzieci, które mogą siedzieć same w ciemności na skraju przerażającego dołu w lesie i w ogóle o nim nie myśleć. To, czego się boją, nie ma związku z dziurą w ziemi i jakąś brudną wodą. Nie muszą wymyślać historii rodem z horrorów, żeby zaznać dreszczu. Horror to dla nich inni ludzie. I to, co mogą zrobić drugiemu człowiekowi.

Ślady kopyt prowadzą dalej. Czasami zanikają, jeśli szlak prowadzi przez skalisty teren albo jasne południowe stoki. Ale wystarczy się rozejrzeć, przejść zygakiem w stronę, w którą prowadziły, i niedługo pojawiają się znowu.

Dzień wciąż jest pogodny i dość ciepły. Można wejść na wzniesienie i spojrzeć za siebie, żeby zobaczyć, gdzie się było. Wysokie szczyty, szare kości gór, wznoszą się w słońcu, najwyższy z nich wciąż biały od śniegu i zamarzniętej mgły. Można być dumnym, że się przetrwało. A ci wszyscy siedzą tam w dolinie po domach. Oglądają w ciepłe telewizję.

Trudno powiedzieć, jak blisko są dzieciaki. Bud zastanawia się, co robi, gdy za zakrętem zobaczy kuca. Nie ma innego wyjścia, jak tylko załatwić wszystkich, jak zawsze. Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Bo jeśli człowiek zacznie patrzeć na zegarek i myśleć, to już po nim. Trzeba iść za ciosem. I to szybko, tak jest najlepiej dla wszystkich.

Bud ponownie zaczyna ubolewać, że źle załatwił sprawę z Litem. Pomyłki zawsze zapadają w pamięć. Na wypadek, gdyby to nie miała być ostatnia, chciałby zdobyć karabin dużego kalibru, jak te, których używali strzelcy z wojny secesyjnej, z tego, co czytał w czasopismach. Siedzisz sobie wysoko na drzewie i namierzasz z daleka jakiegoś nieprzyjacielskiego oficera. Pułkownika czy kogoś takiego. Małego gościa, palącego cygaro, który zgrywa przed podwładnymi nie wiadomo kogo. Mając wspaniałą technikę, wstrzymujesz tylko oddech i naciskasz spust, tak delikatnie, jakbyś dotykał własnej gałki ocznej. Zanim do pułkownika dotrze dźwięk strzału, jego łeb zamienia się w wielką podwójną garść mielonego mięsa i wsiąka w glebę, a reszta jego ciała zaczyna się chwiać jak przepiłowane drzewo. Ale na szczęście dla niego, to nie trwa dłużej niż zdmuchnięcie świecy. Jest dobrze, dobrze, a potem człowieka pada martwy. Ludzie leżący w szpitalnych łóżkach na całym świecie modlą się o taki wspaniały koniec.

Ale nie ma co planować przyszłości. To ostatni raz, na pewno. A później nowe życie.

Bud podąża dalej, aż słońce zachodzi i znika za drzewami. Nagle całe ciepło jakby wsiąka w ziemię. Zapada ciemność, którą nie wiadomo, jak nazwać. Zmrok to czy noc? Może zmierzch, coś pomiędzy. Ludzie mieli kiedyś na to określenie – szarówka, zna to słowo chyba z jakiejś dawnej piosenki. Jednak jeszcze tylko kilka minut i cała sprawa traci znaczenie, jak wszystko. Nadchodzi noc, tak ciemna, że człowiek nie widzi własnych palców u stóp.

Bud siada w płaskim miejscu przy szlaku. Nie nauczył się lekcji od myśliwych. Weź w posiadanie swoją przestrzeń. Wyznacz ją kręgiem światła. Wypchnij ciemność. Nie walcz tylko o przetrwanie. Świętuj.

Ale to niemożliwe bez piły łańcuchowej, bez podpalki, porąbanych siekierą świeżych polan sosnowych. Bez kumpli ze szkoły, siedzących razem z tobą w ciepłe i światło.

Bud składa razem mokre butwiejące patyki i kuca obok nich z ostatnimi zapalkami. Udaje mu się na kilka sekund uzyskać dym.

– Chrzanić to – mówi, owija się kocem i kładzie na płachcie brezentu.

Przez całą noc nie śpi, wsłuchuje się w rozmaite języki, jakimi nocą przemawia las.

Kiedy wreszcie zasypia, sen nie zakłóca toku jego myśli. Gdy się budzi ponownie, wciąż słyszy mamroczące nad nim głosy i na myśl przychodzą mu dwa szybkie zamaszyste ruchy.

Nie ma co zaprzeczać, że to podłe. Ale powiedz sobie, że z tym kończysz i ruszysz przed siebie. Bud dotyka naszyjnika, a potem swojego ramienia.

Krew. Zalewa ziemię. Zwierzęta i ludzi, całe miliardy, ze skórą jak guma, z której jest zrobiony balon albo membrana. Cienka warstewka, która ma utrzymać płyn przed wypłynięciem, ale nie daje rady. Ukłuj się igłą w palec, a zobaczysz, jak bardzo krew pragnie wydostać się na zewnątrz. Gdyby Bóg chciał, żeby było inaczej, dałby nam pancierz. Albo kazałby nam się modlić do twarzy rozrywanej bólem, krzyczącej.

Ale On chciał, żebyśmy krwawili. Rzeka krwi, czerwone krwawiące serce. To jest piękne.

Gdy tylko pojawia się zapowiedź świtu, Luce sama wychodzi z domu. Ziemia, jezioro i niebo wciąż mają prawie ten sam kolor, różnią się tylko odcieniem. Łyse listopadowe drzewa kołyszą się w porywach wiatru na grafitowym niebie i jezioro też jest grafitowe, małe fale rozbijają się o brzeg. Maddie i Stubblefield drzemią przy kuchennym stole.

Bujna latem roślinność zwiesza się nad ścieżką, wysuszona na brąz. Wierzchołki wielkich choin, których korzenie sięgają głęboko w wilgotną ziemię nad brzegami potoku, nikną we mgle. Rdzawobrązowe liście różdżkokwiatu, odmienione przez mróz, lśnią szkliście.

W ciągu trzech ostatnich dni przespała się tylko raz, Stubblefield zażył jeszcze mniej snu. Od czasu do czasu zdrzemnął się z godzinę gdzieś na drodze przeciwpożarowej, oparty o Luce na przednim siedzeniu samochodu. Przez całe popołudnie i wieczór, w okropnej pogodzie – ulewnym deszczu, którego szare strugi zacinały z ukosa w świetle reflektorów – jechali coraz dalej w góry, aż drogi stały się tak wyboiste, że w końcu zaczęli ciągnąć za sobą tłumik, obawiając się, że wkrótce jego los spotka miskę olejową. Po powrocie do Chaty Luce była zbyt zmęczona, aby się sprzeciwić, kiedy Stubblefield ułożył ją do snu. Gdy się obudziła wczesnym rankiem, deszcz przeszedł w mokry śnieg, którego płatki topniały w zetknięciu z ziemią, ale gdy słońce wzniosło się nad wschodnie szczyty gór, chmury zaczęły się rozpraszać. Przez cały następny dzień znowu jałowe poszukiwania, ale już przy błękitnym niebie, z rysującymi się na nim przez cały ranek białymi szczytami. Poszukiwania samochodem i pieszo, pukanie do drzwi domów na farmach i zadawanie w kółko tych samych pytań. Co kilka godzin jazda do sklepu, żeby zapytać o wiadomości. I cały czas próby zachowania spokoju i wiary. Późnym popołudniem zachód słońca i łyse drzewa.

Teraz, idąc w zimnej mgle, Luce nawet nie próbuje wytropić dzieci. Wszystkie ich ślady zostałyby zatarte przez śnieg i deszcz, chyba żeby zgubiły sweter. Podąża więc przed siebie bezmyślnie, starając się jedynie wyczuć, dokąd mogły powędrować bliźnięta. Nie ma jednak zdolności telepatycznych i nie odbiera żadnych sygnałów, ogarnia ją tylko senność.

Co rusz pojawiają się przed nią rozdroża, niezliczone możliwości wyboru jednej albo drugiej ledwie widocznej ścieżki. Te góry to nie dzikie nieprzebyte tereny. Są zamieszkane od tysięcy lat. Wielu starych bezimiennych ludzi, którzy już dawno poszli do ziemi, pozostawiło tu swój ślad, subtelny lub nie. Szlaki łowieckie, jeszcze z czasów przed bizonami, sięgającymi epoki lodowcowej, zamieniły się w ścieżki indiańskie, wąskie, szerokie zaledwie na stopę drożyny i szerokie trakty łączące miasteczka, każde ze swoją piramidą. Drogi na tyle szerokie, że Hiszpanie w hełmach, ich konie, trzody i jeńcy pokonywali na tych terenach po trzydzieści kilometrów dziennie. Dwieście lat później z owych tras korzystali twardzi kupcy kolonialni, botanicy i kaznodzieje, którzy przybywali w góry, żeby robić pieniądze i kolorowe dzieci. Potem amerykańscy żołnierze palili okoliczne wsie, tak że domy na szczytach piramid zamieniły się w warstwy popiołu. Niektóre z tych dróg stawały się szlakami wygnania dla Czirokezów, niekończącymi się szlakami, bo wielu z nich nie dotarło do celu. Tymi samymi drogami dla

mułów i wozów podążali naiwni chłopcy w szarych mundurach, idący na wojnę. Potem, pod koniec poprzedniego stulecia, pojawiły się głębokie drogi do ściągania drewna, a na początku tego wieku wąskie nasypy kolei wąskotorowej. Wszędzie, gdzie tylko Luce spojrzy, rozciąga się pajęczyna dróg i szlaków, labirynt, który może pochłonąć dzieci na zawsze.

Otepiała i pozbawiona nadziei Luce idzie w kierunku czarnej dziury. Przy drzewie znaku widzi ślady kopyt, więc zaczyna biec, a kiedy dociera do hikory i szarańczynu, wyczuwa w powietrzu dym. Pędzi w dół i wpada do wilgotnego wąwozu, a potem w cień choin. Pod stopami ma miękkie igliwie, więc słyszeć tylko jej oddech.

Obok dziury, niemal przy jej krawędzi, tli się ogień. Drewno zamieniło się już w węgiel. W popiele spalone do połowy zwitki banknotów studolarowych. Jakby nie miały większej wartości niż wczorajsza rubryka sportowa w gazecie, zmięta na podpałkę. Pomiędzy ogniskiem a dziurą stoi Bud, patrzy w głąb lasu, w opuszczonej ręce trzyma długie błyszczące ostrze. Z kieszeni wystają mu nadpalone banknoty.

Luce zauważa dzieci dopiero, gdy podąży za wzrokiem Buda. Dolores i Frank stoją obok siebie pod drugiej stronie dziury, tuż przy jej brzegu. Sally stąpa niespokojnie wśród drzew za nimi.

Bud odwraca się i patrzy na Luce.

– Jezu Chryste – mówi.

Luce próbuje złapać oddech.

– Co zrobiłeś? – pyta.

– Jeszcze nic, do cholery. Bo biegają wokół tego kamieniołomu.

Rusza w stronę Luce, a ona się cofa. Przez chwilę wzajemnie naśladują swoje ruchy, jak w powolnym tańcu, oddaleni od siebie o jakieś sześć metrów. Bud się zbliża, a Luce oddala, umyka z jego zasięgu. W końcu stają po obu stronach kręgu ogniska, Bud przy dziurze, Luce zwrócona plecami do choinowego lasu. Bud kopie spalone zwitki banknotów, przysuwając je do żarzących się węgli.

– Spójrz na to – odzywa się znowu. – Mogłem do ostatnich swoich dni żyć jak panisko. Ale nic z tego.

Luce, zdezorientowana, zerka szybko na skrawki papieru, które zajmują się ogniem. Potem znowu spogląda na Buda. Czeka na jego następny ruch.

– Nie zostawiacie mi wyboru. Zrobię, co muszę, a potem znikam.

– Niczego nie musisz robić – odpowiada Luce. – Po prostu odejść. Nigdy więcej cię nie zobaczą. Niczego więcej nie pragnę.

– Myślisz, że jestem aż taki głupi?

– Jak to?

– Możesz wciskać mi kit. Ale nie zostawię za sobą całego zastępu świadków.

– Niczego nie widziałam.

Bud patrzy na drugą stronę dziury.

– Jedno prowadzi do drugiego. Pewnie oskarżą mnie też o śmierć Lita.

– Wiem, że to ty go zabiłeś. Ale mogę z tym żyć. Zostaw nas w spokoju i odejść.

– Nie. Nie mam wyjścia. Mogę zrobić tylko jedno. Nie zamierzam wylądować w pudle.

Sfrustrowany – krążąc bez końca wokół dziury, żeby złapać dzieciaki, bo sądzi, że wreszcie zachowają się jak zwierzęta: nie wytrzymają i uciekną do lasu, a wtedy by je dogonił, ale nie, one

nie wpadają w panikę, są wciąż naprzeciwko niego – Bud dokonuje nieudanej kalkulacji. Próbuje przeskoczyć krąg ognia, żeby dopaść Luce.

Ale w połowie skoku uświadamia sobie, że jedną stopą wyląduje w ogniu, i wypuszcza z dłoni maczetę, która ląduje z brzękiem na kamiennym skraju dziury i zsuwa się do niej. A potem leci w dół i wpada do czarnej toni, która przyjmuje ją bezgłośnie, bez plusku ani kręgów na powierzchni.

Bud staje na obu nogach, jeden but ma oblepiony błotem, a drugi popiołem.

– Zabiję cię gołymi rękami – mówi.

Podchodzi do Luce, ale bez pośpiechu. Bez maczety porusza się ostrożnie i niepewnie.

Luce wyjmuje z kieszeni płaszcz urodzinową brzytwę i otwiera ostrze. Trzyma je pod kątem, jak fryzjer gotowy do golenia. Stalowe prostokątne ostrze odbija światło. Wzdłuż krawędzi jest prawie przezroczyste.

Jabłko Adama stanowi dobry, okrągły cel, skupisko chrząstek pod skórą, wyznaczające punkt, gdzie biegnie tchawica. Luce zbliża się i z całej siły macha ręką, bo chce głęboko wbić ostrze.

Odruch. Bud robi krok w tył i podnosi rękę. Ostrze przecina wnętrze obu dłoni, nie napotykając większego oporu niż opór powietrza. Luce myśli przez sekundę, że w ogóle go nie dosięgła. Ale Lit powiedział, że ostrze samo dąży do kości. Lekki wstrząs, który poczuła poprzez rączkę, oznacza, że do nich dotarło.

Luce patrzy na ręce Buda, na ślady cienkie jak skaleczenia krawędzią kartki.

Znowu staje do walki, na wypadek, gdyby musiała zaatakować ponownie, ale wtedy pojawia się krew. Dwie ciemne płaszczyzny spływające spod kciuków i ciekące po nadgarstkach wzdłuż płataniny samobójczych żył. Palce rozwierają się dramatycznie, białe nad krwią, która kapie na liście i na ziemię.

Bud krzyczy raz po raz, wydając tylko samogłoski, coraz cichsze. Trzyma ręce w górze, a ciepła lepka krew spływa pod mankiety jego skórzanej kurtki i dalej, w głąb rękawów, zbierając się pod łokciami. Nie wie, co powiedzieć. Coraz trudniej mu oddychać. A przed nim stoi Luce z brzytwą, gotowa znowu zbliżyć się do niego. Bud odwraca się więc i patrzy na dzieciaki, tkwiące z pobladłymi twarzami po drugiej stronie dziury, w cieniu pod kopułą choiny. Patrzą na niego spokojnie.

Rzuca się biegiem przed siebie. Pędzi na oślep, nie żadną ścieżką ani szlakiem, w żadnym konkretnym kierunku. Całe to mokre świństwo oblepia mu stopy. Biegnie, aż w końcu nie ma już sił i potem idzie. Dłonie trzyma pod pachami. Trochę jęcząc, a trochę szlochając. Idzie i idzie, aż Luce i dzieci zostają daleko za nim, później siada i opiera plecy o gruby pień choiny, z korą poczerniałą od deszczu. Wyciąga ręce w powietrze, żeby zatrzymać trochę krwawienie.

Pod choiną panuje ciemność i cisza. Igły nie szumią na wietrze jak liście, tylko syczą. Krąg cienia wokół pnia jest ciemniejszy niż inne cienie. Jeśli wyteńczyć słuch, można usłyszeć dźwięk przypominający tykanie wielu zegarków, upadające suche igły, które tworzą powoli tysiącletnią warstwę ściółki, aby zabić słabsze rośliny, próbujące pod nią rosnąć.

Bud nie może się powstrzymać: chce patrzeć. Składa ręce przed sobą i i odlicza oddechy, aż dłonie napęlnią się krwią. Potem znowu podnosi ramiona ku niebu.

Ból nie jest większy, ale kciuki nie funkcjonują jak należy. Palce prawie się już nie ruszają. Są jak flippery. Przesuwa zakrwawionymi opuszkami pod każdym okiem, malując twarz jak

gracz drużyny futbolowej ze szkoły średniej w piątkowe wieczory. Zdejmuje przez głowę naszyjnik i zamierza go rzucić w las, ale ręce odmawiają mu posłuszeństwa i amulet ląduje zaledwie pół metra dalej na poduszce z igliwia. Ale to i tak niezłe. To będzie dopiero zagadka, gdy za dziesięć tysięcy lat ktoś znajdzie u podnóża gór skamieniały ząb rekina.

Bud siedzi tak przez długi czas i patrzy, jak krwawi. Stwierdziwszy, że krwawienie trochę się zmniejszyło, rusza w dalszą drogę, aż dociera do strumienia. Zanurza dłonie w zimnej czystej wodzie i przygląda się, jak smużki krwi płyną z nurtem, a potem nikną na gładkich upstrzonych miłą kamieniach. W końcu zupełnie giną, ale jakież wcześniej stanowią piękny widok.

Oczyszczone przez wody potoku brzegi ran są czyste i kredowobiałe. Gdy jednak przyjrzy im się bliżej, szczegóły zacierają się jak mapa anatomiczna ludzkiego ciała. I znowu pojawia się krew, która spływa po rękach.

Brzegi strumienia porasta gęsty mech. Bud odrywa dwie kępki przypominające strupy, składa je spodnią warstwą do siebie i wkłada pomiędzy dłonie, ściskając mocno zielony opatrunek.

Czeka, aż coś się wydarzy. I odwołując się do zbawczej magii, próbuje sobie przypomnieć dobre chwile w swoim życiu. Czystość i niewinność – to musi wydobyć z przeszłości. Może pobyt na plaży, kiedy był małym chłopcem. Koniec dnia. Jest zmęczony, opalony i pokryty solą od wody morskiej. Albo jeszcze lepiej – ta śliczna dziewczynka o okrągłej twarzy pod koniec młodzieńczej randki. Wrzesień. Siedzą w samochodzie z wyłączonym silnikiem na podjeździe jej domu. Na desce rozdzielczej świeci radio. A jednak żadne z nich nie jest w nastroju do obmacywanek. Tylko rozmawiają i śmieją się wesoło. Jej twarz – taka otwarta i słodka. Bud pamięta, jak tamtego popołudnia mył wóz, odkurzał wnętrze. Pamięta wieczorną mgłę w powietrzu, całą sekwencję piosenek nadawanych w radiu, ale nie może sobie przypomnieć imienia tej dziewczyny. Myśli jednak, że może powinien był się z nią ożenić. Ten jej szeroki uśmiech i małe zęby. Prawdziwego szczęścia się nie zauważa, zawsze tak jest.

Gdy odrywa kompres, dłonie wciąż krwawią. Choć, gdyby próbować określić stan jego dłoni, można by powiedzieć optymistyczniej, że krew już nie płynie, ale raczej się sączy. Chyba śmierć cofnęła się o krok.

Jak się stąd wydostać, do cholery? – myśli Bud.

Z pewną trudnością wyjmuje mapę na worku mąki i rozkłada ją na poplamionych krwią kolanach. Narysowane na niej linie są jak dziecięce bazgroły ołówkiem. Bud, zagubiony w tym otoczeniu, może być wszędzie. Chociaż z uwagą studiuje punkty i oznaczenia, nie jest w stanie odnaleźć na mapie realnego świata.

Dolores i Frank wciąż stoją niepewnie po drugiej stronie dziury. Sally krąży w lesie, jej ciemny kształt rysuje się w cieniu choiny. Jej ruchy odpowiadają ruchom dzieci, ale na większym obwodzie.

Nie chcąc ich wystraszyć, Luce do nich nie biegnie. Przypomina sobie starą mądrość, którą wpoił jej Stubblefield. Jeśli nie będziesz czegoś gonić, samo do ciebie przyjdzie. Czeka więc przy ognisku. Przykłęka i wyciąga dłonie do ciepła. Tłumi matczyzny żal, jakby dzieci uciekły przed nią i powinno jej być z tego powodu przykro. Po prostu się przestraszyły i umknęły do lasu. Nic bardziej naturalnego. Sama postąpiłaby tak samo. I zresztą postąpiła.

Dolores i Frank podchodzą do niej i stają przy ognisku. Ale nie ma uścisków. Łez oczywiście też nie. Sally zatrzymuje się na skraju lasu i potrzęsa łbem. Niecierpliwie.

Luce, starając się mówić takim tonem, jakby wszystko było w zupełnym porządku, rzuca:

– Przyrowadźcie kucyka i wracajmy do domu.

– Nie próbuje prowadzić Sally. Idzie tuż za nią, z zamkniętą brzytwą w dłoni, trzymając kciuk na sprężynie, aby w razie potrzeby szybko ją nacisnąć. Nasłuchuje dźwięków dochodzących z lasu i wypatruje jakiegokolwiek ruchu. Kiedy droga się rozszerza, Luce idzie obok Sally. Mówi do dzieci:

– Tak się martwiłam. Musiało być... – Chce powiedzieć „strasznie”, ale zmienia zamiar i kończy: – ...zimno.

Dolores opowiada, jak się zamieniali kapeluszem, zapalili wielką uschniętą sosnę. A Frank próbuje powiedzieć coś o świcie i lodzie na drzewach. Podnosi ręce i macha nimi, Luce potrafi przetłumaczyć tylko kilka fragmentów, ale to wszystko brzmi dla niej jak piękna muzyka. Można nie znać większości słów, ale przesłanie nie budzi wątpliwości.

– Następnym razem musicie zabrać mnie z sobą – mówi.

Zimowe bory ciągną się bez końca, nocne gwiazdziste niebo jest zimne i przepastne. Wielki Wóz sunie po firmamencie i wszystko, co przychodzi po nim, jest przypadkowym układem świetlistych punktów. Gwiazdy tworzą kształty, które coś znaczą, jeśli zna się kod, ale Bud potrafi dostrzec tylko Wielki Wóz.

Tam, na dole, niebezpieczne cholerstwo, które pożąda twojej krwi i mięsa, nie ogranicza się do węży, niedźwiedzi i pogody. Innym siłom też nie podoba się twoja obecność. Duchy dawnych wilków, bizonów, Indian i pionierów, którzy oddali życie w służbie nieprzejeđnanej historii. Jeśli się zatrzymasz i wcześniej rozbijesz obóz, to znaczy jeszcze za dnia – obejmiesz teren w posiadanie, zatkniesz swoją flagę, rozpalisz ogień – spychasz je z powrotem w przeszłość. Ale gdy tylko posadzisz tyłek sam w ciemności, zaczynają krążyć wokół. Połóż się, a przeniknie cię zimno, bo w ten sposób próbują zrównać twoją temperaturę ze swoją. Kiedy zapadnie cisza, możesz usłyszeć ich głosy. Kilka słów po angielsku, ale przeważnie w innych językach. Tych, które panowały tu jeszcze w czasach przed Indianami. Słowa, których uczyły się nawzajem dawne wymarłe zwierzęta. Słowa skierowane przeciwko tobie. Ściągające na ciebie chorobę. A jednak delikatne jak tchnienie. Pomruki i westchnienia.

A ich środki komunikacji? Strumienie płynące po kamieniach, wiatr wiejący wśród łysych drzew i suchych liści. Szepczące duchy chcą, żebyś właśnie tam się znalazł. W ziemi, tak jak one.

W pewnym momencie, kiedy gwiazdy suną za konarami drzew i wokół rozlegają się głosy, Bud wymyśla historyjkę. Może kiedyś ją spisze, gdy będzie miał wolną chwilę. I wyśle do jednego z tych czasopism. Nie będzie długa.

Facet wyrusza na wędrowkę po pięknych górach. Wybierz porę roku, jaką chcesz, ze wszystkimi charakterystycznymi dla niej detalami. Na przykład kolory. Świat przepęłniają barwy, nawet zimą.

Ten gość potyka się o niewielki kamień. Upada. Rozbija sobie głowę o skałę. I co dalej? Wyobraź sobie dojrzały melon. Cała ta miazga się wylewa.

Łup. Świat znika i już nie wróci. Czarny spokój. Szczęśliwe zakończenie.

Przynajmniej jeśli porówna się taki koniec z wszystkimi innymi. Z całym tym dogorywaniem w szpitalach. Szaleńcy w białych kitlach, którzy patrzą na umierającego i czują się od niego lepsi, jakby byli nieśmiertelni. Ale jednak przyglądają się z okropnym zainteresowaniem. Jak ci wieśniacy z gór, którzy obserwują zastrzelonego właśnie jelenia, kiedy ten ostatni raz spogląda na świat, podczas gdy jego krew wsiąka w liście.

Gdyby więc on miał kiedyś napisać swoją historię, morał brzmiałby tak: zrób to szybko. Jakbyś wyłączał światło na ganku przed pójściem spać. Szczęśliwy, szczęśliwy i martwy.

Potem leż na deskach, podczas mrozu i odwilży. W deszczu i słońcu. Latem wyrosnie na tobie kępa korzeniówek, bladych i złowróźbnych jak namoczona skóra. Wytatuowane święte serce, które wnika w ziemię.

Przechodzący wędkarz albo myśliwy zainteresuje się chmarą ptaków na niebie za jeziorem. W miejscu, nad którym się unoszą, znajdzie kilkanaście rozczochranych myszołowów, stojących obok siebie, uprzejmych. Nie ma się co podniecać, kolejna robota do wykonania. Mogą się zmieniać.

Sznury kolorowych żarówek i zieleni oplatają kable, które wiszą nad Main Street, doprowadzając prąd do trzech sygnalizatorów. Na mokrym czarnym asfalcie widać czerwone, zielone, niebieskie i żółte smugi. Kiedy ulicą przejeżdża hawk, światła przesuwają się po jego masce i zabarwiają krople wody na przedniej szybie. Luce pogrąża się we wspomnieniach z dzieciństwa, z tego magicznego roku, kiedy Lola i Lit przestali się zajmować tylko sobą i poszli kupić dwie lalki.

Dzieci na tylnym siedzeniu wymyśliły nową grę: zaginają trzy palce obu rąk w szpony, szczepiają się z sobą i mocują. Ale gdy tylko komuś coś się stanie, zabawa się skończy. Takie Luce wprowadziła zasady. W radiu Papa Ain't No Santa Claus (Mama Ain't No Christmas Tree) przechodzi w Merry Christmas Baby.

Metodyści obdarowują się prezentami za pośrednictwem świętego Mikołaja w wyblakłej czerwonej flaneli i przybrudzonym białym sztucznym futrze. Siedzi on na metalowym składanym krześle przed udekorowaną choinką, obok pulpitu, wyjmuje z worka paczki, wyciąga złożone karteczki i wyczytuje numer. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Dzieci, chłopcy i dziewczynki, biegną kolejno między rzędami ławek, żeby odebrać upominek. Trwa to i trwa. Chór w niebieskich szatach śpiewa stare pastoralki. Blady ciemnowłosy chłopczyk, drobny jak na swój wiek, nie mogąc doczekać się prezentu, woła do świętego Mikołaja: „Nie zapomnij o małym Vinceyu!”.

Luce, która siedzi z tyłu i dla której to wszystko stanowi nowość, wyobraża sobie, że jej dzieci są jak mokasyny miedziogłowce wśród ślicznych brązowych myszy. Przypomina sobie jednak, że nie muszą być ani tym, ani tym. Jest jeszcze mnóstwo innych możliwości, sposobów, żeby przejść przez życie. Oboje są tu po to, żeby znaleźć sobie miejsce w otaczającym je świecie.

Ale Dolores i Frank nie zwracają uwagi na świętego Mikołaja ani jego worek. Fascynują je zapalone, ociekające stearyną świece w wysokich świecznikach.

Niebawem Stubblefield musi obieć ławki, żeby zgasić tłące się burgundowe zasłony, zanim zajmie się od nich burgundowy dywan i burgundowe poduszki. Przydeptuje podpałkę, zmięte numery „The Upper Room”, z kolorową ilustracją na okładce, przedstawiającą Dzieciątka Jezus, które leży w żłobie. Już prawie słychać było syreny straży pożarnej, trzy przecznice stąd.

– Popracujemy nad tym – szepcze do Luce, siadając obok niej.

Zanim opuszczą miasteczko, Stubblefeld zajeżdża do biura szeryfa. Zielony pick-up wciąż stoi na parkingu, dokąd został odholowany przed miesiącem z okładem, mniej więcej w tym samym czasie, gdy szeryf usiłował przesłuchać dzieci, które siedziały przed nim niczym Tar Baby, milcząc jak zaklęte. Gdy przyszła kolej na Luce, ta opowiedziała o bójce na noże i tajemniczej dziurze w lesie, o której nikt nie słyszał.

Kiedy myśliwi polujący na szopy wrócili wreszcie z gór do nudnego codziennego życia, niewiele mogli powiedzieć o spotkaniu z Budem. Był z nimi zaledwie kilka godzin, a oni się upili. Jedyne, co można było wydobyć od większości z nich, to że zjawił się ktoś w środku nocy,

a rano zniknął, gdy wielu z nich jeszcze spało, a reszta miała kaca i nie zdążyła jeszcze nawet wypić kawy. Tylko stary Jones potwierdził, że to był Bud, ale oczywiście mógł wciąż żywić do niego urazę. Podczas rewizji przeprowadzonej w wynajętym przez Buda domku znaleziono jedynie kilka rolek banknotów, notes z zamówieniami na alkohol i długi brudny bandaż.

Dla szeryfa sprawa była prosta. Zaginione dzieciaki szczęśliwie się odnalazły. Jakiś facet, który przebywał w miasteczku dwa–trzy miesiące, postanowił zwinąć manatki. Samochód i forsa pozostają zagadką, ale wóz jest stary, a ludzie się spieszą i zapominają o różnych rzeczach. A co do Lita, miał tylu wrogów, że pewnie w końcu się doigrał.

Po powrocie do Chaty Luce prowadzi dzieci na górę. Mija 202 – pokój Maddie, jeśli chce z niego skorzystać. Czasami spędza w nim trzy noce w tygodniu, a czasami znika nawet na osiem–dziesięć dni. Nie robi planów. Kiedy się zjawi, to jest. Tego wieczoru jej nie ma. Ale pewnie przyjdzie nazajutrz koło południa z miską świątecznej karkówki, prezentem w postaci owoców i lizaków.

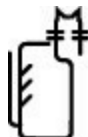
Dzieci zajmują 203. Luce układa Dolores i Franka do łóżek, nakrywa grubymi kocami. Czyta im bajki: o skórze jałowki i o kozach. Tego wieczoru streszcza jeszcze wiersz z imionami reniferów, choć trzy z nich musi wymyślić na poczekaniu. Kończy opowieść, cytując jedyną linijkę, którą dokładnie pamięta. „I odlecieli wszyscy jak puch ostu”.

Gdy tylko Luce zamyka za sobą drzwi, zaczyna snuć plany aż do października. Lekcja na pustym polu w jakieś suche popołudnie, wśród wysokich do ramion chwastów, między którymi zaczną wschodzić szarańczyn i sosny. Tematem będzie życie lasu, począwszy od najmniejszych roślin, rosnących przy samej ziemi, aż po najpotężniejsze drzewa. Urwie ostrożeń lancetowaty, żeby dzieci zobaczyły budowę jego kwiatu. Potem podniesie go do ust i wypowie zaklęcie. Wciągnie głęboko powietrze i zdmuchnie puch, żeby leciał w świat, a potem upadł na ziemię.

Stubblefield jest na dole, siedzi w fotelu i czyta. Radio gra cicho, starożytny ogień płonie spokojnie. Na stoliku leży broń. Luce siada przy nim na skrzyni, opiera głowę na jego ramieniu i czyta razem z nim. Coś o bitnikach wędrujących po górach. Na dworze jakiś hałas. Pewnie odłamał się konar jednego ze starych dębów. Stubblefield nie odrywa wzroku od książki, ale kładzie dłoń na oparciu w odległości trzydziestu centymetrów od kolta.

Drzwi są pozamykane na klucz, broń jest pod ręką. Ale z każdym dniem wspomnienie Buda się zaciera. Zostaje tylko przecucie. Nie wiadomo, czy Bud jeszcze gdzieś tu jest, czy już dawno się wyniósł. Zniknął w oddali, czy został pochłonięty przez las, który nie karze ani nie nagradza, ale jednakowo oczyszcza wszystkie kości.

[1](#) *Ewangelia według św. Mateusza, 5, 6, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1988.*



BLACK PUBLISHING

Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Redakcja: redakcja@blackpublishing.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

sekretariat@blackpublishing.pl

Promocja i marketing: katarzyna@blackpublishing.pl

Dział sprzedaży: sprzedaz@blackpublishing.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@blackpublishing.pl

Skład: D2D.PL

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2014

Wydanie I